

ANNA
KLEIBER

GLUPIA
BABBA



LIND & CO

ANNA KLEIBER

Głupia baba

LIND&CO

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Karta redakcyjna](#)

Wszelkie podobieństwo do osób i wydarzeń prawdziwych jest przypadkowe.

Książkę tę dedykuję mojemu mężowi

Wszystko zaczęło się od lekkiego muśnięcia dłoni. Było to tak dawno temu, że czasem zastanawiam się, czy aby na pewno właśnie ten moment zapoczątkował późniejsze wydarzenia. Po tym, jakże niepozornym i niewinnym muśnięciu, bo pewnie każdemu zdarzyło się nieopatrznie dotknąć czyjejś ręki, nastąpiły inne znaki. Inne dotknięcia. Na przykład ramienia.

– Nie, pani Natalio. – Lewa ręka łąduje na moim ramieniu, a prawa delikatnie wyjmuję z mojej prawicy kredę. – To trzeba inaczej zapisać.

To przecież takie naturalne gesty. Cała sala patrzyła na to obojętnie i widziała tylko tablicę, a mi dreszcz przebiegał po plecach.

– Pani Natalio, proszę podać mi indeks.

I znów dłoń na mojej dłoni, a w indeksie niespodzianka. Za wystękanie kilku mijających się z prawdą zdań – piątka. O cholera! Spojrzałam na niego zaskoczona. Wtedy jeszcze na mnie nie patrzył. W każdym razie nie tak, jak można by oczekiwać po następujących po sobie dotknięciach. Ale patrzeć zaczęłam ja. A właściwie nie patrzeć, tylko obserwować. Jakiś czas po incydencie z piątką do dotknięć dołączyły spojrzenia. Zerkaliśmy na siebie coraz częściej i intensywniej, aż któregoś dnia...

– Gratuluję pani, piękna obrona.

– Dziękuję.

– Proszę usiąść. Ale hałas z tej ulicy. – Zamknął okno. – Zaprosiłem tu panią, aby złożyć pewną propozycję...

– Tak? – jęknęłam pod naporem błękitnego spojrzenia błędzącego w okolicy mojego biustu.

– Czy... – zaczął, a ja westchnęłam, bo to naprawdę niesamowite uczucie, gdy oczy rozpinają guziki – ...nie byłaby pani zainteresowana pracą naukową? Na początek proponuję doktorat u mnie. O miejsce w katedrze osobiście się dla pani wystaram.

Podszedł do drzwi i przekreślił klucz w zamku...

I w ten oto sposób profesor Janusz Kłóska został moim promotorem.

1

Tego dnia Alicja zachowywała się w kuchni nadzwyczaj głośno, ciskając przy tym inwektywami na prawo i lewo.

– Musimy porozmawiać, Natalia – powiedziała na mój widok. Zdecydowanym ruchem wepchnęła garnek do szafki i trzasnęła dłonią w niedomykające się drzwiczki.

– No?

– Natalia... – bąknęła i zamilkła. Jak nic, musiało ją coś gryźć.

– Alucha... – Chwyciłam ją za rękę i ścisnęłam mocno. Syknęła. – Spójrz na mnie! – rozkazałam. – Znów jesteś w ciąży, tak? Nic się nie martw, pomogę ci i przy trzecim – oznajmiłam wspaniałomyślnie.

– Co ty! Zwariowałaś! – zachnęła się.

– Więc co?

– Nie miałybyś ochoty gdzieś wyjechać? Na przykład na wieś? – wyrzuciła wreszcie.

– Na wieś... – rozmarzyłam się i oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak biegnę po łące usłanej kwieciami rozmaitem. – Na wieś?! – ocknęłam się. – Na jaką wieś?!

Z Wrocławia nie mogłam i nie chciałam się ruszać. No chyba że z Januszką, ale nie było to możliwe, bo mój mężczyzna miał swoje zasady: jeśli gdzieś wyjeżdżał, to wyłącznie z żoną. Ale to nie ja nią byłam.

– Co ci przyszło do głowy?

– Chcemy zrobić z Rafałem remont, więc nie będziesz miała gdzie spać.

– A co z chłopcami?

– Zawieziemy ich nad morze do babci Lusi.

– Aha – burknęłam i skupiłam się na grzebaniu łyżeczką w cukiernicy. – Długo ten remont ma potrwać? – Ostatecznie mogłam wynająć pokój gdzieś w mieście.

– Bo ja wiem? Rafał mówił, że raczej długo.

– No ile? – naciskałam. – Miesiąc? Dwa?

Cisza. W myślach szybko przeliczyłam zaoszczędzone ze stypendium grosze.

– Alucha – struchlałam – nie mów mi, że trzy! Na trzy miesiące nie wystarczy mi pieniędzy.

Alicja westchnęła i oparła się o blat.

– Słuchaj, my z Rafałem już dokładnie to omówiliśmy. Pojedziesz do Starych Strzelb, do jego ciotki. Po śmierci wuja podłamała się i podupadła na zdrowiu, więc pomogłabyś jej nieco, a i ty byś na tym skorzystała. Chociaż jedne wakacje na wsi spędzisz... Zresztą ciotka na pewno chętnie przyjmie cię i na rok.

– Na rok?! – Włosy zjeżyły mi się na głowie, a paznokcie wbiły w blat stołu.

– A dlaczego nie? Sama wspominałaś, że teraz, kiedy skończyłaś już badania i masz zebraną literaturę, to doktorat możesz pisać choćby na Księżycu.

– To było tylko takie gadanie, przecież ja muszę mieć stały kontakt z promotorem! – pisnęłam przerażona. Mają mnie dość – przemknęło mi przez głowę.

– Tylko nie myśl, że mamy cię dość. Co to, to nie! Wychowałam nam dzieci i należy ci się coś od życia. Wyjedziesz na trochę, odpoczniesz... A te swoje naukowe dyrdymały to sobie możecie mejlami przesyłać.

Spojrzałam na nią uważnie. Te naukowe dyrdymały, jak to określiła moja siostrzyczka, były dla mnie równie ważne, jak podtrzymanie więzi

z kochankiem. Ala nerwowo kręciła guzikiem przy spodniach i patrzyła na mnie wyczekująco.

– No co? Nie chcesz odpocząć? Od... od... – zająknęła się – od tego wszystkiego?

Romans z Januszem trzymałam w ścisłej tajemnicy, ale czasem, tak jak w tej chwili, miałam wrażenie, że Ala wie więcej, niż mogłam przypuszczać.

– Natalia, wierz mi, to twoja szansa – za moimi plecami niespodziewanie odezwał się szwagier. Jak zwykle wszedł jak duch i jak zwykle podsłuchiwał.

– Szansa? Chyba sobie żartujesz! – podskoczyłam jak oparzona.

– Natalia, spójrz prawdzie w oczy, masz już dwadzieścia osiem lat i nadal jesteś sama. Jak wygląda twoje życie? Siedzisz albo na uczelni, albo w pokoju obłożona książkami. Żadnych wypadów ze znajomymi, zero koleżanek, o najnormalniejszym w świecie narzeczonym nie wspominając.

– Nie zapominaj, że siedzę nad książkami, bo piszę doktorat, a co do wypadów ze znajomymi, to niby z kim mam wychodzić? Magda, odkąd wyszła za mąż, przestała mnie zapraszać i odwiedzać. Gdy do niej dzwonię, zainteresowana jest tylko tym, co sama powie. Ćwierka albo o pierwszym ząbku Łukaszka, albo o niebotycznej pensji jej męża i urokach bycia zamężną kurą domową. To samo porobiło się z Gabryską. Ale ona ma więcej do powiedzenia, bo ma już dwoje dzieci.

– Bo ty nie starasz się być elastyczna. Na moje oko jesteś zazdrosna i nie potrafisz zadbać o dobre kontakty z koleżankami – wyliczył Rafał jednym tchem. – Gdybyś ich się trzymała, to może by cię z kimś poznały.

Spojrzałam na niego w zamyśleniu. Poniekąd miał rację. Dziewczyny wcale nie były takie nudne i nie izolowały się ode mnie, tylko ja się od nich odciąłam, bo nie chciałam denerwować Janusza. Kiedyś gdy dowiedział się,

że byłam na imieninach u Magdy, najpierw zrobił mi dziką awanturę, a potem napomknął, że w gruncie rzeczy nie podobają mu się moje badania i będzie musiał zastanowić się nad sensem otwarcia przewodu. To była najgorsza rzecz, jaką mogłam usłyszeć! Praca naukowa była moją pasją i miłością niemal tak wielką jak ta, którą darzyłam Januszka. A teraz mój mistrz, najmądrzejszy z mądrych, podał w wątpliwość zasadność badań, a co za tym idzie mojej dalszej kariery naukowej. A ja liczyłam, że z doktoratem zawsze znajdę pracę. Oczywiście nieźle płątą, abym mogła wreszcie wyprowadzić się od siostry.

– Januszkę drogi – wyszeptałam wtedy pobielającymi z przerażenia wargami – przecież sam widziałeś, że wszystko wychodziło jak należy. Założone poziomy pożywek zawsze trzymały parametry, analizy podłoży były bez zarzutu, więc skąd ta nagła zmiana zdania?

– To nie jest zmiana zdania, tylko trzeźwa ocena. Stwierdziłem, że w zasadzie doświadczenie tego typu nie jest nowatorskie i nie wnosi niczego nowego do nauki. Ty myślisz, że co? Że to ja potem przed szacownym profesorskim gronem będę w twojej sprawie własnymi oczami świecić? Ja na tej uczelni byłem i będę, więc muszę dbać o opinię bardziej niż ty – takie nie wiadomo co!

Puściłam mimo uszu uwagę o byciu nie wiadomo czym, bo musiałam bronić mojej kariery.

– Jak to?! Przecież osobiście opracowałeś założenia! Dopiero teraz widzisz, że nie mają sensu?!

– Wyjdź z pokoju – powiedział wtedy. – Byle kto nie będzie na mnie krzyczeć.

Gdy podniosłam się z krzesła, dodał:

– Jak będziesz na kolejnych imieninkach, nie zapomnij wypić za moje zdrowie.

Potem trzymał mnie w niepewności przez trzy tygodnie, aż w końcu łaskawie przemówił, że jednak zadba o to, bym mogła otworzyć przewód, a w doświadczeniu nie trzeba będzie wprowadzać żadnych zmian. Przyjęłam to z wdzięcznością pomieszaną z tłumionym buntem. Janusz był świetnym naukowcem, bardzo mi imponował i dlatego przymykałam oko na to, jak mnie traktował. Uważałam go za swego rodzaju artystę, którego podły stosunek do ukochanej kobiety równoważył wspaniały geniusz. Bez cienia protestu tkwiłam przy nim zapatrzona jak w najpiękniejszy obraz. Kochałam go nie za jego zalety, ale pomimo wad. Wielkim ludziom wybacza się więcej niż zwykłym zjadaczom chleba. Dla mnie Janusz był wielki...

A teraz mój własny szwagier stał na nie swojej drodze i kategorycznie uzurpował sobie prawo do zmiany kierunku mojego życia.

– Słuchaj – postanowiłam uderzyć z innej strony – wiesz dobrze, że poprzez intensywną naukę inwestuję w moją i waszą przyszłość. Lubię to, co robię, a poza tym jest szansa, że dostanę na uczelni etat. Gdy zacznę pracować, wezmę kredyt na kawalerkę i się od was wyprowadzę. A tak, abstrahując od wszystkiego, nie sądzisz chyba, że na byle wsi znajdę sobie męża? – prychnęłam.

– Jak w mieście ci nie wychodzi, spróbuj na wsi – ćwierknęła złośliwie Alicja.

– Nie! Nigdzie nie pojedę! – Znów wbiłam się w blat paznokciami.

– Ależ pojedziesz – spokojnie powiedział Rafał. – Właśnie zaczęły się wakacje, a ty musisz odpocząć od tego swojego promotora... Chciałem powiedzieć: od pisania pracy doktorskiej – poprawił się i pogardliwie wyduł usta. – Pakuj się. Jutro cię zawiozę.

2

Ciotka Kazia była mała, drobna, zasuszona i sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała się rozsypać. Jej blade, chude ciało upstrzone było starczymi plamami, a żylaste dłonie zakończone długimi palcami. Miała rzadkie, białe jak mleko włosy poskręcane w precyzyjne, sztywne loczki.

– Ach, więc to jest Natalia – przywitała mnie, stojąc w progu, i obejrzała dokładnie niczym konia na targu: z góry na dół, z dołu do góry, od frontu, a i o tyle nie zapominając. Aby jej ułatwić ocenę, wyszczerzyłam zęby.

– Po co się, dziecko, tak szczerzysz? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do środka. Złapałam walizki i potaszczyłam za nią. Budynek był stary, jednopiętrowy i, co od razu doceniłam, z cegły, dzięki czemu panujące ostatnio upały nie będą mi dokuczać.

– Ja zamieszkuję tylko parter. Tutaj też będzie twój pokój.

Uchyliła drzwi w głębi korytarzyka.

– Na pięterku i na strychu są graciarnie. Jak będziesz kiedyś miała ochotę, to sobie tam możesz zajrzeć. A teraz rozgość się, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Skrzypnęły drzwi i zostałam sama. Pokój był mały, wąski i urządzone bardzo skromnie. Z lewej strony stało łóżko przykryte patchworkową narzutą, z prawej stara szafa z niedomykającymi się drzwiami, toaletka z pękniętym lustrem, mały fotel i jeszcze mniejszy stół. Dywan miejscami był tak wytarty, że widać było deski, a firany wisiały krzywo. Mimo że okno było dość duże, w pokoju panował półmrok, co można było zawdzięczać rosnącym za oknem krzewom dzikiego bzu.

Postawiłam walizki i Bóg mi świadkiem, że przez chwilę miałam szczerą chęć, aby je rozpakować, ale z szafy śmierdziało naftaliną i czymś jeszcze – wilgocią i grzybem. Zarabiałam niewiele i nie stać mnie było na świadome marnowanie ubrań. Otworzyłam więc szafę, aby ją przewietrzyć, jedną z walizek wepchnęłam pod stół, a drugą, tę z książkami i laptopem, postawiłam obok fotela, po czym w nim zasiadłam. Niby mały, a całkiem wygodny – pomyślałam i zaczęłam się zastanawiać, jak długo przyjdzie mi tam wegetować, bo dla mnie życie na takiej zapadłej wsi to nic innego jak wegetacja. Ponure myśli przerwało pukanie. Nie zdążyłam odpowiedzieć „Proszę”, a już ciotka wsadziła głowę w drzwi i krótko oznajmiła:

– Obiad. – Po czym zniknęła w mroku korytarzyka.

Kuchnia znajdowała się po przeciwnej stronie mojego pokoju, tuż obok łazienki i pokoju ciotki. Była niewielka i zapchana zbyt dużą liczbą sprzętów. I pomyśleć, jak musiały wyglądać owe graciarnie, o których wspominała! W kuchni stały dwie lodówki: duża i mała, kuchenka elektryczna i gazowa, mikrofalówka, radio, mały telewizor, deska do prasowania, stół, narożnik, cztery krzesła i dwa taborety.

– Żeby nie zapomnieć – ciotka naląła do talerza pomidorową i obficie posypała natką pietruszki – czynna jest tylko ta mała lodówka, z kuchenki mikrofalowej nie korzystaj, bo żre zbyt dużo prądu, a telewizor śnieży, więc też go nie włączaj. A teraz siadaj i jedz.

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać. Zrobiłam, jak poleciła: usiadłam i pochłonęłam wszystko, co mi naląła.

– Fiu, fiu! – gwizdnęła z podziwem ciotka. – Niezłe tempo. Może dolewkę?

Zupa była wyśmienita, ja głodna, zjadłam więc i drugą porcję.

– Może jeszcze? – zapytała ze złośliwym uśmiechem.

– Poproszę.

Podczas gdy ciotka nalewała zupę, zapytałam o internet.

– Internet! – zdziwiła się, stawiając przede mną jedzenie. – Po co tu komu jakiś internet?

– Jak to po co? W końcu świat się kurczy, stajemy się globalną wioską...

– Kurczy? – przerwała mi ze zdumieniem. – A wszyscy na wsi gadają, że rozszerza.

– Oj, to taka metafora. Chodzi mi o to, że nadchodzi era społeczeństwa informacyjnego, wszyscy potrzebujemy informacji niczym kania dżdżu, a co nam ją daje totalnie, wyczerpująco i natychmiast? Internet! To on sprawia, że stajemy się tą, jak już wspomniałam, globalną wioską – dumna ze swej elokwencji zamilkłam wreszcie i wlałam do gardła łyżkę pomidorowej.

– Stare Strzelby nie są globalne – mruknęła ciotka. – I nigdy nie będą. Jesteśmy tradycjonalistami i nie pozwolimy, aby byle gównem nas zawojowało! Jesteśmy prawi, dbamy o środowisko, rodzinne więzi oraz tradycje!

– Tak, oczywiście, to wszystko jest ważne, ale przecież internet...

– Nie ma go tu i nie będzie!

Przez głowę przeleciało mi stado spłoszonych myśli. Jak wobec tego miałam kontaktować się z Januszkiem w sprawach prywatnych oraz tych związanych z pisaniem doktoratu? Janusz wprawdzie kiedyś mówił, że jest mu obojętne, czy pracę do sprawdzania będę mu dawać w częściach, czy od razu w całości, przy czym bardziej skłaniał się ku tej drugiej opcji. Ale co się stanie, jeśli pojawią się dodatkowe pytania, które będą wymagały natychmiastowej odpowiedzi? Wobec tego, co usłyszałam, pomidorowa przestała mi smakować. Odłożyłam łyżkę.

– To niemożliwe!

- A i owszem, możliwe.
 - Ale ja piszę doktorat! Muszę raz po raz puścić mejla!
 - Puścić? Co za paskudne słowo – ciotka skrzywiła się z odrazą.
 - No, mejla! Taki list elektroniczny. Wysłać... – dodałam ciszej.
- Westchnęła.

– Jeśli już tak bardzo nie możesz żyć bez puszczenia, to internet jest we Lwówku w kawiarence. Autobusem tam dojedziesz.

Kamień spadł mi z serca, wróciłam do jedzenia, a ciotka przysiadła obok mnie, podparła się pod brodę i wygłosiła tyradę:

– Dziewczyno, to, co powiem, powiem tylko raz, więc słuchaj mnie uważnie. Przyjęłam cię tutaj na lato, a może nawet i dłużej, zależy, jak się sprawy ułożą...

– Jakie sprawy?

– Nie przerywaj, gdy starsi mówią. Ja cię będę utrzymywać, a w zamian ty będziesz dotrzymywać mi towarzystwa i monitorować stan mojego zdrowia. Mam swoje lata, tu i ówdzie mi strzyka i chrzęści, więc w sumie dobrze, że jesteś, bo gdyby zdarzyło mi się gdzieś nieoczekiwanie umrzeć, to zawiadomisz kogo trzeba i od razu mnie zakopiecie, abym w takie upalne lato nie rozkładała się bez sensu i wsi swoim odorem nie skażała.

– Ale...

– Ja mówię! – walnęła pięścią w stół. – I żeby mi było jasne: nie bronię ci zapraszania do mnie rodziny, dam im jeść i spać wygodnie położę. Łazić sobie też po wsi możesz, i nawet po nocach także, bo sama byłam młoda i wiem, jak to człowieka nogi wszędzie noszą. Ale jednego sobie nie życzę: wypadów do Wrocławia w jakieś tam soboty, niedziele czy inne dni tygodnia również. Masz być pod moją ręką, bo umrzeć mogę w każdej chwili i byłby to wstyd na całą wieś, gdyby mnie tak któryś z sąsiadów samą, na wpół rozłożoną tutaj znalazł.

– Ależ proszę pani...

– Nie pani, tylko ciociu!

– Ależ ciociu, przecież ja w końcu i tak kiedyś stąd wyjadę i ciocia zostanie sama. Co wtedy?

– Mam rodzinę w Stanach. Na wypadek gdybym miała przeżyć twój pobyt, właśnie odnawiam z nimi kontakty. Nie chcę, aby byli zaskoczeni, gdy kiedyś się u nich zjawię, by dożyć swoich dni. A teraz kończ już tę zupę. Więcej ci nie dam, choćbyś i prosiła, bo na jutro zabraknie.

Wstała i sprzątnęła mi sprzed nosa talerz, a łyżkę wyrwała z dłoni. Gdy schowała garnek, wzięła do ręki czajnik i zapytała:

– Napijesz się kawy?

– Poproszę. – Wstałam od stołu. – To ja może coś do tej kawy przyniosę.

Poszłam do pokoju, gdzie w walizce z ubraniami miałam schowanych kilka pudełek ptasiego mleczka. Celowo nie zapakowałam ich z książkami, bo nie darowałabym sobie, gdyby rozpuściły się podczas podróży i zafajdały bezcenną literaturę. Wyjęłam jedno opakowanie i zanurkowałam jeszcze w poszukiwaniu prezentu. Wprawdzie szwagier upierał się, że ciotka jest na tyle stara, że zdążyła obrosnąć we wszelkiego rodzaju rzeczy, ale ja nie chciałam jechać z pustymi rękoma i kupiłam jej obrus. Nie miałam pojęcia, czym można obdarować starszą kobietę, której w dodatku zupełnie się nie zna. Po obejrzeniu wazoników, rozmaitych porcelanowych figurek oraz obrazków mój wybór padł na biały obrus. Idealny, aby podjąć księdza po kolędzie! – pomyślałam i po pięciu minutach był mój.

Wreszcie go znalazłam. Mały pakunek schował się między džinsami a swetrem. Wzięłam go wraz z ptasim mleczkiem i wróciłam do kuchni. Kawa już stała na stole. Szkoda, że parzona, ale możliwe, że ciotka po prostu innej nie miała.

– Proszę – wręczyłam jej podarek, a mleczko położyłam na stole.

– A cóż to takiego? – zdziwiła się, obracając w rękach pudełko zapakowane w kwiecisty papier.

– Drobiazg. Podzięką za gościnę – uśmiechnęłam się krzywo, bo co jak co, ale gościna w Starych Strzelbach do niczego nie była mi potrzebna.

– Och, jak to miło z twojej strony! – Ciotczyne oblicze pojaśniało. – Jaki ładny obrus! Idealny na prezent dla Kowalowej!

– Słucham? – Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam. Ciotka chciała dać prezent ode mnie komuś innemu?

– No, sąsiadce dam. Ja białego nie potrzebuję, a że na Boże Narodzenie robimy sobie podarki, więc ona dostanie. O, nawet papieru zupełnie nie zniszczyłam – rozprostowała zgnieciony kawałek.

– Cóż... myślałam, że może przyda się na kolędę...

– Na kolędę? Jaką kolędę? U nas od lat ksiądz po kolędzie nie chodzi.

– Jak to nie chodzi?

– Ano normalnie. Bo to my do niego chodzimy. Kolacyjkę zrobi, pogadamy sobie, pośpiewamy, mszalnego popijemy. Każdemu życzyć takiej kolędy!

– A święcenie domu?

– Pewnie, że święci! Jak ma czas i ochotę, to wpadnie z kropidłem i po ścianach pomacha. Na pewno raz do roku mu się to zdarza, bo jakże to tak w nieświęconych murach mieszkać? Tym bardziej że u nas okolica niepewna.

– Niepewna? – Sięgnęłam po pudełko z ptasim mleczkiem i je otworzyłam. – Ciocia się poczęstuje, proszę.

– Nie, dzięki. Ja tylko domowe placki uznaję. Ty sobie zjedz.

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać i, jak sądziłam dyskretnie, włożyłam do ust trzy kawałki.

– To dlaczego niby wasza okolica jest taka niepewna? – wybełkotałam.

Ciotka przysiadła obok, sięgnęła po kubek z kawą i wzięła głęboki oddech.

– Chodzi o bagna, bo tak ogólnie to możesz sobie wszędzie u nas chodzić i nic ci nie grozi. Nikt tu się z nikim nie bije i na nikogo nie napada, ale...

– Ale w szczególności? – przerwałam jej i sięgnęłam po kolejną czekoladkę.

– W szczególności to chodzi o te bagna właśnie, ostrzegam cię, abyś nigdy tam nie chodziła. Są tuż za domem i polem, tam gdzie kończy się łąka. To nie jest miejsce do spacerowania. A w zasadzie, do niczego ono nie jest, bo tam porządnie straszy. Inna sprawa, że każdy głupek wie – jak bagno wessie, to i święty Boże nie pomoże. – Łypnęła na mnie spod oka.

– A cóż tam takiego straszy? – uśmiechnęłam się pod nosem. Ot, wiejskie bajdurzenie.

– Dwa duchy. Niemca i kobiety. A nad tym wszystkim pieczę trzyma... – ciotka ściszyła głos – złe oko.

– Że co?! – Moja ręka sięgająca po kolejny ptasi przysmak zawisła w powietrzu.

– Tak, tak. – Ciotka zapatrzyła się w piekarnik, jakby to na nim była zapisana owa straszna wioskowa historia. – To było podczas wojny. Niemcy, bydlaki, pochowały się po lasach, ale potrzeby pozostały w nich ludzkie, więc za żarciem i kobietami na wieś przyłąziły. Szczególnie jeden był nienasycony i ciągle po wsi się szwendał. Nazywał się Herr Flick...

– Herr Flick? – coś mi zaświtało. – Przecież Herr Flick był bohaterem serialu *Allo, Allo!*

– Tak? – Ciotka się stropiła i podrapała po głowie. – Zaraz, niech pomyślę, jak on się tam nazywał? Herr, Herr... Zupełnie zapomniałam... Zresztą, czort z nim! W każdym razie ten Herr ciągle na wieś zaglądał i upatrzył sobie niejaką Helenę. A że był przystojny, to i ona jego sobie upatrzyła. Więc co zrobili? Chodu razem do lasu!

– I co? Pewnie utopili się na tych bagnach i teraz straszą? – ziewnęłam i upiłam łyk kawy.

– Żebyś wiedziała, że tak!

– Rzeczywiście, straszna historia – powiedziałam z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie rób takich głupich min, bo jeszcze nie skończyłam! Teraz będzie najgorsze: za nimi potoczyło się złe oko. – Ciotka znów ściszyła głos i rozejrzała się po kuchni.

– Złe co?

– No oko! Złe oko, mówię przecież! – szepnęła dramatycznie.

– Aha. – Przysłoniłam dłonią usta, żeby nie widziała uśmiechu, jaki na nich wykwitł.

– Nieborak Herr miał pecha, że matką Heleny była stara Flazikowa, czyli wioskowa szeptucha.

– Szeptucha? Chyba o nich kiedyś słyszałam. To są kobiety zamawiające uroki, robiące czary, a najwięcej jest ich chyba gdzieś w Rosji?

– Ale nasza szeptucha była tutejsza. Polska patriotka z krwi i kości. Nie mogła przeżyć, że jej jedynaczka puszcza się po lasach z byle Niemcem!

– To nie mogła ich jakoś zaczarować, aby ten Herr padł wśród leśnych ostępów, a Helena wróciła do domu?

– Otóż i nie mogła. Chuć ich była tak wielka, że wszelkie czary odbijały się od drzew i rykoszetem powracały na wieś. Krowy zaczęły zdychać,

a kury wrywały sobie pióra.

– I co się stało? – Historia, aczkolwiek głupia, zaczęła mnie wciągać.

– Na szczęście Flazikowa oprócz wielu nadprzyrodzonych cech miała też nieocenione złe oko.

– I co? Krzywo na nich spojrzała?

– Niby jak miała na nich spojrzeć, skoro nie było ich w zasięgu wzroku, bo ciągle się po lasach gziłi?!

– No dobrze już, dobrze. Nie chciałam cioci zdenerwować.

– To słuchaj i nie przerywaj! W końcu Flazikowa nie wytrzymała hańby i wciąż powracających czarów i umarła...

– Och, biedna Flazikowa – zachichotałam z za kubka kawy.

– Padła na własnym podwórku, a znalazł ją sąsiad, który raz po raz przychodził do niej po ziółka.

– I ona też straszy na tych bagnach?

– Niezupełnie.

– A co?

– Słuchaj. Jak ten sąsiad ją znalazł, to leżała twarzą do ziemi. I to było w porządku. Jednak gdy ją odwrócił, zobaczył coś strasznego – Flazikowa była bez oka!

– Bez oka? To co? Szklane miała i jej wypadło podczas tego upadku?

– Jakie szklane oko?! Kogo podczas wojny byłoby stać na takie fanaberie?!

– A bo ja wiem? Ponoć tak było, że ludzie wiejskim znachorkom znosili rozmaite rzeczy. Ktoś w podzięce mógł jej dać i szklane oko, więc sobie wsadziła. Jeśli oczywiście potrzebowała.

Ciotka pokręciła głową.

– Nic nie rozumiesz. Nie dość, że dziewczucha miejska, to i nowoczesna. Gorzej trafić nie mogłam. To oko Flazikowej, które zaginęło, to było złe oko!

– Nie rozumiem!

– Przecież już na początku mówiłam ci, że ona miała złe oko!

– Mimo że jestem miejska i nowoczesna, to jednak zapamiętałam – zauważyłam złośliwie.

– I to złe oko wyskoczyło z oczodołu Flazikowej i poleciało do lasu za Herrem i jej puszczalską Heleną.

– Phi tam – machnęłam ręką. – Macie na to dowody?

– Dowody?! – Ciotka aż zatrzęsła się z oburzenia. – Owszem! Oni zniknęli! Utopili się na bagnach! Złe oko ich tam zapędziło i pilnuje po dziś dzień, żeby czasem nie wyleźli!

– Aha. Skoro ono pilnuje ich, aby nie wyszli, pewnie nie mogą również wyjść, aby sobie trochę postraszyć – podpuściłam ciotkę.

– Mogą, ale tylko w obrębie bagien. Złe oko nie chce puścić ich w świat. Wojna dawno minęła, nie ma już takiej biedy, o wszystko jest łatwiej. Nawet na kurewstwo ludzie oczy przymykają – spojrzała na mnie badawczo, aż poczułam się nieswojo – więc oko pilnuje, aby nie wyleźli i czasem w świat nie poszli, bo teraz ich ekscesy na pewno płazem by już uszły.

– Aha... Cóż za porywająca historia.

– Nie wierzysz mi?

– Ależ skąd! Cała jestem w strachu – zakpiłam.

– Jeszcze ci coś powiem. Potem, jak Flazikową już pochowali, nagle z dnia na dzień pozostali Niemcy puciekali z lasu. Trzech jeszcze zostało w bunkrach, a po jakimś czasie wioskowe chłopcy znalazły ich martwych.

– Ktoś ich zastrzelił czy udusił?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Oni zmarli z wielkiego przestraszu. Mówię ci, w jakim przerażeniu pyski mieli rozdziawione!

– To brzmi jak motyw z *Ringu* – mruknęłam.

– Jakiego ringu? Nikt tam z nikim się nie boksował! To ono, złe oko, do nich przyszło i nastraszyło, bo na czas się do swoich Niemiec nie wynieśli!

– A teraz co to oko może niby mi zrobić?

Ciotka na chwilę zamilkła.

– Jak to co? Chociażby i na śmierć wystraszyć. Poza tym muszę ci jeszcze powiedzieć, że po wojnie, gdy ktoś chciał popełnić samobójstwo, to szedł się wieszać, ale nie do lasu, tylko prosto na bagna. Moc złego oka tych nieboraków tam przywabiała. Chyba już do ciebie dotarło, jakim złym miejscem są bagna?

Nie wytrzymałam i zaśmiałam się w głos.

– Wiwat złe oko! – wzniosłam do góry kubek z kawą, po czym upiłam łąpczywie. Niestety płyn wpadł nie do tej dziurki co trzeba i zaniosałam się głośnym kaszlem.

– To jego moc! – syknęła. – Nie śmieję się z niego, dobrze?! Ja tu trupa mieć nie chcę! – Trzepnęła mnie dłonią w plecy.

– To wszystko, czym mnie ciocia chciała nastraszyć?

– Nie chciałam cię nastraszyć, tylko ostrzec, a to jest różnica – burknęła nadąsana. – Aha, jeszcze coś...

– Znów coś straszego?

– Nie kpij sobie. Zapamiętaj też, że jeśli kiedykolwiek udasz się do lasu i kogoś tam spotkasz, wiedz, że to na pewno są grzybiarze. Wystarczy powiedzieć im „Dzień dobry” i za dużo nie patrzeć, bo w końcu ty z miasta jesteś i grzyby nie powinny cię obchodzić.

– Grzybiarze? I nie boją się złego oka, Herra i puszczańskiej Heleny?

– Terenem działania oka są bagna, a nie las. Myślałam, że jasno się wyraziłam. – Nadal była nadąsana.

– Ależ ciociu, oko jest okrągłe i przecież z nudów mogłoby się poturlać to tu, to tam. W końcu ciocia sama mówiła, że nastraszyło tych Niemców z bunkra, więc pewnie się do nich przyturlało. A jak zrobiło to Niemcom, to i tym grzybiarzom może kiedyś zza podgrzybka lub maślaczka wyskoczyć. Ale by była heca! Na całą wieś i okolicę!

– Posłuchaj – ciotka zmarszczyła brwi, a twarz tak zbliżyła do mojej, że mogłam dokładnie przyjrzeć się wąsikowi rosnącemu nad jej górną wargą – nie śmieję się nigdy ze złego oka! Ono nastraszyło tych Niemców z bunkra, bo to byli źli ludzie. Wobec ich nikczemności jego moc uległa wzmocnieniu i sięgnęła tak daleko, aby ich zabić. Od tamtej pory we wsi ani w lesie nic złego się nie działo. Tylko zwyczajowo straszyło na bagnach, no i samobójcy leżeli tam jak muchy do lepu, ale poza tym obrębem był spokój. Zapamiętaj sobie, że każde bezceństwo, łajdactwo czy inne przestępstwo może uwolnić złą moc oka i spowodować, że miecz jego sprawiedliwości dosięgnie tego, kto żył nieprawo!

– Tak... – Odsunęłam się sparaliżowana ekspresją jej przemówienia.

– Uwierzyłaś mi już?!

Wciągnęłam głośno powietrze przez nos.

– Ano nie. Nie wierzę cioci. Nic a nic.

Ciotka nie odezwała się, tylko wstała i tak głośno wstawiła swój kubek do zlewu, że szansa, by nie pękł, była niewielka.

– A teraz rób sobie, co chcesz!

3

Wieczorem usiadłam przed domem na starej ławce. Kołysałam oczy widokiem łąki, lasu i zachodzącego słońca. Dochodziły mnie dźwięki ciotczynej krzątaczki, a potem szumu wody z łazienki, który zresztą nadzwyczaj szybko ustał. Z domu wychyliła się, cała w wałkach, głowa ciotki.

– A, jesteś. Ja idę spać. Jak ci się znudzi tu siedzieć, to zamknij dom na rygiel. Dobranoc.

Posiedziałam jeszcze chwilę i weszłam do domu.

Wietrzenie szafy nic nie pomogło, więc walizka z ubraniami pozostała nierozpakowana, co mnie szczególnie nie zmartwiło. Większy problem miałam z przywiezionymi książkami i skserowanymi artykułami. Lubiłam je mieć porządnie ułożone i pod ręką. Z braku choćby najmniejszego regału postanowiłam należycie wykorzystać stół: na nim wylądował laptop, a pod nim książki. Najpierw literatura fachowa obcojęzyczna, potem w języku polskim, kilka książek beletrystycznych (moich ukochanych horrorów), a na końcu równy stosik kser.

Nie było jeszcze późno i w zasadzie mogłam trochę popracować, ale byłam zbyt podekscytowana nową sytuacją i nie potrafiłam się skupić. Położyłam się na łóżku i w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji kilkakrotnie przewróciłam się z boku na bok, jednak wszystko mi przeszkadzało. A to odgłos przejeżdżającego ulicą samochodu, a to księżyc, a to cykanie świerszcza.

Tak minął mi czas do północy. Nie powiem, martwiłam się też o Janusza, bo czekałam na telefon od niego, a komórka jak na złość milczała jak zaklęta. Jeszcze na początku tygodnia, kiedy byłam szczęśliwą

mieszkanką Wrocławia, obiecał, że zadzwoni w sobotę wieczorem. Czekałam więc na jego telefon pełna niepokoju i obaw wszelakiego typu, z których najbardziej gryzła mnie ta: jak zareaguje na mój nagły wyjazd?

Wreszcie, gdy oczy zaczęły mi się już kleić, telefon cicho zabrzęczał. Janusz! Szybko odebrałam.

– Januszek?

– Witaj – mruknął. – Jutro mam wolne, może się spotkamy?

– Raczej nic z tego...

Zaskoczony moją odmową milczał przez dłuższą chwilę. W końcu odchrząknął i zapytał szorstko:

– Co to ma znaczyć?! – Sprawnie wszedł w rolę surowego profesora, który częściej karze, niż nagradza.

– Bo widzisz... – głos zaczął mi się łamać, a język plątać. – Bo ja... bo mnie... właściwie wcale mnie nie ma we Wrocławiu...

– Nie ma cię we Wrocławiu? – Znow musiałam go wprowadzić w osłupienie, bo ponownie zamilkł na chwilę. – A niby gdzie jesteś?

– W Starych Strzelbach.

– Starych Strzelbach? Jakich Starych Strzelbach?! – ryknął, aż o mało nie upuściłam telefonu na podłogę.

– Oj, na takiej wsi na Dolnym Śląsku. U ciotki Kazi – starałam się zbagatelizować sprawę.

– Nacia...

Nie cierpiałam, jak mnie tak nazywał. Moi świętej pamięci dziadkowie mieszkali na wsi i co roku z całym oddaniem i pieczołowitością hodowali jedną świnię, po to aby zamordować ją w okolicy Bożego Narodzenia. Przerabiali ją potem na kiełbasy, szynki i inne mięsne dobrodziejstwa.

I zawsze, ale to zawsze, bez względu na to, czy świnia była nią czy nim, wołali na nią Nacia.

Doprawdy nie wiem, dlaczego dostałam na chrzcie na imię Natalia. Czy w rodzinie naprawdę nie było ani jednej bystrej osoby, która zauważyłaby podobieństwo imienia dziadkowej Naci do imienia nowo narodzonej Natalii? Czy to był aż taki duży wysiłek podsunąć moim rodzicom pod nos kalendarz z mnogą różnorodnością imion, z których można by wybrać coś dla mnie? Ale jest jeszcze jedno wyjście, o którym boję się myśleć. Tak jak świnia Nacia kojarzyła się dziadkom ze świętowaniem i radością, tak ja dla moich rodziców byłam tak wielką radością i świętem, że nie mogli się oprzeć, aby nie dać mi imienia, które przez lata to właśnie symbolizowało.

– A cóż ty mi za bajki opowiadasz? – Już widziałam jego uniesione brwi. – Przecież nie masz żadnej ciotki Kazi, a o Strzelbach na Dolnym Śląsku jak żyję nie słyszałem.

– Janusz, poczekaj, to jest bardzo skomplikowana historia, zaraz ci opowiem. Tylko posłuchaj...

– Ale szybko – ziewnął ostentacyjnie, więc najzwyczajniej, jak tylko potrafiłam, przybliżyłam mu sytuację.

– I ty się na to zgodziłaś?! – wrzasnął w słuchawkę, gdy skończyłam.

– A miałam inne wyjście? – chlipnęłam, myśląc, że go tym zmiękczę, ale nic to nie dało, bo nadal wściekle dyszał. – Nie denerwuj się, nie jest mi tu aż tak źle.

– Nie mogłaś od razu do mnie zadzwonić i powiedzieć, co się dzieje?

– Tak się jakoś złożyło... Wszystko działo się zbyt szybko, a ja nie chciałam cię denerwować, bo wyjazdu i tak nie można już było odwołać.

– Świetnie! – rzucił sarkastycznie. – Przyznaj się, że sama tego chciałaś!

– Nie chciałam, naprawdę!

– Gdybyś nie chciała, byłabyś teraz we Wrocławiu. A co ty w ogóle zamierzasz tam robić, na tej wsi?

– Przecież ci mówiłam, że będę tu pilnować schorowanej staruszki! No i oczywiście pisać doktorat! – pozwoliłam sobie na niego krzyknąć, co mnie natychmiast przeraziło.

Sapnął wściekle. Zaległa cisza. Janusz myślał, a ja bałam się, że się na mnie definitywnie obraził.

– Janusz? Obraziłeś się? – zapytałam po chwili.

– Nie – odezwał się wreszcie. – Ale na weekend do Wrocławia przyjedziesz, co?

– Właśnie z tym jest problem... Ciotka nie życzy sobie, abym zostawiała ją samą na dłużej. Wiesz, ma fobię przed rozłożeniem się.

– Przed czym ma fobię?

– No, przed rozłożeniem się. Chciałam powiedzieć przed śmiercią. Boi się, że gdyby umarła w samotności, zacznie się rozkładać i będzie wstyd na całą wieś, że jak ten pies ostatni zdechła i zamiast spocząć w poświęconej ziemi, to pierwsze muchy na niej jajka złożą czy coś w tym stylu. Aha, i internetu też tu nie ma.

– Ożeż... – Janusz, jako człowiek wykształcony, reprezentujący poważną jednostkę naukową, nie dokończył inwektywy.

– O rety, rety! – zaczęłam biadolić. – I co teraz zrobimy?

– Nie wiem – burknął. – W następną sobotę, zapamiętaj, dam ci sygnał, a ty oddzwonisz i o tym pogadamy. Zepsułaś mi cały wieczór. Gdybym wiedział, co mi zgotujesz, pojechałbym z żoną na działkę – powiedział obrażonym tonem i się rozłączył. Wyjąkałam jeszcze zboląłym głosem „przepraszam”, ale pewnie tego nie usłyszał.

4

Następnego dnia była niedziela i ciotka kazała mi iść do kościoła. Sama nie miała zamiaru ruszać się z domu, bo, jak twierdziła, gorąco mogłoby pogorszyć jej i tak już nędzne zdrowie.

– Ty, dziewczyno, ubierz się przyzwoicie, bo wiesz to nie miasto. Tu człowiek na drugiego szczególnie jest wrażliwy i go bacznie obserwuje, więc wstydu mi czasem nie przynieś.

Po czym podreptała za mną do pokoju, stanęła w drzwiach i patrzyła, jak się ubieram.

– Spodnie w taki upał?! – zdziwiła się ze zgrozą. – Dalej, pokaż, co tam masz!

I zdecydowanie natarła na moją nierozpakowaną walizkę.

– No proszę! – krzyknęła triumfalnie. – Nawet sukienka się znalazła! Wkładaj – rozkazała i ani myślała ruszać się z miejsca. Z ciężkim westchnieniem zrzuciłam ukochane dżinsy i sięgnęłam po sukienkę.

– Szkoda, że taka długa – mruknęła ciotka. – A co zrobisz z włosami? – zainteresowała się moją cienką kitką. – Za wiele to ty ich na głowie nie masz. I na dodatek ten kolor. Co to niby jest? – zapytała, uważnie im się przyglądając.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Przecież nie wyjaśnię jej genezy tego koloru. Blond to jedyna farba, na którą zgodził się Janusz. Zawsze gdy chciałam wybrać się do fryzjera, mawiał:

– Fryzjer? Po co? Mnie się podobasz taka, jaka jesteś. A jeśli interesują cię inni mężczyźni, to wiesz, że cię nie trzymam. Proszę bardzo, zrób sobie trwałą i odejź.

Aby więc mu udowodnić, że nie interesują mnie inni mężczyźni, od lat nosiłam tę samą fryzurę w tym samym kolorze – cienki ogonek w odcieniu mysiego futerka. Niedawno jednak mój ukochany mnie zaskoczył.

– Tak sobie pomyślałam, że może byś jednak ufarbowała włosy.

Z wrażenia zakrztusiłam się kawą.

– Janusz, jakiś ty cudowny! U mnie na osiedlu otworzyli nowy zakład i robią świetny balejaż. Wiem, bo Alicja była. I wyobraź sobie, że nawet nie mają zbyt wygórowanych cen – radośnie rozpaplałam się nad poplamionym obrusem.

– E tam! – machnął ręką. – Balejaż? I to w nowym zakładzie? Twoja siostra już tam była, tak?

– Przecież właśnie ci to powiedziałam.

– Ile razy?

– Co ile razy? Raz ci powiedziałam.

– Nie o to pytam. Ile razy twoja siostra korzystała z usług tego zakładu?

– Raz.

– A widzisz. Była tam tylko raz i już wystawiła pochopną opinię. Gdyby z ich usług skorzystała, powiedzmy, dziesięć razy, wtedy miałyby podstawę do wystawienia wiarygodnej oceny. I byłaby to ocena poparta doświadczeniem. Ty pójdziesz do fryzjera, którego ja ci polecę.

– Słucham?!

– Tak. Moja żona od lat chodzi do pani Lucynki i zawsze jest gustownie uczesana. Dam ci numer telefonu i umów się na farbę. Poproś o blond. I tylko nie mów, że namiary masz ode mnie!

Janusz i blond? Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Od kiedy ty lubisz blondynki?

Pomyślałem sobie, że w takim kolorze byłoby ci do twarzy. – Dotknął mojej ręki i zahipnotyzował błękitnym spojrzeniem.

Wkrótce okazało się, jak bardzo się mylił. Chociaż może gdybym zrobiła to w profesjonalnym salonie, a nie u emerytowanej księgowej dorabiającej w piwnicy jako fryzjerka, to kto wie? W każdym razie pani Lucynka załatwiła mnie na amen. Po czarach, które zrobiła z moimi włosami, wyglądałam, jakbym miała na głowie jajecznicę z dobrych, wiejskich jaj, których żółtka są niemal pomarańczowe. Przez pierwszy tydzień nie chciałam się Januszowi pokazać na oczy. Gdy mnie w końcu zobaczył, stwierdził, że wyglądam tak jak się spodziewał, czyli zupełnie dobrze.

– Dobrze? – pisnęłam. – Nie żartuj!

– Pewnie. Może i są trochę żółtawe, ale wyglądasz o niebo lepiej niż w naturalnym kolorze.

– Są żółtawe, bo przez ostatni tydzień umyłam je co najmniej trzydzieści razy! Na początku były niemal pomarańczowe – biadoliłam. – I pomyśleć, że ta głupia Lucynka skasowała za to prawie dwieście złotych!

– No, moja droga – Janusz splótł dłonie na brzuchu – za twojego fryzjera płacić nie będę.

– Wcale na to nie liczę. W sobotę idę do salonu na moim osiedlu zrobić dekoloryzację i może kasztan. Jeszcze pomyślę.

– Nacia – przybliżył twarz do mojej twarzy – ależ nie idziesz już do żadnego fryzjera. Kolor masz mieć taki jak teraz, a jak coś zmienisz, to z nami koniec.

– Koniec?!

– Oczywiście! Masz tak cienkie włosy, że jeśli jeszcze raz je ufarbujesz, pewnie ci wszystkie wypadną, a jak nie wypadną, to nie daj Bóg kolor nie

wyjdzie jak trzeba i znów będziesz mi marudzić. A ja tego słuchać nie mam zamiaru. Czy moja Nacia zrozumiała, co powiedziałem?

Oczywiście, zrozumiała i co gorsza uwierzyła w szczere intencje.

– Pomyśl nad tymi włosami. Takiego obrzydliwego koloru, jak żyję, nie widziałam – stwierdziła ciotka i wycofała się do swojego pokoju, skąd po chwili doszło mnie głośne zawodzenie Radia Maryja.

Rzuciłam okiem w lusterko, poprawiłam sukienkę i wyszłam.

Stare Strzelby były naprawdę piękne. Wieś rozciągała się na zboczu sporego wzniesienia, na którego szczycie stał dom ciotki. Przez środek biegła prowadząca do Jeleniej Góry szosa, a całą wioskę okalał las. Miałam więc przed oczami domy wszystkich mieszkańców. Ciekawe, jacy byli.

O drogę do kościoła nie musiałam pytać, bo wieżę doskonale widziałam z miejsca, gdzie stałam. Zresztą i tak nie miałabym kogo o to zaczepić, bo wokół panowała cisza i nie było widać żywego ducha. Jak nic musiałam być już spóźniona. Szybko zbiegłam na dół i dopadłam drewnianych drzwi. Szarpnęłam, strasznie były ciężkie. Zaskrzypiały zdradziecko, po czym powoli się otworzyły. Ksiądz zamilkł, organista przestał grać, a wszyscy zebrani odwrócili się w moim kierunku. Spiekłam raczka, speszona – zamiast się przeżegnać – dygnęłam grzecznie i błyskawicznie schroniłam za najbliższym filarem. Rzeczywiście ciotka miała rację, tutejsi ludzie bacznie się obserwowali. Nawet wyjątkowo bacznie, bo gdy ksiądz wreszcie odzyskał głos i msza potoczyła się zwyczajnym torem, i tak raz po raz ktoś zaglądał za filar, aby lepiej mi się przyjrzeć.

Po mszy, nie oglądając się na boki, szybko wyszłam z kościoła, by jak najprędzej dostać się na ulicę, a stamtąd prosto do domu ciotki. Nagle obok mnie jak spod ziemi wyrosła jakaś kobieta, która, gdy już zaczęłam nabierać prędkości, mocno chwyciła mnie za rękaw.

– Pani Natalio!

Szarpnęłam się, ale nic to nie pomogło. Spojrzałam na nią. To była gruba baba w kolorowej chustce na głowie. Stała po prawej i częściej niż inni zerkała w moją stronę. Zaraz obok niej pojawiło się dwóch mężczyzn i kobieta w zaawansowanej ciąży.

– Tak? – zapytałam zdziwiona, że zna moje imię.

– Od razu wiedziałam, że to ona – triumfalnie obwieściła grubaska i dodała: – Kazimiera tak dokładnie panią opisała, że w kościele od razu panią rozpoznałam. Kowalowa Stanisława jestem – wyciągnęła spoconą dłoń, którą uścisnęłam z ociąganiem. Ach, to jest ta Kowalowa, której ciotka pod choinkę chce dać mój obrus! – pomyślałam.

– To ta pani doktorat robi – powiedziała tak głośno, aż obejrzeni się wychodzący z kościoła ludzie. – Ta w ciąży – zwróciła się do mnie – to Milena, moja córka.

Milena uśmiechnęła się sympatycznie. Była niska, pulchna i miała wyglądające na naturalne, białe włosy albinoski.

– A ten w zielonym to Igor, mój siostrzeniec – ciągnęła Kowalowa.

Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że Igor był niczego sobie. Postawny, dobrze zbudowany, miał krótko ostrzyżone ciemnoblonde włosy i niewielką bródkę. Kolczyk w lewym uchu wprawdzie mógłby sobie darować, ale pasował do stylu jego ubrania i ostatecznie mogłam go przecierpieć. Miał na sobie ciemnozielony T-shirt, spodnie moro i ciężkie, zniszczone trapery.

Nie patrząc mi w oczy, uścisnął rękę.

– Igor.

– Natalia.

– A ten tutaj – Kowalowa wskazała wreszcie na stojącego po jej prawicy czarnego wosacza – to Waldek. Zięc.

Waldek mrugnął do mnie jak do starej znajomej i mięsistymi ustami przyssał się do podanej dłoni.

– Może pójdziemy razem, bo my niedaleko Brykowej mieszkamy? – trajkotała Kowalowa i nie czekając na odpowiedź, chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła za sobą, a w ślad za nami podążyła jej świta.

Milena zdjęła sandały i ostrożnie stąpała po przydrożnych kamykach. Waldek wbił ręce w kieszenie i cicho pogwizdując, szedł za żoną, a Igor trzymał się z tyłu.

– Jak się pani u nas podoba? – zagaiła Kowalowa, a ja, korzystając z tego, że na chwilę zwolniła uścisk, szybko się oswobodziłam i odsunęłam na bezpieczną odległość.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo Waldek, który nagle znalazł się za moimi plecami, wtrącił:

– A co niby miałyby jej się tu spodobać? Wieś jak wieś, wielka góra, a wokół tylko pola i lasy. Dziewczyna miastowa jest, nie takie atrakcje na co dzień ma, no nie?

– Nie, dlaczego, ładnie tu – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Może ty, Igor, pokazałbyś pani okolicę? – Kowalowa zignorowała zięcia i zwróciła się do człapiącego z tyłu siostrzeńca.

– Niby co miałyby pokazywać? – znów odezwał się Waldek. – Przecież sam przyjezdny jest.

– Ty się nie odzywaj. – Kowalowa poczerwieniała ze złości. – A ty, Igor, co taki cichy jesteś? To ja mam ci mówić, jak masz kobiety zabawiać? Umówiłbyś się z panią na spacer albo na drinka do klubu. Siedzisz tylko i te bohomyzy smarujesz. Żeby z tego jeszcze jakieś pieniądze były...

– Klub w remoncie, a do lasu nie radzę, bo żmij w tym roku zatrzęsienie – Waldek znów zabrał głos. – Widziałaś kiedyś żmiję? Mówię ci, jest obrzydliwa! – I wywalił język na pół brody.

– Milena, idźcie z Waldkiem szybciej, dobrze? – poleciła córce Kowalowa.

Milena posłusznie wzięła męża pod rękę i nieco przyśpieszyła kroku. Kowalowa dla pewności trzymała się z tyłu. Waldek obejrzał się jeszcze

kilka razy, ale nie mógł już się wtrącić, bo nie słyszał, o czym mówiliśmy. Poza tym drepcząca za nim teściowa pilnowała, aby milczał.

– Malujesz? – zainteresowałam się uprzejmie, aby przerwać milczenie.

– Trochę... – odpowiedział Igor cicho, po czym zapytał:

– Przyjechałaś tu opiekować się ciotką?

– Tak – westchnęłam – ale Brykowa ani nie jest moją ciotką, ani nie jest tak chora, jak próbuje mi to wmówić.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Ja też nie jestem stąd. Mieszkam w Pile i raz lub dwa razy w roku przyjeżdżam do Strzelb, aby malować w plenerze. Widoczki są cymes! – cmoknął z zachwytem.

– Praca ci na to pozwala? – zainteresowałam się.

– To jest właśnie moja praca. Ciotka się myli, że na obrazach nie da się zarobić. Poza tym grywam też na weselach i można jakoś żyć. O, tu mieszkamy. – Igor zatrzymał się obok starego krzyża pokutnego, przy którym był wjazd do gospodarstwa.

Kowalowa, Milena i Waldek musieli wejść do domu, bo nigdzie nie było ich widać. Już miałam się pożegnać z Igorem, gdy jedno z okien się otworzyło i ukazała się w nim głowa Kowalowej.

– Zaprosiłbyś panią na rosół!

– Rosół? W taką pogodę? – jęknęłam ze zgrozą.

– I do tego pewnie gorący – zachichotał Igor.

– Nie, dziękuję, muszę wracać! – odkrzyknęłam.

– To niech z ciotką przyjdą na grylla! Na szóstą! Karkówkę usmażymy. – I z impetem zatrasnęła okno, bo z tyłu zaczął przepychać się Waldek.

6

– Na grilla powiadasz? – Ciotka, w okularach przeciwsłonecznych na nosie, leniwie bujała się w hamaku. Był rozwieszony za domem między zdziczałymi sumakami w ten sposób, że palące słońce nie miało tam dostępu. Na nogach trzymała rozłożoną gazetę. W otwartym oknie stało radio, które tym razem nadawało skoczne kawałki.

– Czemu nie? – ziewnęła, po czym spojrzała na mnie badawczo.

– A jak ci się widzi Igorek?

– Igor? – zdziwiłam się, że o niego pyta. – Przystojny jest – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Tylko tyle?

– Jak to tylko tyle? Nie rozumiem.

– Ech, ty dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Nie wiem.

– Igor młody, ty w zasadzie jeszcze też i do tego ci się podoba, więc? – Spojrzała na mnie pytająco.

– Więc?

– To chyba jasne, o co cię pytam. Oboje samotni jesteście. Czas ucieka, za mąż wyjść trzeba i dzieci rodzić! – Ciotka aż dostała zadyszki.

Za mąż? A cóż to za niedorzeczny pomysł.

– Nie! Jeśli cioci takie myśli po głowie chodzą, to Igor wcale mi się nie podoba!

– Jeszcze się okaże, co ci się podoba – mruknęła złowieszczo ciotka i zsunęła z nosa okulary, dzięki czemu wreszcie przestała wyglądać jak mucha. – A w czym chcesz iść na tego grilla, co?

– Tak jak teraz, w sukience, którą zresztą ciocia sama mi wybrała – warknęłam.

– Hm... – zlustrowała mnie krytycznie. – Błada coś jesteś.

– Wiem – odparłam naburmuszona.

Błada byłam zawsze i do tego tu i ówdzie piegowata. Niestety nie byłam przy tym ruda, tylko mysia, a od niedawna żółtoblond, co dodatkowo podkreślało niedoskonałości mojej cery.

Wyciągnęłam ramię i dokładnie je obejrzałam – jak zawsze było niemal białe. Potem podniosłam wyżej sukienkę – nogi wyglądały jeszcze gorzej. Skórę miały bielszą niż ramię, a co gorsza pokryte były gęstymi, sterczącymi na wszystkie strony, włoskami. Kiedyż to ostatnio je depilowałam?

– Masz jeszcze czas. Podrasuj się trochę.

– Podrasuj?

– No, poopalaj. – Ciotka zgrabnie zeskoczyła z hamaka. – W korytarzu na krześle leży stary koc, możesz go rozłożyć – rzuciła na odchodne i poszła w kierunku kurnika. Po chwili doszło stamtąd postukiwanie metalowym naczyniem i nerwowe gdakanie kur.

We Wrocławiu nie było okazji do beztroskiego wylegiwania się na słońcu. Siostra nie miała ani balkonu, ani działki. To drugie miał natomiast Janusz, ale z wiadomych względów nigdy mnie tam nie zapraszał. Lato w mieście upływało mi na wypadach z siostrzeńcami do piaskownicy, na lody albo do kina. To znaczy tak było jeszcze w zeszłym roku. Podrapałam się po głowie. Owszem, było gorąco, ale słońce raz po raz chowało się za chmurami, więc nie było aż tak niebezpieczne. Rozejrzałam się wokół i nieopodal starej jabłoni wybrałam dobre miejsce do leżenia. Szybko przyniosłam koc i nie tracąc czasu na przebieranie się w strój kąpielowy,

rozebrałam się do bielizny i z lubością wystawiłam ciało ku promieniom słonecznym.

7

– Rany boskie! Obudź się, dziewucho!

Koścista ręka wpiła się w moje ramię.

– Auuuu! – wrzasnęłam z bólu i momentalnie otrząsnęłam z resztek snu.

– Co ty wyprawiasz?! Któż to widział spać na słońcu?! – Ciotka patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

– Faktycznie, trochę mi się przysnęło – zgodziłam się i dotarło do mnie, że jakoś dziwnie szczypią mnie powieki. Ba, nie tylko powieki, ale i nos, brzuch, ramiona, i uda także.

– Rany, jak ja wyglądam!

Moje potraktowane słońcem kończyny żarzyły się czerwienią niczym wóz strażacki.

– Co tam nogi – prychnęła ciotka. – Idź do lustra i zobacz swoją twarz, a ja w tym czasie naszykuję kwaśne mleko. Mamy jeszcze trochę czasu, zrobię ci okład.

Posłusznie zniknęłam w domu, ale twarzy nie miałam ochoty oglądać. Po tym jak bardzo piekła, wiedziałam, że ma się tak samo tragicznie jak reszta poparzonego ciała. Albo i gorzej.

– Kładź się – zarządziła ciotka.

Garnek z kwaśnym mlekiem postawiła na podłodze przy łóżku i cierpliwie poczekała, aż odpowiednio się ułożę. Po chwili poczułam, jak zimna ciecz łagodzi moje poparzenia.

– Nigdzie nie idę – wybąkałam półgębkiem i zlizала trochę mleka. Smakowało całkiem, całkiem.

– Pewnie, że nigdzie nie idziesz, bo teraz leżysz. Ale za godzinę to i owszem we dwie na grilla idziemy.

– Nie.

– Ależ tak.

– W takim stanie nie mogę.

– Sama sobie jesteś winna. Widział to kto, aby na słońcu...

– Spać – weszłam jej w słowo. – Tak, tu ciocia ma rację, ale dopóki nie będę normalnie wyglądać, ludziom się na oczy nie pokażę! – kategorycznie zabalgotałam zza spływającego do ust mleka. – Co ciocia robi? – zaniepokoiłam się, bo stuknął garnek, a moje poranione nogi nie doczekały się pomocy ciotki Kazi.

– Wychodzimy.

– Wychodzicie?

– Tak, garnek i ja. Jeśli nigdzie nie chcesz iść, to sobie tak leż, aż ci się nogi same wygoją. Ja idę na grilla.

– Co ciocia mówi?! – przestraszyłam się. – Niech ciocia nie żartuje i mnie jeszcze trochę poleje!

– Sama się polejesz, jak przyniesiesz garnek, bo go odstawiam na miejsce.

– A gdzie jest to jego miejsce?

– W komórcie obok kuchni.

O, zdrażliwa, paskudna ciotko! Tak, raz tam byłam i więcej nie miałam zamiaru wchodzić. Ogląd wspaniałej plejady słoików z dżemami, sokami, a nawet kiełbasą zakłócił widok nieprzyzwoicie upasionego pająka. Majestatycznie wylazł zza butelki z winem i przycupnął na wprost mojego nosa, jakby gotował się do skoku. Z dzikim wrzaskiem wyleciałam z komórki, zatrasnęłam za sobą drzwi i zakomunikowałam ciotce, że moja

noga już tam nigdy nie postanie. Nawet za cenę śmierci głodowej albo i cierpienia, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, co mnie spotka.

– Niech ciocia nie żartuje!

– Ani mi to w głowie. – W oddali trzasnęły drzwi do komórki.

– Ciociu! – zawyłam rozpaczliwie. – Niech zaraz ciocia wraca z tym mlekiem! Idę na tego grilla. Idę, idę, idę!...

8

Podwórze Kowalów było całkowicie zadymione. Dym wydobywał się zza stodoły, wszędzie wlaził, szczypał w oczy i drapał w gardle. Rozwścieczony, przywiązany do budy pies szczekał i miotał się na wszystkie strony, w korycie z wodą taplały się kaczki, a kury dziobały dopiero co rzucone ziarna.

– O! Witam miłe sąsiadki! – Z domu wypadła na nas Kowalowa z tacą w ręce. Leżały na niej surowe żeberka i kawałki mięsa. – Zapraszam, zapraszam! Waldek już grylla rozpala. – A pannie Natalce co się stało? – Przystanęła i ze zgrozą spojrzała na moje gorejące ramiona. Twarzy na szczęście nie widziała, bo ukryłam ją za rozpuszczonymi włosami i pożyczonymi od ciotki okularami.

– Jak to co? – wtrąciła ciotka. – Z miasta jest. Słońca spragniona i oto efekty.

Kowalowa jeszcze raz mnie zlustrowała, a następnie skinęła ręką, abyśmy szły za nią. Gdy mijała toczącego pianę z pyska psa, tupnęła nogą i wrzasnęła:

– Cicho, Burek! – Po czym rzuciła mu kawał mięsa. Jednak przerażony krzykiem pies zignorował darowiznę, skulił ogon i schował się do budy.

Kowalowa obejrzała się, by sprawdzić, czy za nią podążamy, i popędziła prosto w samo serce dymu, między krzaki i dawno niekoszoną trawę.

Pod starą, rozłożystą niczym matrona jabłonią stał plastikowy stół i krzesła. Na leżaku, z puszką piwa w dłoni i kapeluszem na twarzy, drzemał jakiś mężczyzna. Milena kroїła pomidory, a Waldek rozpalał grilla.

– Nie smrodź tak – upomniała go żona. – Niedobrze mi od tego.

– Jak ci nie pasuje, to won z tą robotą do chaty! – fuknął.

Dziewczyna już miała zabrać miskę i pomidory, gdy nas dostrzegła. Uśmiechnęła się blado, otarła pot z czoła i wróciła na swoje miejsce.

– Hirek! – Kowalowa szturchnęła drzemiącego mężczyznę. – Wstawaj, bo sąsiadki przyszły. Wstyd takiego chłopa ludziom pokazać – mruknęła do siebie.

Hirek jedną ręką zsunął kapelusz, a drugą przysłonił oczy przed zachodzącym słońcem.

– Uszanowanie miłym paniom! – powiedział, wcale nie kwapiąc się do wstawania. – Kowal jestem – ziewnął. – Niech siadają, gdzie wolne miejsca, i częstują się, czym chata bogata! – Zlustrował mnie wzrokiem. – To jest niby ta Natalia? – Wyciągnął palec w moim kierunku.

– Tak! – syknęła cicho małżonka.

– A biedny Igor już ją widział? – Kowal z politowaniem pokiwał głową.

– Właśnie, gdzie jest Igor? – kobieta szybko zmieniła temat i zdecydowanym ruchem odsunęła Waldka od grilla. Sprawnie ułożyła mięso i kilkakrotnie dmuchnęła w palenisko. Po chwili dym się zmniejszył i pojawił nikły płomień.

– O, tam ktoś idzie. Może to on? – wtrąciłam się i wskazałam daleki horyzont, a w tle postać, która wychynęła z lasu.

Kowalowa pobiegła wzrokiem we wskazanym kierunku.

– Ech, to nie Igor – machnęła ręką. – To Krzywy Maniek.

– Krzywy Maniek? Dlaczego krzywy? Jest kaleką? – Zawsze litowałam się nad ludźmi, którym los podstawił nogę.

– A gdzie tam!

Kowalowa najwyraźniej nie była tak wrażliwa jak ja, bo nie kwapiła się do wyjaśnień. Z informacją pośpieszył za to Waldek.

– Natalko, po pierwsze usiądź sobie wygodnie. – Szarmancko odsunął jedno z krzeseł. – Ten Krzywy Maniek to taki wioskowy kombinator. Łazi po lasach, kradnie drzewo i kłusuje. Dlatego mówimy na niego Krzywy, bo tak krzywo żyje, a nie jak uczciwy obywatel. Odkąd tu mieszkam, nie słyszałem, aby kilka dni uczciwie przepracował. Ale nie trzeba się go bać, bo mimo że zawsze ma przy sobie siekierkę i dubeltówkę, to naprawdę nic złego nikomu nie zrobi.

– Gdzież ten Igor? – Kowalowa była coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Ach, Igorek? – Waldek uśmiechnął się ironicznie. – Przepadł dwie godziny temu i słuch o nim zaginął. Pewnie lata gdzieś po lasach i smaruje te swoje malowidła. Że też porządni ludzie muszą pracować na takich darmozjadów – westchnął głośno i usiadł obok mnie. Po chwili spojrzał na mnie badawczo. – Ach, a co my tu mamy? Małe opalanko? – Nachylił się ku mojemu dekoltowi, aż poczułam na skórze jego oddech. – Fiu, fiu! Oparzonko jak marzenie. Mleka kwaśnego bym polał i od razu by przeszło.

– Już było polewane – burknęłam, patrząc na Milenę. Biedna dziewczyna nie wiedziała, gdzie oczy wsadzić. Pewnie, gdyby temu chamowi zwróciła uwagę, toby oberwała.

– Kiepsko jakoś. Jak ja poleję, to od razu przejdzie.

– Niczego nie będziesz polewać! – warknęła Kowalowa. – Rusz się zaraz i poszukaj Igora, żeby z nami ciepłe zjadł. I dzbanek kompotu z domu przynieś. A do tego szklanek nie zapomnij!

Waldek przewrócił oczami, ciężko westchnął i poszedł w stronę domu.

– Pani Natalia czegoś się napije? Piwko, drineczka? – Kowal wreszcie wstał z leżaka, leniwie się przeciągnął i ruszył wprost w pokrzywy. –

Świetny barek. Alkohol zawsze chłodny, a co najważniejsze, nikt nic z niego nie ukradnie – mrugnął do mnie i wyjął butelkę wódki.

– Nic. Dziękuję – odparłam, uśmiechając się przepraszająco.

– Niech pamięta, że alkohol uśmierza ból – dodał. – To co? Polać?

– Naprawdę nie.

Nie żebym do alkoholu żywiła szczególny wstręt, ale przed wyjściem zażyłam paracetamol i nie miałam ochoty doświadczać, jakimi wykaże się właściwościami, gdy zaleję go wódką.

– Taaa... – westchnął Kowal i z butelką wódki oraz kieliszkiem z powrotem zasiadł na swoim leżaku. – Jak nie chce z nami wypić, to niech trochę opowie o tym swoim doktoracie. Bo ciocia mówiła, że go robi, prawda?

– A tak. – Umościłam się wygodniej i wygładziłam leżącą na kolanach sukienkę. Lubiłam opowiadać o moich doświadczeniach, a już szczególnie byłam wniebowzięta, gdy ktoś sam z siebie wykazywał nimi zainteresowanie. – W skrócie można powiedzieć, że doktorat robię z pomidora i badam...

– Pomidora? – Kowal ze zdziwienia uniósł brwi. – Takiego, co go kroi Milena?

– Jeśli to odmiana szklarniowa, to tak – uśmiechnęłam się.

– A cóż w nim można badać? Stara, słyszałaś, z czego pani Natalia się doktoryzuje? Z pomidora! Ale numer! – zaśmiał się gromko.

– Pomidora badasz? – odezwała się ciotka. – A po co? Każdy na wsi wie, że pomidor potrzebuje słońka, obornika i wody. No i proszę, jak rośnie. – Niczym trofeum wzięła w dłoń leżący na stole owoc.

– Toż tak samo i ja myślę – powiedział Kowal i pokiwał z politowaniem głową. – I proszę, na co idą ciężko zarobione pieniądze podatnika! Na badania rzeczy, które nie wymagają badań!

– Nie zgodzę się z panem. – Poczułam, jak podnosi mi się ciśnienie. – Moje badania są bardzo ważne. Dowodzą, że dzięki odpowiedniemu nawożeniu w odpowiednim podłożu można uzyskać o wiele wyższe plony niż z roślin rosnących w waszym oborniku i w pełnym słońcu. Oczywiście, jak już wspomniałam, moje badania dotyczą roślin rosnących w szklarniach.

– Rany boskie! – jęknęła Kowalowa. – Nie dość, że biedne rośliny są sypane, to jeszcze od świata odgradzone. Jak wzrokiem sięgnąć, wszystko sztuczne!

– I tak oto marnują się pieniądze podatnika! – powtórzył Kowal, polał sobie wódki i wypił, a Milena przestała kroić sałatkę i patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

– Ależ to nie jest tak! – Ogarniała mnie rozpacz. – Nawożenie jest ściśle przystosowane do zasobności podłoża oraz fazy rozwojowej rośliny! Nie ma mowy o jakimkolwiek przenawożeniu, czy jak to pani określiła, sypaniu! Wszystko jest pod kontrolą!

– To jest jakieś szaleństwo – odezwał się Kowal. – Pod kontrolą? Nie rozumiem. Jak ja sobie w polu posadzę buraczki, ziemniaczki, no i pomidorki, to potem zostawiam je w spokoju. Nie robię im żadnej kontroli!

Ze zdenerwowania nie mogłam złapać oddechu. Ścisnęłam dłońmi dopiero co wygładzony rąbek sukienki i miętosiłam go jak gąbkę.

– Taaa... – Po chwili namysłu Kowal zerknął na mnie spod oka. – No niech jeszcze coś powie o tym swoim pomidorze, coby nam wesoło było.

Puściłam złośliwą uwagę mimo uszu i postanowiłam znów poczęstować go porcją solidnej, popartej wieloletnimi badaniami wiedzy.

– Ta kontrola, z której pan się śmiał, dotyczy między innymi sporządzania pożywek...

– Pożywek? A cóż to za ustrojstwo?

– To są roztwory przygotowane z pojedynczych lub wieloskładnikowych nawozów, które zawierają zbilansowane proporcje makro- i mikroskładników. Dozowane są według potrzeb, a te przecież zmieniają się wraz z wiekiem roślin. I wiedzcie, że wartość biologiczna takich pomidorów też jest nie byle jaka! To się naprawdę opłaca!

– Tere-fere kuku! – Kowal najwyraźniej miał już w czubie, bo zagrał na nosie. – Z kolei ja, jak tak na maksa nawalę na moje hektary zdrowego, śmierdzącego oborasa, to wszystko tak rośnie, że aż furkocze!

– Na maksa oborasa?! – powtórzyłam za nim i aż się zatrzęsłam z oburzenia.

– A tak. Walę sobie na hektar... – pomyślał chwilę – ponad sześćdziesiąt ton.

– Rany boskie! Ponad sześćdziesiąt ton!?

– No co? Ważne, że rośnie, aż furkocze! – wzruszył ramionami.

– Panie Kowal, więcej wiedzy na hektar! A wtedy te moje kontrole i inne na pozór bzdurne rzeczy wcale nie będą śmieszne!

Kowal ponownie wykonał gest z graniem na nosie, po czym dodał:

– Mówiła coś o podłożach. No to jeszcze niech nam powie, w jakich to cudownościach hoduje te swoje nieboraczki?

– Na przykład w wełnie...

– Słyszałaś to? – Kowalowa trąciła łokciem ciotkę, a Milenie nadkrojony pomidor wypadł z dłoni.

– W wełnie sadi pomidory! – wyszeptała z przerażeniem i schyliła się po niego, ale wydatny brzuch jej to udaremnił.

– Z wełną to ja mam do czynienia, jak sweter na drutach robię. Albo go pruję. To zależy od potrzeb – stwierdziła ciotka.

– No właśnie. Ta twoja Natalia to jakaś dziwna jest...

Powiodłam po nich zrozpaczonym spojrzeniem.

– To nie jest zwykła wełna! Tylko wełna mineralna! Ona powstaje ze specjalnych skał, które stapia się w temperaturze około tysiąca pięciuset stopni Celsjusza, a potem formuje włókna o...

– I niby w takim dziwactwie rosną sobie pomidorki? – zapytał Kowal na pozór poważnie, ale dobrze widziałam, że brzuch mu się trzęsie od tłumionego śmiechu.

– Oczywiście.

– I przy tym wszystkim są zdrowe oraz dają dobry plon?

– Tak.

– Ona bredzi – machnął na mnie ręką.

– Pewnie od tego opalania – dodała Kowalowa.

– Nie inaczej – zawtórowała jej ciotka.

– Tak? Skoro się śmiejecie z moich doświadczeń, niech mi ciocia powie – rzuciłam jej wściekłe spojrzenie – jak się ma moja nauka do waszej bajki o złym oku?

Kowalowi nagle przestał się trząść brzuch i spoważniał.

– Złe oko? – wtrąciła się Kowalowa. – Każdy wie, że lepiej z nim nie zadzierać, i jak komu życie miłe, to na bagna nie chodzić. I po co o nim teraz gadać, skoro do zmroku tak blisko?

– To są dopiero brednie! Wstrętne wiejskie głupoty, którymi można straszyć małe dzieci, a nie mnie! – krzyknęłam z rozpaczą.

– Jak nie chce wierzyć w oko, to niech nie wierzy. Ja w jej pomidory rosnące na swetrach też nie uwierzę – odezwał się Kowal.

– Dobrze, że tego wszystkiego Igor nie słyszy – półgłosem powiedziała Kowalowa do ciotki. – Milena, tylko nie waz się cokolwiek mu opowiadać,

bo jeszcze gotów nam popsuć szyki i stąd uciec. – Pogroziła córce palcem.

– No co też mama! Przez gardło by mi te herezje nie przeszły!

– Ja myślę!

– O, idzie wreszcie wasz Igorek! – powiedział nagle Kowal, a ja odetchnęłam z ulgą, że skończyła się ta męcząca rozmowa.

Igor nadchodził od strony domu i uśmiechał się już z daleka.

– Dzień dobry – powiedział i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, przy czym najdłużej patrzył na mnie. – Coś się stało, że macie takie dziwne miny?

Kowal wzruszył ramionami, ciotka zajęta była odganianiem muchy, a Kowalowa dmuchała w grilla.

– Nic, nic – pisnęła cicho Milena. – Pani Natalia tylko nam tu mówiła...

– Milena! – warknął Kowal.

– Tak, tato? – podniosła na ojca spłoszone spojrzenie.

– Daj tę sałatkę Igorowi, niech skończy, a ty sobie odpocznij. I pamiętaj, gadaniem się nie męcz! Dalej, siadaj obok mnie, niech mam cię na oku!

Igor podszedł do Mileny i wziął od niej pomidory. Sprawnie dokroił jeszcze kilka ogórków, cebulę, doprawił solą, pieprzem i dokładnie wymieszał.

– To co takiego mówiła Natalia? – zapytał.

– Że... – odezwałam się i z satysfakcją stwierdziłam, że wszyscy, oczywiście oprócz Igora, pobledli – w tym roku pomidory w mieście są dość drogie, z czym ani pan Kowal, ani pani Kowalowa, a i nawet szanowna ciocia zupełnie się nie zgadzają.

– I ja też się nie zgadzam! – pisnęła Milena.

– Dobrze, dobrze – wtrącił Kowal. – Skończmy już z tymi pomidorami.

– Tak jest – przytaknęła małżonka. – Igor, usiądź obok Natali.

– Zdecydowanie tam – zarechotał Hieronim, po czym wstał, nadpita półlitrowkę postawił na stół i oczywiście wrócił na swój leżak. – A tam kto znowu? – Przysłonił oczy i zaczął wpatrywać się w dwie zbliżające się od strony drogi sylwetki.

– Ach, to chyba Beata z Asią – powiedziała Kowalowa. – Zaprosiłaś je na grylla? – zapytała córkę.

– Wspominałam, że będziemy mieć gościa. Widocznie są ciekawe, kto to taki.

– Beata to koleżanka Mileny – wyjaśniła szybko Kowalowa. – Oj, nie ma biedaczka szczęścia w miłości. Prawie trzydziestka na karku, a nadal jest panną. No, ale przynajmniej ma dziecko – spojrzała na mnie wymownie.

– Dzień dobry – powiedziała Beata i uśmiechnęła się uroczo. – Przywitaj się grzecznie – szepnęła do dziewczynki. Mała dygnęła posłusznie i zaraz schowała się za mamą.

Westchnęłam z zazdrością. Beata była niezwykle urodziwą, szczupłą, naturalną blondynką o regularnych rysach twarzy. Długie włosy upięła w koński ogon, a czoło przykrywała krótka grzywka. Asia była bardzo do niej podobna, od matki różniła się tylko tym, że zamiast jasnych miała piwne oczy. Ukradkiem spojrzałam na Igora. Wpatrywał się w Beatę jak zahipnotyzowany. Zrobiło mi się przykro. Ja nigdy nie byłam piękną. Od dziecka lubiłam zjeść – co widać było po mojej masywnej figurze. Wprawdzie wiele osób mówiło mi, że mam ładne oczy, a usta jak sama Angelina Jolie, jednak Janusz komplementami obdarzał mnie z rzadka i raczej niechętnie.

– Kobieta, która chce być naukowcem, nie może zajmować się własnym wyglądem – mawiał.

Jako że byłam osobą postawną, miałam też duże piersi, ale tych Janusz nigdy nie komplementował. Był zimny, oschły i trzymał mnie na dystans. To powodowało, że zastanawiałam się, czy mu się podobam i czy w ogóle darzył mnie cieplejszymi uczuciami. Jednak raz, mniej więcej rok temu, powiedział coś, co dało mi do myślenia, a czego później się wyparł. Gdy się kochaliśmy, w chwili uniesienia krzyknął:

– Nikomu cię nie oddam!

I mimo że dwie minuty później zaprzeczył, że cokolwiek powiedział, słowa te, niczym drogocenny skarb, schowałam głęboko w sercu. On mnie kochał tak, jak umiał. Otrząsnęłam się ze wspomnień i wróciłam do rzeczywistości.

– Jak się czujesz? – Beata zapytała Milenę, która wachlowała się gazetą.

– Tak, jak widać – sapnęła. – Poznajcie się. Natalia przyjechała opiekować się panią Kazią.

Beata łypnęła na mnie zimnym wzrokiem.

– Długo tu pobędziesz?

– Tak ze dwa miesiące? – odparłam, zerkając na ciotkę, bo a nuż szczęśliwie dla mnie zaprzeczy i powie, że aż tak długo nie będę musiała tu kwitnąć. Ale, niestety, zajęta była robieniem drinka i się nie odezwała.

– Dwa miesiące?! – Beata powtórzyła ze zgrozą. – Myślisz, że wytrzymasz?! Bez dużego miasta, znajomych... chłopaka?!

– Chyba tak... – odpowiedziałam zaskoczona jej gwałtowną reakcją.

– Wytrzymie, wytrzymie – wtrąciła się Kowalowa. – Miasto nie zajac, nie ucieknie. Znajomych już tu ma, a chłopaka zupełnie do luzu.

– Chłopaka do luzu? – zdziwiłam się. – Co pani...

Nie zdążyłam dokończyć zdania, bo ciotka nagle zaniosła się straszliwym kaszlem. Igor błyskawicznie do niej doskoczył, łupnął dwa

razy w plecy, aż się nieboraczka zgięła w pół, co na szczęście pomogło. Odchrząknęła, po czym powiedziała:

– Kowalowa! Pilnuj no swego mięsa, bo się przypala!

– Racja. – Gospodyni odwróciła się do grilla i przełożyła na talerz kilka kawałków. – A gdzie tym razem przepadł Waldek? Hirek, rusz się i go zawołaj!

– Tak, niech wreszcie przyjdzie, bo strasznie chce mi się pić – dodała Milena.

– Ja pójdę! – Beata poderwała się z miejsca. – Asiu, zostań przy pani Milence, dobrze? – Mała posłusznie kiwnęła główką i usiadła bliżej Mileny.

– Opowies mi bajeczkę? – zapytała.

– Pewnie – odparła Milena i pogłaskała ją po rączce.

Igor odprowadził wzrokiem Beatę, widziałam, jak ją przy tym otaksował, po czym sięgnął po talerz z mięsem.

– Jakie wolisz? Krwiste czy przypalone? – zwrócił się do mnie.

– A normalnego nie ma?

– Niestety.

– To sobie odpuszczę.

Żeby jednak nie tkwić nad zupełnie pustym talerzem, nałożyłam sobie trochę sałatki. Nie była nawet zła. Igor piłował nożem mięso, ciotka zagłębiła się w gazecie, a Kowalowa ruszyła w pokrzywy po piwo. Krowy, cierpiące z powodu upału w oborze, smętnie ryczały. W oddali słychać było jadące ulicą samochody, a zachodzące słońce przynosiło nadzieję na chłodniejszą noc.

– O, wracają... – odezwał się nagle Igor, pracowicie przeżuując żylasty kęs.

Oderwałam oczy od talerza. Waldek niósł dzbanek, a Beata szła obok z tacą i szklankami. Mówiła coś do niego półgłosem i widać było, że była bardzo niezadowolona. Gdy podeszli bliżej, umilkła i przykleiła do twarzy uśmiech. Waldek spojrzał spod oka najpierw na Igora, a potem na mnie.

– To my już sobie pójdziemy – powiedziała Beata. – Chodź, Asieńko.

– Nie zjesz z nami? – zdziwiła się Kowalowa.

– Nie, już późno. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak się czuje Milenka. – Nachyliła się do koleżanki i cmoknęła ją w policzek. Wzięła małą za rączkę i oddaliła się, ciągnąc za sobą córkę.

– Nalać ci? – Igor sięgnął po kompot.

– A jaki jest?

– Albo za kwaśny, albo za słodki. Ryzykujesz?

– A mam inne wyjście w taki upał? – Podstawiłam mu szklankę.

Zaczęłam żałować, że zgodziłam się na tego grilla. Hieronim drzemał w swoim leżaku, ciotka szeptała o czymś z Kowalową, a Waldek z bardzo zboląłą miną masował Milenie spuchnięte stopy. Igor znów zamilkł i pograżył się w sobie tylko znanych myślach. Po tym jak patrzył wcześniej na Beatę, domyślałam się, kto mógł być ich przedmiotem. Lepiej było zostać u ciotki w domu i pisać pracę. W jednej chwili podjęłam decyzję.

– Dziękuję za gościnę, ale muszę już wracać – wstałam od stołu.

Ciotka z Kowalową umilkły, Hieronim od razu się obudził, a Waldek przerwał masaż.

– Jak to musisz wracać? – Ciotka gniewnie zmarszczyła brwi.

– Nawet mowy nie ma! – Kowalowa aż się uniosła.

– Muszę – uśmiechnęłam się przeprasząco. – Mam trochę pracy.

– Pracy? W niedzielę?! – ze zgrozą w głosie czknęła ciotka.

– Dzień święty trzeba święcić! – Kowalowa rypnęła pięścią w stół, aż zabrzęczały szklanki. – Igor! Zaproś zaraz panią Natalię do swojego pokoju!

– Że co?! – wystraszył się Igor i spłonął rumieńcem niczym dziewica.

– No te swoje obrazy jej pokaż, niech się dziewczyna nie nudzi. – Kowalowa wywróciła oczy do nieba, jakby szukała tam ratunku.

– Niech mama go zostawi, nie widzi mama, że on nie wie, co się z babą robi? – wtrącił Waldek, ale Milena kopnęła go w rękę tak boleśnie, że skrzywił się i od razu zamilkł.

– Obrazy? – Igor nerwowo oblizwał usta. – Może innym razem, bo... bo ja mam w pokoju okropny bałagan.

– Ależ to nic nie szkodzi, bo Natalia u siebie też ma bardak jak się patrzy, więc na pewno dobrze się u ciebie poczuje – usłudnie poinformowała go ciotka.

Igor spojrział na mnie z rezygnacją.

– Na co jeszcze czekasz? – warknęła Kowalowa. – Bierz ją do tego pokoju!

– Chodźmy więc. – Ruszył przodem, nie oglądając się, czy za nim idę.

– Tylko mu o tych pomidorach nie opowiadaj! – szepnęła na odchodne ciotka i pomachała mi ręką.

9

Dom Kowalów był duży, klockowaty i miał płaski dach. Nietrudno było zgadnąć, że wybudowano go w latach osiemdziesiątych. Po brudnym i zaniedbanym obejściu zaskoczyło mnie wymuskane wnętrze. Pokój Igora znajdował się na piętrze, tuż obok podestu. Wyjął pęk kluczy, po chwili odnalazł właściwy i otworzył drzwi. Zrobił krok w tył, aby wpuścić mnie pierwszą.

Ku mojemu zaskoczeniu nie zauważyłam tam ani śladu zapowiadanego bałaganu. Dywan był idealnie odkurzony, łóżko zaścielone po wojskowemu, a na stoliku piętrzył się stosik równo poukładanych gazet. Ani śladu porozrzucanych ubrań czy kurzu, nawet kwiaty w donicach były wypielęgnowane. O jedną ze ścian oparte były sztalugi, na których stał duży, częściowo zasłonięty prześcieradłem obraz.

– Ładnie tu masz – stwierdziłam z uznaniem i odwróciłam się w kierunku Igora. To, co zobaczyłam, sprawiło, że mnie zatkało jak nigdy dotąd. Cała ściana za moimi plecami obwieszona była obrazami, a na każdym z nich namalowana była... Beata! Beata z rozwianymi włosami biegnąca przez łąkę, Beata z wdziękiem zbierająca jagody, śpiąca na polanie czy siedząca w zadumie na zwałonym pniu drzewa.

– No co? – zapytał zaczepnie Igor. – W końcu jestem wrażliwy na piękno przyrody – dodał.

– Właśnie widzę – uśmiechnęłam się pod nosem.

Nie odpowiedział i podszedł do sztalug.

– A tu mam coś specjalnego, chcesz zobaczyć? – Chwycił za płótno, ale powstrzymałam go ruchem ręki. O nie, kolejnej Beaty ze skowronkami

w tle już bym nie zniosła.

– Nie, to nie – wydawał się rozczarowany. – Usiądź. Chcesz coś do picia? Wziąłem z dołu piwo z lodówki.

– Nie, dzięki. – Nie czułam się dobrze w pokoju pełnym Beaty. Dla osób postronnych nie było tam miejsca. – Robi się coraz ciemniej, muszę wracać.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami i z sykiem otworzył puszkę. – Wiesz... – powiedział cicho i upił mały łyk. – Mam do ciebie prośbę. Nie mów nikomu o tych obrazach.

– To dlatego zamykasz pokój na klucz?

– Tak.

– Po co ta tajemnica? Przecież Beata nie jest mężatką ani ty żonaty, więc dlaczego się ukrywacie?

Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Mój romans musiałam trzymać w tajemnicy, bo Janusz miał żonę. Ale oni? Bez zobowiązań, zupełnie nic ich nie krępowało, ba! Nawet więcej – ujawnienie światu, to znaczy wsi, takiego związku mogłoby spotkać się z ogólnospołecznym poparciem. A ja z Januszkiem? Tylko nerwy. Ileż to musieliśmy się nakombinować, aby nikt nie wpadł na nasz trop.

– Natalia, to nie tak... To wcale nie jest takie proste... – Zaczerwienił się po uszy.

– Miłość nigdy nie jest prosta – wtrąciłam cicho.

Pomyślałam, że może życie Igora nie było takie, jak je oceniłam? Może piękna Beata trzymała go sobie w zapasie, a po cichu szukała lepszego kąska? Stąd ich romans musiał być owiany mgiełką czy wręcz mgławicą tajemnicy, żeby nie odstraszać innych potencjalnych amantów.

– Nie bój się, nikomu nie pisnę słówka – obiecałam. – A teraz, z wdzięczności, że będę trzymać język za zębami, odprowadź mnie do

domu.

10

Wieczór był przyjemny i po upalnym dniu przyniósł wreszcie wytchnienie. Szliśmy w milczeniu na skróty, przez łąkę. Igor zdążył już wypić jedno piwo i teraz otworzył drugie. Szedł za mną i pogwizdywał z cicha. Jakiś czas wspinaliśmy się pod górę, tak że w końcu się zasapałam i musiałam złapać oddech.

– Poczekaj. – Przystanęłam i zaczerpnęłam tchu. – Daj mi trochę odpocząć.

– Może jednak się skusisz? – wyciągnął w moim kierunku puszkę.

Od tego marszu zupełnie zaschło mi w gardle. Paracetamol pewnie przestał już krążyć w mojej krwi, więc bez obawy pociągnęłam kilka sążnistych łyków. Piwo było ciepłe, ale przynajmniej zlikwidowało nieprzyjemne drapanie.

– Masz. – Chciałam oddać mu resztę.

– Nie, wypij do końca.

Brzydzi się – przemknęło mi przez głowę i ze złości dopiłam wszystko do dna, a było tego niemało, bo puszka była ledwo napoczęta.

– Słuchaj – powiedział Igor – a właściwie to z czego ty robisz ten doktorat?

Zerknęłam na niego z ukosa, potrząsnęłam puszką niby w poszukiwaniu ostatniej kropli piwa, po czym podrapałam się za uchem. Wspomnienie tego, jak potraktował moją poważną pracę naukową Kowal, było zbyt świeże, więc milczałam.

– Natalia, słyszysz mnie? Zadałem ci pytanie.

A co mi tam, nadal milczałam.

– Natalia! – Zaniepokojony Igor podszedł do mnie, złapał za ramiona i potrząsnął.

– Przestań, przecież nagle nie ogłuchłam!

– To dlaczego nie odpowiadasz? Twoja praca doktorska chyba nie jest tajemnicą, co?

– Nie jest... – zgodziłam się grzecznie.

– Więc?

– Co więc?

– Jak nie chcesz mówić, to nie mów – wzruszył ramionami, ale minę miał taką, jakby przed chwilą rozmawiał z wariatką. O nie, czego jak czego, ale chorej głowy nie można mi było zarzucić!

– Dobra, powiem ci. Robię doktorat z pomidora...

– Z czego?! – I zrobił to, czego się obawiałam – parsknął gromkim śmiechem.

– I co w tym śmiesznego?! – Stałam w rozkroku i wzięłam się pod boki.

– Pomidor! Pamiętasz z dzieciństwa zabawę w pomidora?

– Nie pamiętam – fuknęłam. Oczywiście, że pamiętałam. Przecież nieraz w nią grałam z Aluchą, koleżankami i z kim się tylko dało. A co było innego robić, gdy nie było komputerów, komórek i innych elektronicznych gadżetów? Pomidor, statki, państwa – miasta...

– Dobra, dobra. Już się nie dąsaj. To co ty badasz w tym swoim pomidorze?

– A ty nie masz o czym gadać? I tak tego nie zrozumiesz – odpowiedziałam mu nieuprzejmie. – Zobacz lepiej, jaki ładny widok.

Odwróciłam się w kierunku pozostawionych w dole domów.

– Uhu... – mruknął.

Łąkę u naszych stóp pokrywała mgła, przez którą rozbłyskiwały światła domów. Po lewej była ciemna ściana lasu, a po prawej czarna nitka cichej o tej porze ulicy. W powietrzu unosiły się różne zapachy. Te, które rozpoznawał mój miejski nos, to na pewno dym i schnące siano.

– Rzeczywiście pięknie – powiedział rozmarzonym głosem.

– Zobacz – pokazałam ręką w kierunku skraju lasu. – Ktoś tam chodzi. Dwie osoby... – Wyteżyłam wzrok. – He, he, he.... – zarechotałam. – Czyżby złe oko przymknęło oko i wypuściło na spacerek Herra i puszczałską Helenę? – znów się zaśmiałam.

– Przestań! Nie pokazuj palcami i nie śmieję się z takich rzeczy!

– Ty się śmiałeś z mojego pomidora, który jest tak realny jak to, że stoję obok ciebie, a ja nie mogę się śmiać z czegoś, czego nie ma? Widziałeś te strachy na własne oczy czy jak?

– No nie.

– To znaczy, że ich nie ma.

– Znasz to: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”? – rzucił, bacznie wpatrując się w postaci.

– Jasne, że tak, to Mickiewicz!

Tymczasem wędrowcy też nas chyba zauważyli, bo przystanęli.

– No cóż – powiedziałam – tym razem jednak nie będzie mi dane spotkać wasze lokalne strachy, bo jak widzę, to są mężczyźni.

– Aha... – mruknął Igor.

Obaj mieli duże, wypchane czymś worki, które na czas postoju zdjęli z pleców i postawili na ziemi. Nagle przyjaźnie pomachali. Nie zastanawiając się długo, także odmachałam.

– Co robisz?! – Igor złapał mnie za rękę.

– Odmachuję. Aż za serce chwyta, jak wszyscy są tu przyjaźni – zachwyciłam się.

– Przestań, mówię! – Igor zrobił się purpurowy na twarzy.

– Dobrze, nie unoś się. A w ogóle to kto to był?

– Grzybiarze – rzucił krótko i odwrócił się do lasu plecami. Mężczyźni zarzucili sobie na plecy worki i po chwili zniknęli w lesie.

– Ale mieli wory, widziałeś? Musiało być niezłe grzybobranie.

– Mhm...

– Zaraz, zaraz, czy nie jest trochę za ciemno na zbieranie grzybów? – zreflektowałam się.

– Przestań wreszcie o nich gadać! Nie znam się na grzybach ani na tym, kiedy się je zbiera. Unikając swoich spojrzeń, w milczeniu patrzyliśmy na wioskę. To znaczy na Stare Strzelby patrzył Igor, a ja na niego. Przyglądałam mu się kątem oka i nie ma co gadać, nawet jak się zezłościł, wyglądał bardzo atrakcyjnie. Szczęściara z tej Beaty! Zakręciło mi się w głowie. A ja? Niby byłam w związku, ale co to był za związek? Niby miałam faceta, ale nie do końca.

Janusz od lat wbijał mi do głowy, że nigdy się ze mną nie ożeni, bo jedną żonę już ma. No i do tego dziecko, a odpowiedzialność za rodzinę była jego priorytetem. Kiedyś, na początku naszego związku, powiedział, że mimo iż od dawna nie kocha swojej żony, nigdy jej nie opuści, bo ślubował jej to przed samym Bogiem. Chciałam mu przypomnieć, że podczas ślubu wspomniał też pewnie o miłości, wierności oraz uczciwości małżeńskiej, ale ugryzłam się w język. Zawsze powtarzał, że w każdej chwili mogę od niego odejść i związać się, z kim tylko zechcę. Ale nie chciałam. Nie był najśłodszy, ale na pewno wobec mnie w porządku. Bo przecież ileż razy słyszy się historie, że żonaty typ wdaje się w romans, mami zakochaną w nim kobietę wizją rozwodu, po czym ciągnie się to

latami? On obiecuje, a ona czeka. Mnie Januszek niczego nie obiecywał i za to go szanowałam. No i oczywiście podziwiałam. Za jego wiedzę i naukową pasję. Czasami zdarzały się chwile, gdy mówiłam sobie: „Dość! To już koniec, odchodzę!”. Nigdy jednak powziętego zamiaru nie spróbowałam wcielić w życie ani nawet Janusza nie poinformowałam, że po głowie krążyła mi taka myśl. W trudnych chwilach przypominałam sobie dobre rzeczy, które dla mnie zrobił, oraz sercem wsłuchiwałam się w jego gorący okrzyk: „Nikommu cię nie oddam!”.

Uspokajałam się i tłumaczyłam, że jestem związana z geniuszem, muszę go zrozumieć i na wiele jego dziwactw patrzeć przez palce. Poza tym dobry Bóg zesłał mi go w chwili, gdy już zupełnie straciłam nadzieję, że kiedykolwiek kogoś pokocham. Od połowy drugiego roku studiów spotykałam się z Grzegorzem. Był moją pierwszą miłością i sądziłam, że jedyną. Jednak pod koniec trzeciego roku pirat drogowy potracił go śmiertelnie na przejściu dla pieszych, po czym zbiegł z miejsca wypadku. Nigdy się nie dowiedziałam, kto go zabił.

Pogrążyłam się w czarnej rozpacz. Najpierw przestałam chodzić na zajęcia, ale w końcu dotarło do mnie, że nie tędy droga. Musiałam zaliczyć to, co zaważyłam, i wtedy zauważyłam Januszka. To znaczy jego spojrzenia i fory, jakie dawał mi na zaliczeniach. Czasem zastanawiałam się, czy patrzył już tak na mnie wtedy, gdy spotykałam się z Grzegorzem, ale niczego takiego nie kojarzyłam. Pewnie z tej prostej przyczyny, że akurat kochałam innego. Potem pisałam u niego pracę magisterską, a potem...

– Czemu tak na mnie patrzysz? – Igor zauważył moje spojrzenie i najwyraźniej się spłoszył.

– Ach, tak sobie. – Zrobiło mi się głupio, że zauważył moje zainteresowanie nim. Musiałam go tym zaniepokoić, bo powiedział ostrzegawczo:

– Nie łudź się, nic z nas nie będzie. Ty o tym nie wiesz, ale ciotka ma w planie nas zeswatać.

– Ależ wiem, wiem... – Czknęłam.

Jakoś dziwnie zakręciło mi się w głowie. Łypnęłam na las. Mogłabym przysiąc, że jeszcze niedawno był po lewej, a nie po prawej stronie łąki. Igor milczał, wzdychał, posapywał i aby rozładować narastające napięcie, zaczął pastwić się nogą nad kretowiskiem.

– Krety są pod ochroną – zauważyłam bełkotliwie. – A tak w zasadzie to muszę usiąść – dodałam i z ulgą łupnęłam na trawę. Igor westchnął z rezygnacją i usiadł obok. Zaległa cisza przerywana cykaniem świerszczy. Poczułam się źle i co gorsza coś zaczęło mi latać przed oczami. Machnęłam ręką raz, drugi i nic. Przez chwilę obserwowałam płasające, szare stwory i w końcu stwierdziłam, że nie może to być nic innego, tylko te słynne pijackie mroczki. Na domiar złego ręce i nogi zrobiły mi się jak z waty i zupełnie opadłam z sił.

– Igor... chyba źle ze mną... – mruknęłam półprzytomnie.

– Źle?! – Błyskawicznie poderwał się na nogi.

– Zaszкодziło mi piwo i... swatanie... to znaczy paracetamol... – stęknęłam i padłam na wznak, uderzając głową w rozgrzebane przez Igora kretowisko.

Przerażony pomógł mi podnieść się do pionu. Zachwiałam się w kierunku rowu, więc objął mnie i powoli poprowadził w kierunku domu ciotki.

– Już niedaleko – powiedział bardziej do siebie niż do mnie i otarł dłonią pot z czoła. Trochę mi się polepszyło, ale nie miałam zamiaru się z tym afiszować. Do ciotki wracać mi się nie chciało i aby opóźnić dotarcie do celu, w ogóle nie przebierałam nogami. Igor ciągnął mnie więc, jak mógł, dzięki czemu przekonałam się, jaki był silny.

Pod domem oparł mnie o ścianę i zadzwonił. Ciotka musiała czatować pod drzwiami, bo natychmiast je otworzyła.

– O, Igorek. A gdzie Natalia?

– A kuku! – wrzasnęłam, a ciotka podskoczyła efektownie.

– Ależ ty jesteś pijana! – krzyknęła oskarżycielskim tonem. – I w dodatku upiłaś się w towarzystwie mężczyzny!

– O, przepraszam, ciocia też maczała w tym palce!

– Ja?! – zatrzęsła się z oburzenia.

– Pewnie. Gdyby nie to głupie opalanie, to nie brałabym paracetamolu i jedno piwo wcale a wcale by mi nie zaszkodziło. – Wygłoszenie tej tyrady nieco mnie osłabiło, musiałam więc ponownie skorzystać z pomocy ściany. Mroczki, z większym lub mniejszym nasileniem, nadal latały.

– Marsz mi zaraz do domu! A ty, Igor, zapomnij o tym incydencie... Więcej tego nie robi.

– Zrobi, zrobi – pokiwałam głową, po czym musiałam ją przytrzymać, bo miałam wrażenie, że jeszcze jeden ruch, a odpadnie.

Ciotka zignorowała moją pogroźkę i zwróciła się do Igora:

– Przyjdź do nas jutro, Natalia ugotuje pierogi ze śliwkami.

– Jutro? Nie bardzo mi pasuje. Muszę odebrać z dworca kolegę.

– Kolegę? – nieprzyjemnie zdziwiła się ciotka.

– Kolegę? – ja zdziwiłam się o wiele bardziej przyjemnie.

– Tak. Tzvetan jest Bułgarem francuskiego pochodzenia i przyjedzie tu malować pejzaże. Poznałem go w zeszłym roku na wakacjach w Bułgarii – wyjaśnił.

– A gdzie będzie nocować? Przecież nie u was, bo dzieciak niedługo się urodzi, a obcy w domu to go jeszcze jaką cholera zarazi – drążyła ciotka.

– Wynajmę mu pokój u Beaty. Już z nią na ten temat rozmawiałem.

– U Beaty? Tfo... je... tfo... twojej Beaty? – Chciałam popukać się
palcem w czoło, ale trafiłam w oko. – Zgłupiałeś?!

I zapadłam się w ciemność.

11

Następnego dnia już od rana lało jak z cebra. Ciotka trochę się na mnie dąsała, ale złość jej minęła, gdy przyszło do robienia pierogów. Ja oczywiście nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Nędzną byłam kucharką, oj, nędzną. Jediną potrawą, która zawsze mi wychodziła, były naleśniki. Pomijając ich walory smakowe, dodatkową atrakcją podczas smażenia był świetny show, który moi siostrzeńcy wprost uwielbiali. Gdy placek leciał w górę, ja w tym czasie, niczym Chuck Norris, robiłam dwa półobroty albo jeden piruet. Ostatnio zabawę chciałam wzbogacić o dwa przysiady. Jednak nic z tego nie wyszło, bo za bardzo strzykało mi w kolanach, przez co w połowie drugiego przysiadu placek lądował na mojej głowie.

– Dałaby ciocia spokój z tymi pierogami – jęczałam znad stolnicy pełnej ciastopodobnej brei. – Igor i tak nie przyjdzie.

– Przyjdzie czy nie, jak wyjdiesz za mąż, będzie jak znalazł.

– O ile wyjdę – zauważyłam sceptycznie i uformowałam kleistą bryłę. – A może zrobię naleśniczki? – zaproponowałam nieśmiało.

– Chcesz zmarnować tyle ciasta?! Mąki jeszcze podsyp – poleciała ciotka. – Albo nie, daj, ja to zrobię. – Nie wytrzymała amatorszczyzny i przejęła inicjatywę, w wyniku czego już po kilkunastu minutach w garnku gotowała się pierwsza porcja zgrabnych pierożków. Przygotowałam sobie talerz i rozsiadłam się wygodnie.

Muszę przyznać, że ciotczyne pierożki były pierwsza klasa. Tak jak nie potrafiłam wykazać się talentem kucharskim, tak ponownie udowodniłam, jakim jestem zdolnym pożeraczem.

– Jak już skończysz, to pójdziesz do Kowalowej po mleko. Rano się skończyło, a ja nie lubię czarnej kawy. Kalosze i parasol są w skrytce pod schodami, a bańka na mleko pod zlewem. Nie musisz wyparzać. Wczoraj to zrobiłam – wyjaśniła. – Aha, wcześniej oczywiście tu posprzątaj – dodała i poszła do siebie.

Szybko uporałam się z garnkiem i stolnicą, wzięłam bańkę i odnalazłam kalosze, które okazały się czarnymi gumofilcami za dużymi na moje stopy przynajmniej o trzy rozmiary. Przejrzałam się w lustrze – wyglądałam jak kot w butach. To pewnie po nieboszczyku mężu –na myśl o trupie w gumowcach ze strachu złapał mnie w łydce skurcz. Jednak nie miałam wyjścia i musiałam ich użyć, bo na dworze wciąż lało. Rozmasowałam bolącą nogę i rozłożyłam parasol. Takiego jeszcze nie widziałam: był bardzo duży i przeraźliwie żółty. Kolor był tak intensywny, że najbezpieczniej byłoby patrzeć na niego przez okulary przeciwsłoneczne. Ale na tym nie koniec: na jaskrawym materiale pyszniły się wielkie czerwone maki. Zakręciłam tym dziwnym egzemplarzem kilka razy i wyszłam w deszcz.

Podwórko ciotki Kazi zamieniło się w bagno. Błoto plaskało pod nogami i nim dotarłam do szosy, ze dwa razy o mało nie zostawiłabym w nim gumiaków. Gdy wreszcie doczłapałam się do drogi, okazało się, że pobocza praktycznie nie istniały, bo spływały po nich rwące strugi wody. Na szczęście ruch był niewielki i swobodnie powędrowałam środkiem jezdni. Zresztą mój barwny parasol był tak znakomitym znakiem ostrzegawczym, że każdy kierowca zdążyłby w porę wyhamować.

Podwórze Kowalów wyglądało jeszcze gorzej niż ciotczyne i dojście do drzwi kosztowało mnie wiele nerwów. W końcu się udało. Na małym ganku otrzepałam wodę i złożyłam parasol. Przy drzwiach nie było dzwonka, więc zapukałam. Cisza. Policzyłam do pięciu i znów zapukałam, tym razem

mocniej. Nadal nic. Rozejrzałam się po podwórku: nigdzie nikogo nie było widać, tylko Burek siedział w budzie i podejrzliwie mi się przyglądał. Gwizdnęłam na niego cicho – warknął, ale się nie ruszył. Nie spuszczać z niego wzroku, nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły, a w psa jakby piorun strzelił i błyskawicznie, głośno ujadając, rzucił się w moim kierunku. Wskoczyłam do środka i z satysfakcją zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

– Halo! – zawołałam.

Dom pogrążony był w półmroku. Z góry dochodziły jakieś głosy, więc zdjęłam gumowce i weszłam na schody.

– Jest tam kto? – zawołałam, ale nadal nikt mi nie odpowiedział. Odniosłam wrażenie, że głosy stały się gwałtowniejsze.

Drzwi do pokoju Igora były zamknięte, uchylone natomiast były te na końcu korytarza i to stamtąd dochodziła rozmowa. Podeszłam bliżej. Słysząc było radio i podniesiony męski głos:

– Nieprawda?! Co mi tu łżesz jak pies?! Mam oczy i widzę, co się dzieje!

– Co mi tu teść wyjeżdża?! Nic się nie dzieje! – odezwał się drugi, który także należał do mężczyzny. – To już miłym być nie można? Od razu takie posądzenia!

– A ta mała to niby czyja, co? Po kim takie ciemne ślepia ma?!

– Teść zwariował czy co?!

– Pamiętaj, pętaku, jak jeszcze raz zobaczę cię z tą suką, zabiję jak psa!

– Teść zwariował, matkę dziecku chce zabić?

– Nie sukę, a ciebie, gnido, ukatrupię! Ciebie!

– Teść do wariatkova się nadaje, ot co!

– Ty bezczelny wiarołomco! Coś ty powiedział?!

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i na korytarz wyskoczył Waldek, a w ślad za nim rozjuszony Hieronim.

– A! – Waldek wrzasnął na mój widok.

– A! – krzyknęłam i ja, bo zdrowo mnie przestraszył.

– Co tu robisz? – zdziwił się Hieronim.

– Ja? Ja tylko po mleko przyszłam.

– Zaraz widać, że to miastowe, bo zamiast do obory, to do chałupy za mlekiem leżesz – skomentował Hieronim.

– Nikogo tam nie było – skłamałam, bo przecież do obory w ogóle nie zaglądałam.

– Wiadomo, że nikogo oprócz Mućki tam nie będzie, bo Staszka z Mileną do szpitala pojechały.

– Do szpitala? – zainteresowałam się. – Milena już rodzi?

– A kto to może wiedzieć? Coś tam ją rano łupało, więc chwyciły torbę i pojechały.

– I co?

– Co, co? – Hieronim był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– No co się urodziło?

– Nic się jeszcze nie urodziło. Czekamy! – burknął i zniknął w pokoju.

– Oj, ta nasza Natalia to w gorącej wodzie kąpana. – Waldek wziął mnie pod łokieć i poprowadził w kierunku schodów. – Jak już się małe urodzi, to kupię flaszkę, ciebie zaproszę i sobie zabalujemy – mrugnął do mnie, a jego ręka płynnie przemieściła się z łokcia w okolice pośladków. Strząsnęłam ją z obrzydzeniem i szybko zeszłam na dół. Waldek mlasnął lubieżnie i powiedział:

– Twarda sztuka. Lubię takie!

Udałam, że nie słyszę, i już miałam wyjść na zewnątrz, gdy przypomniało mi się, że pewnie waruje tam Burek, więc przepuściłam Waldka. Niby przypadkiem otarł się jeszcze o mnie i wyszedł na dwór.

– O, ty ścierwo! – usłyszałam najpierw jego głos, a zaraz potem bolesny skowyt psa. Droga była wolna.

Deszcz nadal siąpił, ale nie rozkładałam parasola, aby Waldkowi nie przyszło czasem do głowy iść pod nim razem ze mną. Wolałam zmoknąć.

– Mleko my w komórce, zaraz przy oborze trzymamy. Na drugi raz, jak będziesz chciała mleka, od razu tam idź i sobie nalej – wyjaśnił Waldek i otworzył drzwi.

Komórka była świeżo odnowiona i bardzo czysta. W kącie stały jakieś sprzęty, a obok nich stara lodówka. Waldek otworzył ją i wyjął jedną z dwóch stojących tam baniek. Nalał mi do pełna.

– Ile płacę?

– Natalio! – udał oburzenie. – Dla ciebie zawsze za darmo!

– Ale to nie dla mnie, tylko dla ciotki – wyjaśniłam szybko, bo niczego od niego nie chciałam, a poza tym nie ufałam mu. Dzisiaj za darmo, a jutro zażąda zapłaty, a biorąc pod uwagę jego zapędy, pewnie w naturze.

– Nie, nie, dla cioteczki też za darmo.

– W takim razie dziękuję. – Ruszyłam do wyjścia.

– Może pomóc ponieść? Ślisko, mokro, bańka pełna, jeszcze się co rozleje albo, co gorsza, w błoto się przewrócisz.

– Nie, dziękuję! – odparłam nieco zbyt gwałtownie, ale Waldek nie przyjął tego do wiadomości. Niemal siłą wyrwał mi bańkę, kopnął drzwi i ruszył w ślad za mną. Początkowo próbował zabawiać mnie rozmową, ale widząc, że nie podtrzymuję żadnego z tematów, zamknął się wreszcie i tylko pogwizdywał z cicha. Na ulicy rycersko zajął miejsce od strony jezdni.

– Pójdę z tej strony, bo jeszcze jakie bydlę będzie przejeżdżać i cię błotem obryzga – po czym znów zamilkł i zaczął gwizdać.

– Waldek! – zawołał nagle ktoś z podwórza, które właśnie mijaliśmy. Spojrzałam w tamtą stronę i moim oczom ukazała się piękna Beata. Nawet teraz, przewiązana kwiecistym fartuchem, jaki noszą wszystkie szanujące się gospodynie domowe, oraz w rozdeptanych butach, mogła budzić podziw (mój) i pożądanie (mężczyzn).

– O, Beata... – bąknął pod nosem Waldek i przyśpieszył kroku.

– Poczekaj! – Zbliżyła się do zardzewiałej furtki. Z każdym krokiem w naszą stronę usta i oczy coraz bardziej jej się zwężały ze złości, przez co zaczęła przypominać skrzyżowanie drapieżnego ptaka z kobrą szykującą się do ataku.

– Nie widzisz, jak leje? Spieszymy się. – Niechętnie przystanął, a ja wraz z nim.

– Co tam niesiesz w tej bańce?

– Mleko dla Brykowej.

– Natalia sama nie da rady? – zasyczała.

– No co? Pomagam tylko.

Beata zmierzyła mnie nienawistnym wzrokiem.

– Beata, ta poszewka ma dziurę! – Nagle na progu jej domu stanął Igor. W ręce trzymał różowy materiał, któremu wnikliwie się przyglądał. Waldek zbladł.

– A ten co tam robi?! – warknął wściekle i zazgrzytał zębami. Złapał moją rękę, wcisnął w nią uchwyt bańki, a sam doskoczył do furtki. Beata szybko przytrzymała klamkę.

– Nic takiego. Tylko powleka pościel – odpowiedziała słodko.

– Powleka pościel?!

– Przecież wiesz, że wynajmuję pokoje, więc o co ci chodzi?

– Ale co on tam robi? Jest gościem, pracownikiem, a może kochankiem, co?

– Nie udawaj głupka, dobrze?

– Nikogo nie udaję!

– To tym gorzej dla ciebie – mruknęła pod nosem.

– Zaraz mu nogi z dupy powyrywam – gorączkował się Waldek. – Od dawna go obserwuję i widzę, jak się koło ciebie kręci! Dam mu nauczkę i się odczepi!

– Nie rób cyrku – rzuciła na mnie szybkie spojrzenie. – Przecież dobrze wiesz, że będzie u mnie mieszkać jego znajomy.

– Znajomy? – Waldek uniósł wysoko brwi. – Pierwsze słyszę.

– Igor naprawdę nic ci nie mówił? – tym razem to Beata się zdziwiła. – Ten jego znajomy to cudzoziemiec. Jakiś Francuz bułgarskiego pochodzenia.

– Bułgar francuskiego – poprawiłam.

– A ty skąd to wiesz? – zapytała Beata.

– No właśnie, skąd? – Waldek nagle przypomniał sobie o mojej obecności.

– Igor mi powiedział.

– Kiedy?! – Waldek poczerwieniał.

– Co cię to obchodzi? – Beata znów zmieniła się na twarzy. – Natalia, a ty nie musisz już iść z tym mlekiem? Ciocia pewnie na nie czeka.

– Nie. Nie spieszę się – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i ostrożnie postawiłam bańkę na ziemi, przypieczętowując tym samym wypowiedziane słowa. Dialog między Waldkiem a Beatą przedstawiał się tak interesująco, że ani mi w głowie było opuścić ten spektakl. Poza tym ciekawa byłam tego

całego Tzvetana, no i Igor... Wciąż stał na progu i z takim zafrasowaniem oglądał poszewkę, że nadal mnie nie dostrzegał.

– Beata! – zawołał ponownie Igor i wreszcie na nas spojrzął. – O, cześć – powiedział na mój widok i lekkim krokiem, nie zważając na nasilający się deszcz, podszedł do furtki.

– Chyba nic się nie da z tym zrobić – zwrócił się do Beaty i zaprezentował okazałych rozmiarów dziurę.

– Nie, dlaczego? Mam w domu płótno, zrobię łatkę.

– Łatkę? – Igor skrzywił się z niesmakiem. – Ale jak to będzie wyglądać?

– Nic się nie bój, nie będziesz się musiał wstydzić przed tym całym Tsef...

– Tzvetanem – przyszedł jej z pomocą.

– Igor! – zawołał nagle ktoś z okna. Wychylała się stamtąd czarnowłosa głowa, a Igor zabrzmiało tak z cudzoziemska, że nie mógł być to nikt inny, tylko sam Tzvetan. Igor odpowiedział mu coś po francusku, najwidoczniej, aby przyszedł, bo po chwili stanął obok nas istny Adonis. Porażona jego urodą nerwowo przełknęłam ślinę, złożyłam i rozłożyłam parasol, przestąpiłam z nogi na nogę, trącąc przy tym bańkę, i o mało co nie wylewając jej zawartości. Waldek może był głupi, ale nie ślepy. Nienawistnie otaksował przystojnego intruza, zazgrzytał zębami i zacisnął wściekle szczęki.

Igor był urodziwy, ale Tzvetan przyćmiewał urodą największych przystojniaków. Wysoki, czarnowłosy i czarnooki, o mocno zarysowanej szczęce mógł być ucieleśnieniem marzeń wszelkich spragnionych miłości uczennic, studentek, kobiet pracujących oraz zwawych emerytek i rencistek. Pod obcisłą koszulką rysowało się idealne, niewątpliwie wypracowane na siłowni ciało, a całości dopełniała brązowa karnacja. Był

tak piękny, że ręka sama rwała się do tego, by go uszczypnąć i przekonać się, że jest prawdziwy.

Tymczasem Tzvetan, patrząc na mnie, powiedział coś do Igora.

– Natalia, czy mogłabyś podejść bliżej? – zapytał Igor.

Zaskoczona wykonałam prośbę.

– Mogłabyś podać Tzvetanowi swój parasol?

– Że co?

– Parasol. Pożycz.

Podalam mu przez płot. Tzvetan wziął go do ręki z nabożną czcią, przyjrzał mu się z podziwem i aż cmoknął z zachwytu.

– Ci artyści! – prychnęła z pogardą Beata. – Żebyście widzieli, jak zachwycał się stokrotkami na mojej zastawie.

– Idziemy – warknął Waldek. Najwyraźniej nie mógł się pogodzić z niegasnącym podziwem w moich oczach. Chwycił mnie mocno za łokieć i powiedział do Beaty:

– A my sobie jeszcze pogadamy.

– Ja myślę – odparła, nie przejmując się jego tonem, i poszła w kierunku domu, a za nią Igor. Tzvetan z ociąganiem oddał mi parasol i jeszcze kilka razy się obejrzał, nim zupełnie zniknął mi z oczu.

12

Do końca tygodnia lało bezustannie, więc znudzona ciotka ze zdwojoną troską zajęła się moją kulinarną edukacją. Podsuwała mi pod nos coraz bardziej wymyślne przepisy, których treść było mi pojąć tak samo trudno, jak przerabiane w podstawówce wiersze. Niestety nigdy nie udało mi się wpaść na właściwy trop. Mimo to ciotka działała bezwzględnie, bo zawsze pilnowała, abym zjadła efekty mojej pracy. Po tych eksperymentach zaczął mi dokuczać żołądek, a po zawiesistych sosach kłuło w prawym boku. Jak nic musiała to być wątroba. Gdy nadeszła sobota, bóle brzucha były tak silne, że zupełnie zapomniałam oddzwonić do Janusza, który wbrew wszelkiej ostrożności już po południu dał mi głuchochacza. Około północy, z płytkiego, przerywanego skrętami kiszek snu, obudziła mnie komórka.

– Słucham – jęknęłam nieprzytomnie.

– Co ty sobie wyobrażasz?!

To był Janusz. Na dodatek wściekły jak sto diabłów. Od razu się rozbudziłam i usiadłam na baczność.

– Janusz, nie gniewaj się... – odruchowo zaczęłam go przeproszać, ale przerwał mi w pół zdania.

– Nie gniewaj?! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak ja dla ciebie narażam moje małżeństwo?

– Skąd dzwonisz? – zapytałam podejrzliwie.

– Z łazienki! Udaję, że mam biegunkę.

Rzeczywiście, dopiero teraz usłyszałam szum spuszczonej wody.

– Krysia całe popołudnie była na zakupach, mogłaś oddzwonić! Przecież dałem ci aż trzy głuchochacze! Ty mnie lekceważysz! – wykrzykiwał

w słuchawkę.

– Nie krzycz tak – stęknęłam. – Nie czuję się zbyt dobrze.

– Dobrze ci tak, po co tam jechałaś?! – powiedział z satysfakcją, czym mnie tak rozzłościł, że straciłam nad sobą panowanie.

Bolał mnie brzuch, a on nawet się nie zainteresował, co mi jest. Nigdy nie obchodziło go nic więcej niż czubek własnego nosa. Poświęcałam mu najlepsze lata, aby nic z tego nie mieć: nadziei na normalną rodzinę ani nawet udanego seksu, bo nieraz się zdarzało, że podczas gdy nade mną dyszał i sapał, zasypiałam snem sprawiedliwego.

– Wiesz po co? – wycedziłam przez zęby. – Po to, by poznać dwóch fantastycznych facetów! Młodych, przystojnych i na dodatek wolnych, więc nie zadawaj mi już tego typu pytań! A teraz idę spać. Dobranoc! – rozłączyłam się, a po chwili wyłączyłam komórkę. Należało mu się! Stary ramol, a ma się za pępek świata – pomruczałam jeszcze pod nosem i zapadłam w nerwowy, pełen bólu sen.

13

Niedzielny ranek niestety nie przyniósł tak wyczekiwanej ulgi. Ciotka ani słowem nie wspomniała, abym szła do kościoła, i kategorycznie zakazała mi wstawać z łóżka. Mimo że nie miałam gorączki, co dziesięć minut mierzyła mi temperaturę, a w przerwach między pomiarami parzyła w kuchni ziółka. Potem wpadała z kubkiem, wręczała mi go bez słowa i czekała, aż wypiję. Oczy mi przy tym wychodziły z orbit, ale ponieważ – tak jak ciotka – łudziłam się, że napar pomoże, dzielnie go w siebie wlewałam.

– I jak? Lepiej ci? – dopytywała z nadzieją w głosie moja osobista lekarka.

Zgodnie z prawdą przecząco kręciłam głową.

– Już nigdy nie pozwolę jej niczego ugotować – ciotka gadała do siebie i leciała do kuchni po kolejną miksturę.

Brzęczała garnkiem, stukała moździerzem, po czym dochodził do mnie zapach nowej mieszanki.

– Teraz przyniosłam coś specjalnego – stanęła w drzwiach z kolejnym kubkiem w rękach. – Tylko uważaj, bo jest wyjątkowo obrzydliwe.

– Wypiję wszystko, byleby tylko pomogło – wzięłam od niej kubek i pociągnęłam duży łyk.

Ciotka miała rację... To, co wypiałam, było największym obrzydlistwem świata. Zakrztusiłam się i prychnęłam świństwem na koc, wypuszczając przy okazji z rąk kubek, który spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak.

– Co za niezdara – mruknęła ciotka i wybiegła z pokoju. – Nie wiesz, gdzie jest ścierka do podłogi? – dobiegło mnie z komórki.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież to ty ostatnio myślaś kuchnię! – głos ciotki stawał się coraz bardziej poirytowany.

– Ach tak! – przypomniałam sobie. – Wisi przed domem na płocie.

Nagle zadzwieczał telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Januszek?

– Halo?

– Nie mam czasu na gadki. Siedź cicho, słuchaj uważnie i nie piszcz! – powiedział.

– Niby czego mam nie robić? – zdziwiłam się. Czyżby mojemu mężczyźnie z tęsknoty w głowie się poprzestawiało?

– Nie piszcz, mówię! Wziąłem trochę zaległego urlopu i przyjadę do tych twoich Strzelb...

– Super! – natychmiast zapiszczałam w słuchawkę. On naprawdę był kochany! Byłam dla niego taka okropna, a on co? Przyjedzie!

– Mówiłem, że masz nie piszczeć! Wiesz, że tego nie cierpię! – rzucił z wściekłością.

– Przepraszam, ale tak bardzo się cieszę...

– Nie wątpię – wspaniałomyślnie się ze mną zgodził. – Wobec tego, że się do ciebie wybieram, musisz mi znaleźć nocleg. Ale nie w Strzelbach, tylko gdzieś dalej. Rozumiesz, że narażam swoje małżeństwo, a małżeństwo, wiadomo – rzecz święta! Dlatego też przyjadę incognito i nie mam zamiaru być przez nikogo kojarzony ani zapamiętany. Rozumiesz?

– Tak, Januszkule...

– Przyjadę jutro wieczorem. Do tego czasu chyba coś znajdziesz?

– Tak, Januszkule...

– To działaj. Odezwę się niedługo. Ale pamiętaj, nie podawaj nikomu moich danych! Wiesz, nazwisko, adres – ściśle tajne! – Po czym się rozłączył.

– Ktoś dzwonił? – W drzwiach, ze ścierką w ręce, pojawiła się ciotka Kazia.

– Nie – skłamałam z radosnym uśmiechem na twarzy i ostrożnie, aby nie nadepnąć porcelanowych okruchów, stanęłam na podłodze. – Niech ciocia da tę ścierkę. Sama posprzątam.

– Już ci lepiej? – spojrzała na mnie z niedowierzaniem i ulgą jednocześnie.

– I to jak! – uśmiechnęłam się od ucha do ucha. – A potem pójdę się przejść.

– Tylko wróć na obiad. Na trzecią. Ugotuję coś lekkiego. Ryż z białym sosem albo i bez... – mamrotała.

14

Na podwórzu u Kowalów czekała mnie niespodzianka – przez całą jego długość ktoś rozciągnął sznurek, na którym suszyły się pieluchy, malutkie śpioszki i kaftaniki.

– Dzień dobry, pani Kowalowa! – zawołałam na widok wychodzącej z domu sąsiadki. Zziajana taszczyła wielką miskę po brzegi wypełnioną praniem. Za nią wyszedł Kowal z porcją sznurka w ręce.

– Dzień dobry! – uśmiechnęła się na mój widok i z ulgą postawiła miskę. – Wnuk nam się urodził! Piorę całą jego wyprawkę, bo kurzem przeszła – dodała.

– Całe cztery i pół kilo dzieciaka! – z dumą wtrącił Hieronim. – A żeby słyszała, jak się drze! Od razu wiadomo, że to moja krew!

– Gratuluję – podeszłam bliżej. – Jak mu dacie na imię?

Kowalowa spojrzała krzywo na męża, westchnęła i po chwili powiedziała:

– A jakżeby inaczej? Hieronim. I pomyśleć, że jest tyle innych ładnych imion...

Kowal na te słowa dumnie wypiął i tak duży już brzuch oraz przygłodził wąsa.

– Jeśli chce zobaczyć małego, to niech wejdzie do domu. Milena go właśnie karmi – powiedział.

– Nie, może innym razem. Na pierwszą wizytę nie wypada przychodzić z pustymi rękoma – dodałam pokrętnie. – Chciałam jeszcze tylko zapytać, czy nie znają państwo kogoś, kto wynajmuje pokoje. Najlepiej w sąsiedniej wiosce.

– W sąsiedniej wiosce? – Hieronim podrapał się po głowie. – Może w Dębowym Gaju albo w Kopytkowie coś by się znalazło. Nie znasz nic, stara?

– W Dębowym to ja nie wiem, ale w Kopytkowie Maślany wynajmują. – Kowalowa strzepnęła kaftanik. – Niech pani ich zapyta.

– Co ty, stara, pierniczysz?! Do Maślanów Bogu ducha winną dziewczynę wysyłasz? Nie pamiętasz, że ze dwa lata temu aferę na cały powiat rozpętali?

– Ach, faktycznie coś tam było – Kowalowa przestała wieszać pranie.

– Aferę? Jaką aferę? – zainteresowałam się.

– Och, swego czasu wszystkie lokalne gazety o nich pisały. Maślany do spółki z kilkoma sąsiadami pod pretekstem wynajmu pokoi okradali swoich gości.

– Okradali gości? A niby jak to robili? – drażylałam.

– Oj sprytnie, bardzo sprytnie – odparła Kowalowa. – Ale jak dokładnie, to nie powtórzę, bo na mój rozum zbyt sprytnie to było.

– W każdym razie krętacze z nich pierwszej wody, bo wyroki dostali tylko w zawiasach i ponoć nadal pokoje wynajmują. Ale za to głowy nie dam – dodał Kowal.

– I dalej gości okradają?

– Raczej nie, bo ich szajka w pierony się rozleciała. Ale możliwe, że wykombinowali jakąś nową lewiznę.

– Oj stary, jak nie wiesz, to nie miel jęzorem po próżnicy! Oskarżyć kogoś łatwa rzecz! A poza tym, jeśli nawet coś tam sobie dorobią do emerytury, to guzik cię to obchodzi.

– Dorobią? Co ty, babo, za brednie pitolisz? To są cwaniaki i kombinatory, a ty ichnie szachrajstwa dorabianiem nazywasz? To, że

jestem biednym emerytem, nie znaczy, że mogę kogoś okradać w majestacie prawa!

Kowalowa wzruszyła ramionami i zabrała się do przerwanej pracy. Postanowiłam wykorzystać ciszę i spytałam:

– To jak ja się dostanę do tego Dębowego albo Kopytkowa?

– Ulicą nie, bo niepotrzebnie drogi nadda – powiedział Kowal. – Lepiej lasem. Tu za stodołą skręci w prawo prosto w łąkę. Niedaleko jest dróżka, która leci w las. Za lasem podzieli się ona na dwie, takie rozstaje to będą. Ta w prawo będzie szła na Dębowy, a w lewo na Kopytkowo.

– Dziękuję – powiedziałam i już miałam czmychnąć za stodołę, aby nie prowokować pytań, dla kogo chcę wynająć ten pokój, gdy Kowal powiedział:

– A chwilunia jeszcze...

– Tak? – struchlałam.

– Jak już skręci za stodołą, niech na chwilę przystanie.

– Po co?

– Po to, by popatrzeć na moje pole. Jakie matka ziemia plony daje! I to na...

– Tak, tak, na dymiącym oborasie – rzuciłam z przekąsem.

– Nie inaczej. A kapucha jakie łby powięzała! Jak ją zobaczy, to za własny się złapie!

– Panie Kowal, nie będę patrzeć na żadne pańskie kapusty na oborasie, bo mi jeszcze zza którejś wasz Herr wyskoczy! – I nie słuchając tego, co mamrotał pod nosem, ruszyłam w drogę.

Spacer zapowiadał się przyjemnie. Było cicho i spokojnie, nie czuło się skwaru i palących promieni słonecznych. Kiedy ostatni raz szłam przez las? Chyba na początku studiów, a i tego nie byłam pewna. Leśna droga była jednak zbyt piaszczysta i tak się kurzyło, że zaczęłam kichać i łzawić, więc zboczyłam między drzewa na miękką ściółkę. Nagle, w oddali, między pojawiającymi się z rzadka paprociami, coś mignęło. Czyżby to Herr leciał za Heleną? Lub toczyło się złe oko? – uśmiechnęłam się pod nosem. Przystanęłam jednak i niczym zajęc nadstawiłam uszu, bo jakkolwiek duchy nie były mi straszne, to z dzikiem lub inną leśną gadziną nie chciałam się spotkać.

Ku mojemu zdziwieniu usłyszałam perlisty śmiech. Zaintrygowana, jeszcze bardziej wyteżyłam słuch i wzrok. Znow wydało mi się, że coś widzę, ale nie mogłam sprecyzować, kto lub co to było. Nie byłabym jednak sobą, gdybym nie poszła tego sprawdzić. Cicho, jak tylko pozwalało na to stąpanie po suchych gałązkach, podążyłam za głosem. Im bardziej oddalałam się od drogi, tym las stawał się gęstszy, a paprocie z rzadkich i rachitycznych przerodziły się w duże, gęste kępy, które mogły być wspaniałym schronieniem. Padłam więc na kolana i dalszą drogę pokonałam na czworakach.

Po jakimś czasie drzewa ustąpiły dużej polanie, na której środku znajdowało się niewielkie jeziorko. Wyglądało na stary staw hodowlany, teraz w połowie zarośnięty trzcina i innym wodnym zielskiem. Wytrzeszczyłam oczy, bo na jego brzegu zobaczyłam dwie znajome mi sylwetki, Igora i Beaty. Beata była kompletnie goła! Goła i wesola. Najpierw zamachała w powietrzu stringami, potem cisnęła je za siebie,

czyli wprost na mnie, i głośno popiskując, wbiegła do wody. Igor patrzył na nią w milczeniu. Był jeszcze ubrany, chwilę postał, rozejrzał się dookoła i zaczął rozpinać koszulę. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie miałam skłonności do podglądania, ale tych dwoje tak mnie zaintrygowało, że aby było wygodniej patrzeć, cicho położyłam się na brzuchu.

Igor zrzucił koszulę, spodnie i został w samych slipkach. Ciało, które zaprezentował, było, co tu gadać, pierwsza klasa! Zgrabne, jędrne i z lekka muśnięte słońcem. Umościłam się wygodniej i nastawiłam na niezły spektakl, gdy gdzieś z boku trzasnęła gałązka. Ostrożnie łypnęłam zza liścia paproci. Rany boskie! To nadchodził Tzvetan! Kroczył szybko i zdecydowanie, jakby był spóźniony, a duży, powieszony na szyi aparat fotograficzny dyndał na wszystkie strony. Szkoda, bo zepsuł dobrze zapowiadające się przedstawienie. Westchnęłam ciężko, aczkolwiek dyskretnie, i wycofałam się najciszej, jak tylko potrafiłam. Gdy byłam już w bezpiecznej odległości, wstałam i puściłam się na oślep w kierunku drogi. Mrucząc do siebie z oburzeniem, nawet nie zauważyłam, kiedy dotarłam do rozstaju.

16

Niczym tajfun przeleciałam przez wioskę i dopiero przy ostatnim, starym poniemieckim domu przypomniałam sobie o celu wizyty. Postanowiłam tam wstąpić i zapytać o wolne pokoje. Wokół gospodarstwa rosły wielkie jesiony, a samo podwórze było brudne i zagracone. Na krzywej ławce siedziała starsza kobieta. Miała około sześćdziesięciu lat, okrągłą twarz, a na głowie chustkę, spod której wystawały tłuste kosmyki.

– Dzień dobry pani! – zagaiłam. Popatrzyła na mnie ciekawie i odkiwnęła głową. Podeszłam bliżej.

– Czy można tu wynająć pokój? – Oczy kobieciny rozblęły niczym żarówki we mgle.

– Nie można! – nagle gdzieś zza płotu odezwał się męski głos, po czym pokazała się wysoka, lekko przygarbiona postać.

Baba obruszyła się.

– A ty, stary, nie wymyślaj, dobrze? Dałbyś pani pokój, choćby i ten na poddaszu. Milej by nam było z jakimś gościem.

– Nie – odparł stanowczo.

– Bo co?

– Mało ci ostatnio było problemów? – zapytał ciszej, nachylając się do jej ucha. Kobieta wzruszyła ramionami, a mężczyzna zwrócił się do mnie: – Niestety, miła pani, my już nie trudnimy się wynajmem pokoi.

– Panie Maślana, gdzie pan jest?! – krzyknął nagle ktoś od strony podwórza. Maślana?! Wytrzeszczyłam oczy na rozmówcę. To był ten słynny Maślana – krętacz, a obok jego żona – kombinatorka! Najwyraźniej z powodu wzburzenia spowodowanego spotkaniem w lesie musiałam

pomylić się na rozstajach i zamiast do Dębowego Gaju wleciałam do tego szemranego Kopytkowa. Maślana nie zauważył mojego przerażenia, odwrócił się w kierunku głosu i gromko zawołał:

– Spadajcie mi z podwórza! Ino szybko!

Wspięłam się nieco na palce i z ciekawością zerknęłam za płot. Przy stodole, obok zielonej furgonetki, stało dwóch mężczyzn. Byli niscy i mieli piękne rude włosy, które w słońcu lśniły niczym bursztyn. Podwoje budynku były otwarte i wszystko wskazywało na to, że coś zanosili do stodoły lub na odwrót – coś z jej wnętrza przenosili na furgonetkę. Mężczyźni na głos Maślany natychmiast zamknęli stodołę, zasunęli plandekę, wsiedli do auta i pośpiesznie odjechali. Gdy zniknęli za zakrętem, a kłęby kurzu opadły, Maślana odetchnął:

– To czego pani chciała?

– Wynająć pokój – odparłam zaskoczona jego nagłą amnezją.

– Mówiłeś jej, że nie wynajmujemy – burknęła Maślanowa.

– Ano tak. Teraz już nie. Ale niech pani idzie tu obok, do Bąków. Oni może coś mają. – I odwrócił się na pięcie, nie odpowiadając nawet na moje „Do widzenia”.

Dom Baków był, jak większość zabudowań w tej okolicy, także ponemiecki. Podwórze w niczym nie odróżniało się od innych: było zaniedbane, przy budzie drzemał pies, a rozproszone kury sennie dziobały trawę. Zauważyłam, że mimo iż stał tam ciągnik z przyczepą, to znalazłoby się też miejsce na auto Januszka. Energicznie zastukałam do drzwi. Po chwili otworzył mi wyrostek na oko siedemnastoletni.

– Słucham?

W kilku zdaniach powiedziałam mu, czego od niego oczekuję.

– Zaraz zapytam tatę.

Wrócił po kilku minutach.

Tata się zgadza. Chce pani obejrzyć pokój?

Nie chciałam. Zapytałam tylko o dostęp do łazienki: „Każdy pokój ma własną, proszę pani”, oraz cenę: „Do dogadania się, proszę pani”. Na szczęście nie domagali się informacji, które Janusz określił jako ściśle tajne. Wzięłam jeszcze od nich numer telefonu i ruszyłam do Strzelb.

Ciągle miałam przed oczami ponętne ciało Igora i tę, która z niego korzystała. Aby przypadkiem nie spotkać któregoś z leśnych kochanków, zdecydowałam, że wrócę inną drogą. Najpierw zboczyłam w pole, potem na jakąś łąkę, następnie w mały zagajnik i znowu na łąkę. Kluczenie bardzo mnie zmęczyło, więc musiałam na chwilę przysiąść. Było tak przyjemnie, że postanowiłam się położyć wyłącznie na krótką chwilę.

Obudziłam się zdrętwiała. Która mogła być godzina? Powoli zapadał zmrok, rosa pokryła trawę i zaczęła unosić się mgła. Poderwałam się jak oparzona. Ciotka! Obiad! Zerwałam się i popędziłam przed siebie.

Biegłam co sił w nogach w kierunku, jak sądziłam, ciotczyego domu. Zaczęło się ściemniać, a ja wciąż poruszałam się po nieznannej okolicy. Gęsia skórka pokryła mi kark, a na czole pojawił się zimny pot. Bagno, Herr, Helena, wisielcy, szeptuchy... Co jak co, ale te ostatnie na pewno istnieją. Przecież sama o nich nieraz słyszałam. A inne wiejskie opowieści? Czy aby tylko biorą się z powietrza? W każdej, nawet najbardziej niedorzecznej historii jest ziarno prawdy. Może ci Niemcy, których znaleziono w bunkrach? Zdrętwiałymi ze strachu ustami zaczęłam klepać za nich zdrowaśki.

A co z grzybiarzami, na których nawet patrzeć nie można? A ten ich lokalny Krzywy Maniek, co to z siekierką i dubeltówką szwenda się po lasach? Waldek wprawdzie mówił, że nie zrobiłby mi krzywdy, ale mógł mieć na myśli tylko postrzelenie lub ucięcie głowy. Skąd mógł wiedzieć, czy mnie nie zgwałci?! Własnoręcznie go wykastrował, że tak za niego ręczył?! W panice obejrzałam się za siebie. Na łące mgła, a ciemnej ściany lasu nawet ktoś o sokolim wzroku by nie przeniknął. Nagle wydało mi się, że w dole widzę światła. Przeżegnałam się i popędziłam w tamtym kierunku. To były Stare Strzelby! Aż wrzasnęłam z radości. To nic, że do wsi weszłam od przeciwnej strony i do domu ciotki musiałam się jeszcze wspinać. Jak będę trzymać się ulicy, to nic mi się nie stanie – pomyślałam i przyśpieszyłam kroku. Nie uszłam kilku metrów, gdy zauważyłam znajomą postać.

– Natalio! – To był Waldek. – Szukamy cię od popołudnia! Gdzie byłaś?!

– Na spacerze. Trochę mi się zabłądziło.

– Ładne mi trochę!

Waldek podszedł do mnie i chwycił za ramię. Chciałam mu się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Odprowadzę cię do domu, bo znów nam się gdzieś zawieruszysz, a ciocia gotowa to jeszcze zawałem przypłacić.

– A ty to tak z własnej woli mnie szukasz czy na prośbę ciotki? – syknęłam i znów spróbowałam mu się wyszarpnąć, ale bezskutecznie.

– Z własnej nieprzymuszonej. Pozwoliłem sobie po południu wpaść do Brykowej, aby zaprosić cię na obiecaną imprezę, i co widzę? Ciotka roztrzęsiona, ćmi peta za petem i ze zdenerwowania głosu wydobyć nie może. Ryknąłem więc na nią, trochę pomogło, bo wreszcie wydukała, co się stało. Od razu pobiegłem cię szukać. Obleciałem wszystkie lasy wzdłuż i wszerz i nic. To znaczy spotkałem tylko Igora z tym jego kolesiem.

– Tak? – zainteresowałam się. – I co robili?

– Ach, nie uwierzysz!

– Ależ uwierzę, uwierzę!

– Tym razem zamiast ze sztalugami to z aparatami po lasach łazili i, słuchaj uważnie, zdjęcia drzewkom i ptaszkom robili! Widział to kto, aby prawdziwe chłopy tak na życie zarabiały?!

– Ptaszkom i drzewkom?... I tylko to widziałeś?

– Tak, a co?

– Nic.

Beata pewnie zdążyła się ukryć albo poszła do domu dziecko wychowywać. Wzdrygnęłam się z niesmakiem.

– Ale słuchaj, jak im powiedziałem, że nasza Natalka zaginęła, od razu rzucili w diabły tę swoją durną robotę i polecili na poszukiwania. Na szczęście to ja cię odnalazłem – zarechotał. Nagle przycisnął mnie z całej siły i poczułam jego usta na moich. Chciałam się wyrwać, ale chwyt był zbyt mocny. Z przeciwka nadjechał jakiś samochód. Liznął nas światłami i zwolnił. Waldek mnie puścił.

– A ten co? Obserwator od siedmiu boleści – mruknął. – Nie widział, jak się ludzie całują?

Wyjrzałam zza jego ramienia. Auto nagle przyśpieszyło, z piskiem opon weszło w zakręt, po czym zniknęło mi z oczu. Zdążyłam tylko zauważyć, że było małe i jasne.

18

– To ty? – z sypialni odezwała się ciotka.

– Tak, tak! – sapnęłam ostatkiem sił, bo ucieczka przed Waldkiem i to w dodatku pod górę była dla mnie nie lada wyczynem. Zamknęłam szybko drzwi, dodatkowo zablokowałam je krzesłem, a na końcu zgasiłam w korytarzu światło. – Ciociu? – Nieśmiało zajrzałam do pokoju.

– A czego tam chcesz? – Niechętnie zsunęła z nosa okulary i zamknęła książeczkę do nabożeństwa.

– Chciałam przeprosić, że nie wróciłam na obiad...

– I?...

– Waldek mi powiedział, że ciocia strasznie się o mnie martwiła i nawet z tych nerwów peta za petem paliła... dlatego poszedł mnie szukać... a ja... – Nie dała mi dokończyć:

– Ja się o ciebie martwiłam? – zdziwiła się. – Trochę tam sobie myślałam, czemu się spóźniasz, ale stwierdziłam, że pewnie poszłaś na mszę. Potem przysnęłam i dopiero Waldek mnie obudził. Niby przyszedł pogadać, ale jakiś niespokojny był, nerwowo nasłuchiwał, w końcu zapytał, gdzie jesteś. Powiedziałam mu, że nie wiem i że od dwóch godzin powinnaś być w domu. Na te słowa poderwał się jak szalony, wrzasnął, że leci cię szukać, i tyle go widziałam. Ale żebyś ja miała z nerwów pety palić? I to jeden po drugim? Co to, to nie. – Ciotka aż się zatrzęsła, a falbanki na jej koszuli nocnej zafalowały z oburzenia. – Podły kłamca z tego Waldka! No, teraz to ja się naprawdę zdenerwowałam! Podejź mi zaraz do kredensu i go otwórz. Rusz się, co się tak gapisz!

Posłusznie wykonałam rozkaz.

– Otwórz!

Przekręciłam kluczyk i otworzyłam drzwiczki.

– Wsadź rękę za Johnniego Walkera! Masz?

Za butelką wymacałam małe pudełko.

– Wyjmij i mi podaj!

To były marlboro. Nowiuteńkie, zapieczętowane opakowanie.

– Oto, co pali prawdziwa dama! – Triumfalnie rozerwała folię i wyjęła jednego papierosa. Wolną rękę wsadziła pod poduszkę i wyciągnęła stamtąd zapalniczkę. Pstryk. Płomień. I po pokoju rozszedł się siwy dymek.

– A na tego Waldka to uważaj. Różnie tu o nim gadają – Ciotka uspokoila się nieco.

– Różnie? A co takiego?

Przycupnęłam na krześle obok łóżka. Ciotka spojrzała na mnie tak, jakby zastanawiała się, czy można mi zaufać.

– Niby zadaje się z tą Beatą...

– Piękną Beatą?! – Zamurowało mnie.

– Tak. I ponoć ta mała, jak jej? Aha, Asia! Tak, ta mała ponoć jest jego...

– Ciocia chyba żartuje!

Pamiętałam rozmowę Waldka i Beaty. Myślałam, że to, co ich łączy, to niewinny flirt, a tu proszę, bagno po uszy.

– Zaraz, zaraz, wie ciocia co? Jak byłam u Kowalów po mleko, niechcący podsłuchałam ciekawą rozmowę.

– Aha... – ciotka ze zrozumieniem pokiwała głową i zaciągnęła się papierosem. – Niechcący to podsłuchuje się najlepsze rozmowy.

– Hieronim krzyczał na Waldka, że spotyka się z jakąś suką.

– Jak mówił o suce, to na pewno o niej. – Szybko dopaliła papierosa, zgasiła go o rant łóżka i rzuciła na podłogę. – Jutro posprzątam, a teraz mów dalej.

– I że jak nie przestanie z nią łązić, to go zabije.

– Zabije?! – Szybko zrobiła znak krzyża. – Hieronim zawsze był gwałtowny i nieraz za tę Beatę oko Waldkowi podbił, ale teraz, kiedy urodziło się małe, to nie wiem, czy go kiedy bardziej nie poniesie. Dopóki Waldek swoim puszczeniem robił wstyd tylko jemu, Kowalowej i Milenie, to jakoś to było, ale teraz urodził mu się wnuk i nie sądzę, aby niewinnej duszyczce pozwolił dyshonor przynosić. Coś podobnego, coś podobnego... – Ciotka z niedowierzaniem pokręciła głową. – Jeszcze swoim łajdaczeniem złe oko prowokują! – Po chwili spojrzała na mnie, jakby mnie pierwszy raz zobaczyła. – A ty, pamiętaj, nikomu o tym nie mów! Niech oni sami swoje brudy piorą. Nam nic do tego. I idź już spać.

Podniosłam się z krzesła. Audiencja skończona. Mogłam ciotce opowiedzieć również o incydencie na polanie, ale po tym, jak przyznałam się do podsłuchiwania, głupio było przyznać się również do podglądania. Poza tym leśne spotkanie trąciło pornografią i doprawdy nie mogłam sobie wyobrazić, jakimi słowami miałam opowiedzieć to starszej pani.

– Poczekaj.

– Tak?

– Drzwi dobrze zamknij. Dobranoc – rzuciła ciotka i szczelnie opatuliła się pierzyną.

– Już je zamknęłam, ale na wszelki wypadek jeszcze sprawdzę.

Pierwsze, co zrobiłam u siebie w pokoju, to, nie zapalając światła, zasłoniłam okno. Zasłony, jak niemal wszystko w tym domu, były stare, ciężkie i bardzo zakurzone. Z jedną poradziłam sobie od razu, ale druga nie wytrzymała nerwowego szarpnięcia i odpadły od niej trzy żabki. Wdrapałam się więc na oparcie fotela i niewprawną ręką starałam się szybko naprawić defekt. Z dwiema poszło mi gładko, ale trzecia była już tak przeżarta przez rdzę, że rozpadła mi się w rękach. Już miałam dać za wygraną i zejść z fotela, gdy zobaczyłam stojącą za szybą postać. Ciemna sylwetka najwyraźniej wpatrywała się w moje okno. Waldek! – zakołatało mi w głowie. Szybko zeskoczyłam na podłogę i przywarłam do dywanu. Nie wiedziałam, czy lepiej będzie wycofać się na korytarz, a potem do ciotki, czy też chwycić za mosiężny świecznik i tak mu dać popalić, aby zrozumiał, że ze mną nie warto zadzierać. Ciche stukanie w szybę przyśpieszyło moją decyzję. Poderwałam się z podłogi, gwałtownie otworzyłam okno, złapałam za świecznik i zaczęłam nim machać, starając się trafić w głowę.

– Zwariowałaś?! Przestań! – wrzasnęła ciemna postać.

– Won mi stąd! Won! Won! Won! – Z całej siły cięłam świecznikiem powietrze.

– Nacia! Przestań!

Nacia? – zawahałam się, a broń zawisła w powietrzu. W ten sposób mówił do mnie tylko...

– Januszek?

– Pewnie, że ja! Przecież ci mówiłem, że przyjadę! – jęknął.

– Ale miałeś jutro!

– Nie cieszysz się, że przyjechałem wcześniej? – zapytał podejrzliwie, odepchnął mnie wolną ręką i wspiął się na parapet. – Ta twoja ciotka na pewno śpi?

– Śpi, śpi, bo zgasła światło.

– Tyle i ja wiem, bo sam widziałem, ale czy śpi? W końcu może leżeć po ciemku i na przykład barany liczyć albo inny wiejski inwentarz. Na pewno jestem bezpieczny? Bo jak nie, to zaraz znikam!

– Nie denerwuj się. Ciotka wspominała kiedyś, że bierze tabletki nasenne – musiałam skłamać, bo bałam się, że odejdzie. – Wchodź już! – Wciągnęłam go do środka, po czym zamknęłam okno, zasunęłam story i bezmyślnie pobiegłam włączyć światło.

– Co robisz?! Chcesz, żeby mnie tu ktoś zobaczył?! – Przyciągnął mnie do siebie i namiętnie pocałował.

– Uważaj z tymi wąsiskami! Drapiesz. Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – zapytałam, oswobodziwszy się z jego uścisku.

– Nie pamiętasz? Sama mi mówiłaś.

– Naprawdę? – zdziwiłam się, bo dałabym sobie rękę odciąć i to nawet tę bojową, że akurat tego mu nie mówiłam.

– Naprawdę, naprawdę. A teraz zobacz moją głowę, co?

Po omacku namierzyłam zapalki i zapaliłam świeczkę. W chybottliwym świetle obejrzałam rany Janusza. Wbrew oczekiwaniom nie było z nim aż tak źle. Pierwszy cios lekko drasnął go w skroń, a drugi nabił małego guza, którego jednak dobrze kryły włosy.

– Poczekaj chwilę.

Przyniosłam z kuchni zimną wodę i kilka papierowych ręczników. Kazałam Januszowi położyć się na łóżku i przyłożyłam kompresy na obite miejsca.

– Lepiej?

– O niebo – odparł. – Czy ta wioska jest aż tak niebezpieczna, że na każdego ze świecznikiem wyskakujesz?

– Nie. Myślałam, że to taki jeden...

– Jaki jeden? – Janusz podniósł się, podparł łokciem i uważnie spojrzał tymi swoimi przepastnymi, niebieskimi oczami. Były największym, i co tu owijać w bawełnę, jedynym atutem jego urody. Miały w sobie coś hipnotyzującego i często odnosiłam wrażenie, że jak nie będę wystarczająco ostrożna, to się w nich utopię. Jak to się stało, że dopiero teraz, i to w półmroku, zauważyłam, jakie były zimne?

– Oj, sąsiad. Przyczepił się do mnie.

– Tak sam z siebie się przyczepił?

– O co ci chodzi?

– Bo jest takie powiedzenie: pies nie bierze, jak suka nie daje. A jak daje, to pies do suki łązi... – Wsadził mi rękę pod spódnicę.

– Nie lubię, jak mnie w nich dotykasz. Zdejmij je.

Na dłoniach miał skórzane, samochodowe rękawiczki, które wkładał zawsze, gdy prowadził auto. Twierdził, że dzięki nim stabilniej trzyma kierownicę. Może i tak, ale rękawiczki były bardzo stare i bardzo zniszczone. Uważałam, że jako profesor powinien nosić nowe i eleganckie, a nie poprzecierane i wyglądające, jakby znalazł je na śmietniku.

– Och, moja wrażliwa madame, jak sobie życzysz. – Zdjął je i rzucił obok.

– A tak w ogóle, to dlaczego nie zostawiłeś ich w aucie?

– Tak do ciebie pędziłem, że zupełnie zapomniałem – zaśmiał się, a ja odniosłam wrażenie, że sarkastycznie. – No, ale przestańmy mówić o drobiazgach. Jak to u ciebie jest z tą suką, co?

– Jaką suką?

– Tą, za którą psy latają, a ona im daje. Dajesz im?

– Zwariowałaś? – oburzyłam się, a po chwili zastanowienia rzuciłam: – Janusz, ty jesteś zazdrosny! – spojrzałam na niego zachwycona. Chciałam wstać, ale chwycił mnie za nadgarstki.

– Zapamiętaj sobie: nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę zazdrosny. O nikogo – podkreślił dobitnie. – Problem polega tylko na tym, że jestem mężczyzną, który lubi jasne sytuacje, i jeśli kogoś tu poznałaś, to powiedz, a od razu zniknę z twojego życia.

– Przestań, nikogo nie poznałam!

– Nie pamiętasz, co mówiłaś przez telefon? O tych dwóch młodych i fantastycznych?

– Ach, to! Brzuch mnie wtedy bolał, ty mnie zdenerwowałaś, więc wymyśliłam ich na poczekaniu. Nikogo młodego i fantastycznego tu nie ma.

– Czyli wieś zamieszkują starcy tudzież dzieci, tak?

– No, niezupełnie...

– Ach nie? Czyli jednak ktoś młody też tu się znajdzie. Ale ty mi pewnie zaraz powiesz, że owszem, ale wyłącznie kobiety.

– Janusz, daj spokój... Są Igor i Tzvetan, ale oni się nie liczą.

– Dlaczego się nie liczą?

Janusz przysunął się bliżej i zaczął głaskać mnie po dłoni. Co on takiego w sobie miał, że zawsze potrafił wyciągnąć ode mnie każdą tajemnicę czy jeszcze nieuświadomioną, ledwo kielkującą w głowie myśl?

– Igor kocha się w Beacie, a ten cały Tzvetan jest Bułgarem francuskiego pochodzenia i...

– I?...

– Być może on też się w niej kocha. Zresztą, kto się w niej nie kocha! – machnęłam ręką i przytuliłam się do Janusza. Wymięklam. Po wcześniejszym buncie nie pozostał ani ślad. Miał mnie z powrotem, taką samą jak dawniej – grzeczną, posłuszną małą dziewczynkę, która zrobi wszystko dla swojego pana.

– Wstawaj! – ciotka Kazia krzyknęła mi wprost do ucha. – Kto to widział, żeby ruszać te zasłony! – Załamała ręce i podreptała do okna.

Ciemnozielone story ledwo trzymały się na kilku żabkach. Po szalonej nocy zasnęliśmy w objęciach, co z racji daleko posuniętej ostrożności nigdy się nie zdarzało, i dopiero o świcie zdrętwiały Janusz obudził się i oswobodził z mojego uścisku. Gdy zobaczył, która godzina, natychmiast się ubrał i w popłochu, zrywając po drodze zasłony, wyskoczył przez okno. Zdążyłam tylko podać mu adres zarezerwowanego dla niego pokoju i już go nie było.

– Co ty dziewczyno wyprawiałaś?

– Och, ciociu, to z powodu Waldka. Tak mnie przeraził, że chciałam zasłonić okna, ale niestety te żabki są nieco stare i sama ciocia widzi, co się stało. – Chciałam wstać z łóżka, ale przypomniało mi się, że od pasa w dół jestem naga.

– No, dobrze. – Ciotka nie wydała się do końca przekonana. – Wstawaj zaraz, bo słońce już wysoko i wstyd tak się wylegiwać do południa.

Podreptała żwawo do drzwi i trzasnęła nimi z impetem. Szybko wyskoczyłam z łóżka, wciągnęłam majtki, spodnie i poprawiłam zmierzwioną kitkę.

W kuchni pachniała kawa zbożowa, na stole leżał świeży chleb, biały ser, masło i pomidory. Ciotka stała przy kuchence i mieszała łyżką w garnku.

– Dzisiaj będzie zupa owocowa. Zaraz ugotuję makaron i wyjeżdżam. Ty pilnuj gospodarstwa, dobrze?

– A dokąd się ciocia wybiera? – Z lubością zatopiłam zęby w pomidorze. Miał krwistoczerwony kolor. Zupełnie jak moja miłość do Januszka. Westchnęłam.

– Jadę do Jeleniej temu małemu coś na grzbiet kupić. Takim dzieciakom na pierwszą wizytę to się zwykle ubranka kupuje, prawda?

Wzruszyłam ramionami i wytarłam ściekający po brodzie sok.

– Pewnie tak.

– Od ciebie też coś kupię. A po południu pójdziemy do Kowalów z gratulacjami i przy okazji zaprosimy ich na regrilla.

– Na re co? – Myślałam, że się przesłyszałam.

– Regrilla. My byliśmy u nich na grillu, a teraz ich kolej na odwiedziny u nas.

Ciotka wylała makaron na durszlak i przelała zimną wodą.

– No, to ja już skończyłam. – Zdjęła fartuch i powiesiła go na gwoździu wbitym w drzwi. – Lecę na autobus, bo mi jeszcze ucieknie. A ty siedź w chacie, jedz i pilnuj. Pa! – Machnęła mi ręką, a po chwili widziałam ją stojącą na przystanku naprzeciw naszych okien. Oczekałam, aż wsiądzie do autobusu, i pobiegłam po komórkę. W kilku zdaniach opisałam Januszowi sytuację i radośnie oczekiwałam na jego euforyczny okrzyk: „Już do ciebie jadę, kochana!”.

Zamiast tego czknął i warknął:

– Nie mogę, kur... – mój Januszek nie przeklinał, choćby się paliło i waliło – przyjechać, bo jestem w stanie wskazującym!

– W jakim stanie? – nie zrozumiałam, co miał na myśli.

– Wskazującym. Wskazującym na spożycie alkoholu.

– Jak to możliwe? – zdziwiłam się.

Janusz nigdy nie pił, a poza tym, kto normalny pije między godziną czwartą a ósmą rano?!

– I ty o to pytasz?!

– O co ci chodzi?

– O to, że to przez ciebie!

– Przeze mnie?!

– Oczywiście. Nie wiesz, u kogo mi pokój wynajęłaś?

– U kogo?

– U me-li-nia-rzy – przesylabizował dobitnie. – Jak tylko się pojawiłem, od razu bimber z szafy wyjęli i nie pozwolili wstać, aż z nimi nie wypiję za miłe spotkanie. A gdy powiedziałem, że jestem profesorem i więcej pić mi nie wypada, oni od razu polali za miłe spotkanie z profesorem! Potem polewali za każdą moją publikację, a jak się dowiedzieli, że są one punktowane, to zaczęli łąć za każdy punkt!

– Więc do mnie nie przyjedziesz? – zaskomlałam.

– Nie przerywaj mi! Gdy skończyli oblewać punkty, przyszli ich sąsiedzi. Taka tęga kobieta z chudym mężczyzną

– Pewnie Maślany.

– Chyba tak... Ale ty znów mi przerwałaś!

– Przepraszam.

– I wyobraź sobie, że gdy oni przyszli, wszystko rozpoczęło się od nowa! Co za pijacka okolica.

– Oj, biedny Januszu! Jak ty z nimi uczciwie piłeś, to rzeczywiście musisz być porządnie wstawiony – zauważyłam ze współczuciem.

– Za kogo ty mnie masz? Tylko alkoholicy upijają się kilkoma kieliszkami wódki, a ja po pierwsze alkoholikiem nie jestem, a po drugie głowę mam mocną jak nikt!

– To się cieszę. Więc co? Przyjedziesz?

– Nie ma mowy! Ja jestem uczciwy i nietrzeźwy za kierownicą nie siadam!

– Och, Januszek... – jęknęłam rozdzierająco, licząc, że przypomnę mu w ten sposób szaleństwa minionej nocy.

– A ty do mnie nie możesz? – zmienił ton na miłszy. – Na dole wszyscy są już pijani, bo moje punkty rozłożyły ich na łopatki – dodał z dumą. – Nikt nam tu nie będzie przeszkadzać – kuśił.

– A jeśli ktoś się przebudzi i przypomni o tobie? Albo przyjdzie kolejny sąsiad i też zechce się napić z prawdziwym profesorem? Ja przynajmniej mam pusty dom, bo ciotka nie wróci wcześniej niż przed trzecią.

– Ale ja piłem... – w jego głosie wyczułam wahanie.

– Pieszko przyjdź. Lasami – kuśiłam.

– Tak, tylko ile czasu mi to zajmie?

– W twoim stanie ze dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut... Lasami mówisz?

– Pewnie. – I objaśniłam, którądy ma iść, aby najszybciej i najbezpieczniej do mnie trafić. Usłyszałam, jak westchnął, sapnął i podrapał się po głowie.

– No dobra. To się zbieram.

Pisnęłam radośnie i popędziłam wziąć prysznic. Umyłam głowę, nucąc przy tym coś nastrojowego. Podczas wycierania włosów zlustrowałam stojące kosmetyki. Tym razem zapragnęłam być dla Janusza piękna jak nigdy dotąd. Ciotka, jak na kobietę w jej wieku, miała zaskakujące ilości kosmetyków. Wiele z nich było nierozpakowanych i byle jak wrzuconych do wiklinowego koszyka. Cóż tam było! Perfumy, których nazw nie potrafiłam nawet wymówić, całe palety odcieni lakierów do paznokci, szminki, pudry, fluidy i wiele innych cudeniek, których przeznaczenia nie

znałam i nawet się go nie domyślałam. Na półce, tuż pod lustrem, stało trochę kosmetyków, które były odpieczętowane, ale wydawały się nieużywane. Ot, ktoś (zapewne ciotka) otworzył, powąchał, może zanurzył palec i odstawił pod lustro. To z nich więc, otwartych i zapomnianych, postanowiłam skorzystać, aby upiększyć się dla Janusza.

Nie zastanawiając się długo, nawinęłam włosy na wałki i jako pierwszy wybrałam tusz do rzęs. Zawahałam się przez chwilę, bo Janusz nie lubił, gdy malowałam oczy. Jednak tak dawno nie miałam do czynienia z taką ilością kosmetyków, że nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności. Zamrugałam zalotnie. Całkiem nieźle. A może źle, tylko z moim wzrokiem coś było nie tak? Ale co tam, miałam okazję, więc pozwoliłam sobie na odrobinę szaleństwa. Potem przyszła kolej na lakier w kolorze czerwieni strażackiej. Szybkimi ruchami pociągnęłam nim paznokcie u nóg, a potem u rąk. Aby szybciej wysechł, poskakałam trochę, podmuchałam i skupiłam się na dobraniu odpowiedniego zapachu.

Tak bardzo byłam podekscytowana randką, że nie dbałam o to, że ciotka po powrocie mogła zauważyć braki w kosmetykach. W końcu mnie za to nie zabije – pomyślałam i wybrałam najładniejszy flakonik (oczywiście z tych otwartych), po czym obficie się spryskałam. Woń była ciepła, mocna i trochę dusząca. Do przybycia Janusza zdąży trochę wywietrzeć – pocieszyłam się i zabrałam do wyszukiwania odpowiedniej bielizny. Wygrzebałam z walizki najbardziej kuse majtki, które skąpe były nie z racji kroju, ale dlatego, że przytyłam. Wyjęłam jeszcze najładniejszy biustonosz, po czym w zachęcającej pozie zasiadłam na łóżku. Czegoś mi brakowało. Tak! Usta! Zerwałam się i popędziłam jeszcze raz do łazienki, gdzie nałożyłam na wargi czerwień taką jak na paznokciach. Znowu przybrałam odpowiednią pozę.

Czas mijał, ja zdrętwiałam, a Janusza jak nie było, tak nie było. Wstawiłam więc wodę na kawę. Majtki uwierały i wrzynały się w krągłości, a poza tym chłód starego domu zaczął się dawać we znaki i zaszczękałam zębami. W końcu wykręciłam jego numer. Nie odbierał. Skubnęłam świeżo pomalowany paznokiec. Janusz trzeźwy nie był, okolica obca, do nieszczęścia wiele nie trzeba.

Wyłączyłam wodę, pokręciłam się po kuchni i narzuciłam kuchenny fartuch ciotki. Nie wiedziałam, czy iść go szukać, czy zostać w domu, na wypadek gdyby jednak znalazł drogę. Wyrzałam przez okno, czy może jakimś cudem nie nadchodzi od strony Jeleniej Góry, ale nie, nigdzie na horyzoncie nie było widać znajomej sylwetki. Okryłam się szczelniej kwiecistym nylonem i wyszłam przed dom. Kury dziobały ziarno, w oddali ktoś kosił trawę, a po Januszu ani widu, ani słyhu. Przysłoniłam dłonią oczy przed słońcem i zapatrzyłam się w horyzont. Nawet nie zauważyłam, jak zapracowany osobnik odłożył kosę i ruszył w moim kierunku.

– Witam piękną Natalię – doszło do moich uszu.

O nie! Znów ten Waldek.

– Dzień dobry – burknęłam zniechęcająco i zrobiłam krok do tyłu.

– Natalia sama w domu? – zapytał rzeczowo i zaczął pożerać wzrokiem moje nogi.

– Nie, nie sama – skłamałam dla bezpieczeństwa.

– Tak? A któż to niby inny jak nie cioteczka osobiście na autobus przed godzinką biegła?

– Ciocia? Na autobus? – udałam zdziwienie.

– Nikt inny. Na własne oczy widziałem.

– Może i gdzieś wyszła. Widać musiało mi to umknąć.

– Hm... – Waldek podszedł bliżej i zaczął łypać za odchylające się poły fartucha. – Sama w domu i taka wystrojona?

– Muszę iść. Mam do zrobienia coś pilnego. – Odwróciłam się i już miałam zniknąć w bezpiecznych czeluściach domu, gdy Waldek błyskawicznie zagroził mi wejście.

– Znów uciekasz? Porozmawiajmy trochę.

– Porozmawiajmy? – pisałam nerwowo i szybko zlustrowałam okolicę, czy nie widać gdzieś Janusza albo choćby innego żywego ducha, który w razie czego mógłby mi przyjść z pomocą. Niestety.

– O czym chcesz rozmawiać?

– Noooo... – Podrapał się po głowie. – Na przykład o naturze... – uśmiechnął się lubieżnie i przybliżył tak, że na karku poczułam jego gorący oddech.

– O naturze... – Zrozpaczona spojrzałam na łąkę.

– Nie inaczej. – Śmierdzący chuch owionął moje włosy.

– Czyli naturze, tak? – Na łące też było pusto, ale coś zaczęło chodzić mi po głowie.

– Jes – mruknął z angielska i zanurzył łapsko w mojej misternie ułożonej fryzurze.

– To mi powiedz, jakie gatunki traw masz na swojej łące – rzuciłam.

– Że co? – Ręka nagle się zatrzymała.

– Przecież o naturze chciałeś rozmawiać, a ja mam wykształcenie rolnicze, więc trochę się na tym znam. To jakie gatunki tam rosną?

– Gatunki? Cholera wie. Czy taką krowę obchodzi, jaką trawę zje? Albo w czym leży bądź, pardąsik, w co sra?

– Ależ jesteś dosłowny – zachichotałam grzecznościowo i nieco się od niego odsunęłam. Zapadła chwila ciszy.

– I co jeszcze z tej natury chciałabyś wiedzieć? Natalio... – Odgarnął mi kosmyk z czoła i zaczął gładzić policzek.

- Czyja jest ta pszenica, która rośnie obok łąki?
- Moja...
- Bierzesz na nią dopłaty?
- Jasne. Bo co?
- Tylko na to pole pszenicy? – upewniłam się.
- Tylko na to pole pszenicy – mruknął zmysłowo.
- A powierzchnię dokładną podałeś czy może ci się co nieco zawyżyło?

Co?

Waldek spąsowiał i wreszcie odsunął rękę od mojej twarzy.

– Co cię to obchodzi? – warknął przez zęby.

– Mnie wcale nie obchodzi, ale wiem, kogo mogłoby to zainteresować – uśmiechnęłam się złośliwie.

Waldek postął jeszcze chwilę i podrapał się po głowie. Wreszcie odchrząknął i zrezygnowany powiedział:

– To ja już pójdę kosić.

21

– Januszek! – krzyknęłam radośnie i otworzyłam okno.

– Dlaczego je zamknęłaś? Przecież wiedziałaś, że przyjdę! Odsuń się! – wściekle błysnął przekrwionymi białkami oczu i wspiął się na parapet.

Odsunęłam się posłusznie.

– Pomyślałam, że tym razem wejdiesz drzwiami. Wiesz przecież, że ciotki nie ma.

– Ty lepiej za dużo nie myśl, bo od tego jestem ja! – prychnął. – Ciotka ciotką, ale wokół jest jeszcze cały świat. Uważać trzeba zawsze i wszędzie!

Źle wyglądał. Włosy miał w nieładzie, smętnie wiszące wąsy, policzki zapadnięte i ogorzałe od słońca, wzrok mętny, a podwinięte spodnie odsłaniały zakurzone łydki i brudne sandały.

– Dlaczego tak późno?

– Niby jesteś po studiach, a takie niemądre pytania zadajesz – rzucił przez zęby. – Wysił trochę główkę i się domyśl.

– Zabłądziłeś, tak?

– Nie! Wcale nie zabłądziłem! W tak marnym lesie tylko ślepy by zabłądził!

– Więc dlaczego jesteś tak późno?

– Dlaczego?! A dlatego, że dwie godziny przesiedziałem w krzakach, bo jakiś typ sarnę oprawiał. Nie chciałem, aby mnie zauważył, bo siekierką tak sprawnie operował, że lepiej nie myśleć, co by mi zrobił, gdyby mnie dostrzegł. Wolałem więc umierać z pragnienia i niemal dusić się od wstrzymywania oddechu. Widzisz, jak się dla ciebie poświęcam?

– To na pewno był Krzywy Maniek. Mówią, że jest zupełnie nieszkodliwy.

– Krzywy Maniek?

– Tak. Krzywy to jego przezwisko, bo jego życie jest krzywe...

Nie dał mi dokończyć.

– Krzywe życie? A cóż to za bzdura?! Daj mi lepiej coś do picia!

Zaprowadziłam go do kuchni i wskazałam miejsce na starej ławie. Nalałam z kranu szklanek wody i postawiłam przed nim.

– A co ty ze sobą zrobiłaś? – Przyjrzał mi się uważniej. – Oczy! Są pomalowane! Jak ty wyglądasz?! – Myliłam się więc, sądząc, że tusz do rzęs dodał im trochę urody.

– Te paznokcie, usta... – ciągnął z brzydkim grymasem na twarzy. Pociągnął nosem – I zapach...

– Ależ to dla ciebie... – uśmiechnęłam się i usiadłam najbliżej, jak się dało.

– Wyglądasz rozpustnie, a ja bardzo tego nie lubię – skwitował i upił łyk wody.

– Janusz... – Łzy napłynęły mi do oczu. W chwilach takich jak ta miałam wrażenie, że jego serce pełni tylko i wyłącznie funkcję pompy tłocząco-ssącej.

– Nacia... – jego ton nieco złagodniał – jesteś prawie naga i sama w domu. Co by było, gdyby ktoś cię taką zobaczył? Co byś zrobiła, gdyby jakiś sąsiad przyszedł po sól? Oceniłby cię adekwatnie do stroju! – Znów się zdenerwował.

– Ale nikt nie przyszedł. – Pomyślałam o Waldku. Na szczęście Janusz nie zdawał sobie sprawy, jak bliski był prawdy. – Januszek, a może ty po prostu jesteś zazdrosny? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nacia – westchnął – nie ma szans. Przecież nie raz, nie dwa mówiłem ci, jaki mam do ciebie stosunek. Ja martwię się o ciebie ze zwykłej dobroci serca. A ty co? Wystroiłaś się jak prostytutka. Co by było, gdyby ktoś cię taką zobaczył i na przykład zgwałcił? Chciałabyś zostać zgwałcona?! – zakrzyknął nagle, aż podskoczyłam. Zawsze podziwiałam jego łatwość popadania w skrajne nastroje.

– Nie...

– Co nie?!

– Nie chciałabym być zgwałcona – powiedziałam cicho.

– Dobra odpowiedź – pogłaskał mnie po głowie. – A teraz maszeruj do łazienki i się wyszoruj. Wiesz, że lubię czyste dziewczynki. – Na pożegnanie klepnął mnie w tyłek. – I tylko nie spuść całej wody, bo też chcę wziąć prysznic – krzyknął za mną.

– Która godzina? – Janusz otworzył jedno oko. – Dlaczego tam siedzisz?

Po kąpieli łąpczywie wypił całą zupę owocową i pociągnął mnie do pokoju. Ochoczo za nim poleciałam, licząc, że powtórzą się atrakcje minionego wieczoru. Może i przez chwilę sam Janusz też tak sądził, ale gdy tylko padł na łóżko, chrapnął ze dwa razy i zasnął snem sprawiedliwego. Niestety, zajął całe łóżko i ani myślał się przesunąć, więc okryłam się kocem i skuliłam w fotelu.

– Nie mogłaś położyć się obok mnie? – rzucił z pretensją.

– Gdybyś raczył się przesunąć, tobym tu nie siedziała.

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiale.

– To która godzina, co?

Zerknęłam na wyświetlacz komórki.

– Dwadzieścia po pierwszej.

– Zbieram się. – Wstał i się przeciągnął.

– Mogę cię odprowadzić?

– Oszalałaś?! Żeby nas ktoś zobaczył?

– Wyjdę kilka minut po tobie i będę się trzymać krzaków.

– Nie. To jest zbyt ryzykowne.

Wszedł na parapet.

– Jest tu jakaś knajpa, abym mógł zjeść porządny obiad?

– Obiad? Poczekaj, zaraz coś ugotuję.

– Ty w ogóle potrafisz gotować? – spojrzał z powątpiewaniem.

Nie potrafiłam. Tak, ciotka miała rację. Najwyższy czas, abym posiadała tajniki sztuki kulinarnej. I to wcale nie dla jakiegoś domniemanego męża,

tylko dla kochanka z krwi i kości.

– Jeżdź do Lwówka – poddałam się. – To jakieś sześć kilometrów stąd. Tam pewnie coś znajdziesz. Ale zaraz, przecież ty piłeś. Czujesz się już na siłach?

– Nacia – pogłaskał mnie po głowie – dzięki spotkaniu z tobą wytrzymałem bardziej niż trzeba.

Uśmiechnęłam się niepewnie, bo nie wiedziałam, czy miałam odebrać to jako komplement.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytałam.

– Wpadnę około północy.

Zeskoczył do ogródka.

– Janusz...

– Czego jeszcze chcesz?

– Kocham cię...

Lekceważąco machnął ręką i ruszył w kierunku drzew. Patrzyłam na jego znikającą w oddali sylwetkę i zastanawiałam się, ile jest jeszcze we mnie rezerw tolerancji i miłości? Jak długo jego gorący okrzyk, który pielęgnowałam w pamięci, będzie dla mnie stanowić wartość, w której obronie pozwalałam się tak traktować? Z ciężkim westchnieniem zamknęłam okno i na chybił trafił wyjęłam jedno z fachowych czasopism. Był to ten numer „HortScience”, którego nie zdążyłam przejrzeć we Wrocławiu. Czytanie pochłonęło mnie do tego stopnia, że wątpliwości i żal najpierw zbladły, a następnie ulotniły się, pozostawiając po sobie delikatne, ledwo zauważalne ślady. Nawet nie usłyszałam, gdy wróciła ciotka.

23

Ciotka wróciła z Jeleniej Góry obładowana niczym wielbłąd.

– Zobacz, co upolowałam! – zawołała radośnie.

Zaciągnęła torby do kuchni i wysypała na stół całą zawartość. Cóż tam było: mąka, cukier, kilka par skarpet, kasza, stary kozuch, mak, ze dwa swetry i góralskie kapcie.

– A to co? – zdziwiłam się tą niejednorodną obfitością.

– Ha! W Biedronce była promocja!

– Na kozuchy i skarpety?

– Oj, nie, na to była obniżka w lumpeksie. A dla ciebie wzięłam to – dodała z dumą. – Przymierz. – Wręczyła mi śmierdzący kozuch.

– Dla mnie? – Ani myślałam go wkładać.

– A pewnie. Prezent. Na zimę jak znalazł.

– A dla małego ciocia coś ma?

– Mam, mam. – Pogrzebała w torebce i wyjęła dwie grzechotki.

– Tylko grzechotki? – zdziwiłam się. – Przecież miałyśmy dać ubranka.

– Zaraz tam miałyśmy! Jak wszędzie było tyle okazji, to najpierw z nich trzeba było skorzystać. – Ciotka wzruszyła ramionami i zajrzała do garnka. – A gdzie jest zupa?

– E... zjadłam.

– Ale makaron został.

– To znaczy wypiliśmy.

– Całą? – ciotka uniosła jedną brew.

– Tak jakoś wyszło. Gorąco było, czytałam czasopismo i tak sobie popijałam, aż całą wypiliśmy.

– Niech ci na zdrowie będzie – burknęła ciotka i nałożyła na talerz makaron. Posypała go grubo cukrem i poliała śmietaną.

– Jak zjem, to pójdziemy do Kowalów. Szykuj się.

U Kowalów na podwórzu nadal królowały linki z rozwieszonymi dziecięcymi ubrankami i pieluszkami. Ciotka popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Zobacz, ile tego mają. Dobrze, że niesiemy małemu grzechotki. Pogrucha sobie dla odmiany.

Wszyscy domownicy siedzieli w pokoju Mileny. Kowalowa z nabożną czcią lulała na rękach małego Hirka, stary Hieronim drzemał w fotelu, Waldek walił tłuczkiem w kapuściane liście, a Milena z obolałą miną siedziała w łóżku.

– Dzień dobry! – Ciotka najpierw wkroczyła do pokoju, a dopiero potem kurtuazyjnie zapukała we framugę drzwi.

– Ciii... – Kowalowa w odpowiedzi przyłożyła palec do ust. – Dopiero zasnął. Zobaczcie, jaki on piękny.

Zdecydowanym ruchem podsunęła mi pod nos owiniętego w rożek niemowlaka. Mały rzeczywiście był niebrzydki, a po gabarytach od razu było widać, że już w matczynym łonie apetyt mu dopisywał, bo rączki miał grubaśne, a buźkę okrągłą i rumianą. Ze zdziwieniem zauważyłam, że rożek opasany był czerwoną wstążką, a dwie takie same zwisały z piąstek chłopczyka.

– To jest jakaś moda? – wskazałam na wątpliwej urody upiększenia.

– Że niby co? – Kowalowa nie zrozumiała, o co mi chodzi.

– Te czerwone wstążeczki, a rożek błękitny... Rozumiem, *de gustibus non est disputandum...*

– Kowal ocknął się, łypnął na mnie, więc się poprawiłam: – No... o gustach się nie dyskutuje, ale tak czy owak, czerwona wstążka do błękitu pasuje jak pięść do nosa. I jeszcze te dodatkowe kokardki na rączkach... – plątałam się coraz bardziej, bo odniosłam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, jeśli nie złowrogo, to przynajmniej z jawną niechęcią.

– Nie słyszała pani, że dzieciątko będące jeszcze przed chrzcinami można łatwo ociotować? – Kowalowa popatrzyła na mnie z politowaniem, że nie znam tak oczywistej ludowej mądrości.

– Ocio... co?

– Ociotować. Złe oko to robi. Rzuca uroki.

– To wasze złe oko z bagien? A przecież mówiliście, że ono tylko na bagnach siedzi, więc jak wam małego mogłoby ociototo...?

– Ociotować – wyraźnie powiedział Kowal.

– Och – machnęła dłonią Kowalowa – tu nie chodzi o oko z bagien! Złe spojrzenie może każdy człowiek. A najgorsze jest to, że często nieświadomie strzela urokami na prawo i lewo!

– Więc te upiększenia to tak na wszelki wypadek?

– Nie inaczej – zgodził się Kowal.

– Aha – mruknęłam i przygryzłam wargi, aby nie parsknąć śmiechem.

Kowal zmierzył mnie wzrokiem.

– Ja tam nie wiem, czy z tą matką chrzestną to dobry pomysł – mruknął.

– Oj, stary! Dobry! Ona młoda i jeszcze ją życie nauczy, że nie tylko w to, co napisane w książkach, trzeba wierzyć! – ofuknęła go Kowalowa.

– Jaką matką chrzestną? – zainteresowałam się.

– No, bo my, mimo tego trefnego doktoratu, chcieliśmy poprosić panią Natalkę na matkę chrzestną dla naszego Hireczka – na jednym wydechu

wyrecytowała Kowalowa. – Milena, potwierdź! – zwróciła się do siedzącej w łóżku córki.

– Tak. Czy zgodzisz się trzymać do chrztu mojego Hieronimka? – zapytała słabo.

– Taa... – odezwał się Kowal. – Bo my już dawno sobie panią na chrzestną upatrzyliśmy. Potem nas trochę odstraszyło to, co wyprawia z pomidorami, ale w końcu co tam, doktorat to doktorat! Zawsze się można pochwalić, że ma się stopień, ale już mówić z czego, to niekoniecznie. A co do złego oka i tym podobnych spraw, stara ma rację, że życie panią nauczy, w co wierzyć. Poza tym mały na tym interesie skorzysta, bo będzie miał gdzie jeździć na wakacje.

Zaskoczył mnie swoimi dalekosiężnymi planami.

– Oczywiście... tak... to dla mnie zaszczyt – powiedziałam z przesadnym ociąganiem, które miało dać im do myślenia, ale raczej nie dało.

– Wiedziałem, że się zgodzi. – Kowal poklepał się po grubym brzuchu. – Podaj mi, stara, piwko.

– A jak się czuje młoda mama? – Ciotka wyjęła grzechotki i położyła na stole.

– Ech, niech Brykowa nawet nie pyta – wtrąciła Kowalowa. – Coś jej się z cyckami porobiło, gorączki nawet dostała. Waldek już trzecią kapustę rozbija, liście na piersi kładzie, i żadnej poprawy.

– Może ją ktoś ociotował? Czemu nie ma zawiązanej żadnej wstążeczki? – zapytałam z dobrego serca.

– Ależ! – Kowalowa aż się zatrzęsła. – Przecież mówiłam, że czerwone wstążeczki to tylko niechrzczonym dzieciętkom pomagają!

– Rzeczywiście! – Podeszłam do Mileny. – Wiesz, co to może być? Z powodu nawału pokarmu zapalenia dostałaś. Powinnaś starać się go

ściągać – poradziłam.

– Nawał pokarmu? Jaki nawał? Ściągać? Ale co, jak nic nie leci? – zdziwiła się Kowalowa. – To niemożliwe. Mały całe rano przy cycu siedział. Szarpał, płakał i nic. W końcu mu mieszankę ze sklepu daliśmy, dwie porcje zjadł i proszę, jak śpi. Gdyby Milena miała pokarm, toby się z piersi najadł. Pani Natalio, bez obrazy, pani bezdzietna jest, więc głupoty wygaduje.

– Owszem, ja nie rodziłam, ale rodziła moja siostra...

– Phi, siostra! – prychnęła Kowalowa. – Siostra to jakby nie pani i...

– Jeszcze nie skończyłam – tym razem to ja jej przerwałam. – Dwa razy rodziła, a ja maluchy od urodzenia wychowywałam, więc wiem, co mówię! Masz laktator? – zwróciłam się do Mileny.

– Nie mam – powiedziała słabo. – W szpitalu trochę używałam, ale nic nie leciało.

– Właśnie teraz by się przydał. Niech ktoś jedzie do apteki po laktator.

– Po co niby? – Hieronim znów się ocknął.

– Po laktator dla Mileny, żeby mogła ściągać pokarm.

– Taką babską dojarkę niby? To jadę. – Wstał i się zatoczył.

– Ty, stary, siedź w chałupie. Od rana pije za zdrowie i honor wnuka – wyjaśniła ciszej.

– Tak, za jego honor piję! – Hieronim krzyknął w kierunku Waldka i pogroził mu pięścią.

Waldek udał, że nie słyszy.

– Może niech Waldek jedzie – zaproponowałam.

– On też pił – powiedział Hieronim.

– Jakie picie! Takie tam cienkie piwko strzeliłem na lepszy rozruch. Już dawno wyparowało.

– Po alkoholu jeździć nie będziesz! – kategorycznie powiedziała Kowalowa. – I co my teraz zrobimy? Ja prawa jazdy nie mam.

– A ty masz, Natałko? – Waldek łypnął na mnie przekrwionym okiem.

– Tak, ale dawno nie jeździłam. A poza tym nie mam przy sobie.

– Przy sobie nie, ale w portfelu w walizce tak – odezwała się ciotka Kazia.

– Słucham?! – zwróciłam się do ciotki, ale ta nie odpowiedziała, bo właśnie nachyliła się do małego Hirka i zaczęła machać mu przed noskiem grzechotką.

– Więc nie widzę problemu – Waldek już sięgnął po kluczyki do auta. – Natałka będzie prowadzić, a ja ją popilotuję do najbliższej apteki.

– O tak, świetny pomysł – podchwyciła Kowalowa i zaczęła szukać w portfelu gotówki. – Albo weźcie cały, bo nie wiadomo, ile toto kosztuje.

– No dobrze, jedźmy więc – westchnęłam z rezygnacją.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz prowadziłam. Jechało mi się źle, bo stary fiat panda klekotał tak, jakby lada moment miał wyzionąć ducha. W dodatku droga była fatalna, bo składała się z samych wzniesień i zakrętów. Poza tym raz po raz z naprzeciwka wyskakiwał pędzący środkiem jezdni tir, a ja w popłochu skręcałam do rowu.

– Natalko, opanuj się! – Moja jazda najwyraźniej nie przypadła Waldkowi do gustu. Kilka razy chciał chwycić mnie za kolano, ale nic z tego nie wyszło, bo jakoś tak się składało, że od razu pojawiał się tir, a my niemalże lądowaliśmy w rowie.

– Nie widzisz, że oni jadą jak wariaci?

– Niech jadą. Tu jeszcze żadnego wypadku nie było.

– Gdybym im nie zjeżdżała z drogi, toby był!

Wzruszył ramionami i ponownie wysunął łapsko w kierunku mojego kolana. Niestety tym razem żaden tir się nie pojawił.

– Waldek! – Zahamowałam, a on, nieprzypięty pasami, uderzył nosem w szybę. – Musimy sobie coś wyjaśnić! Nie licz na żaden romans ze mną!

– Bo co?

– Bo nie i tyle!

– Niejedna mi tak na początku mówiła, a potem aż za mną piszcząca, żeby no... ze mną sobie trochę tego...

– Ale ja nie będę za tobą pisać. Nigdy! – Włączyłam silnik i ruszyliśmy.

Waldek milczał aż do Lwówka. W miasteczku kazał mi jechać prosto do rynku. Był tam duży parking, a w pobliżu apteka.

– Idziesz ze mną po ten laktator?

– Nie.

– To chociaż powiedz, jaki kupić.

– Jakikolwiek.

Wrócił po chwili.

– Kupiłem dwa. Elektryczny i ręczny. Dobrze? Zobacz.

Wzięłam od niego torbę i obejrzałam zakupy.

– Dobrze – mruknęłam i włączyłam silnik.

– Chwilunia...

– Czego?

– Pić mi się zachciało. A tobie?

– A mi nie.

– Tu obok jest fajna knajpa, może zajrzemy na małą lemoniadę, co?

– Do domu jest około dziesięciu minut. Na pewno wytrzymasz.

– Natalio, ja naprawdę umieram z pragnienia. To co? Idziesz ze mną czy nie?

– Nie! – Byłam tak wściekła, że nie patrzyłam na niego.

– Trudno. Idę do Rycerskiej. Gdybyś miała na coś ochotę, to czekam.

Trzasnął drzwiami i tyle go widziałam.

Mijały minuty. Było niemiłosiernie gorąco. Ludzie pojawiali się z rzadka, aby zaraz zniknąć w klimatyzowanych pomieszczeniach sklepów. Przyjrzałam się rynkowi. Był stary i zadbane. Kamieniczki niedawno odmalowano na różne odcienie pastelów. Restauracja Rycerska mieściła się w majestatycznym, najwyraźniej zabytkowym ratuszu. Widać było, że budynek był świeżo piaskowany. Spojrzałam na zegarek – Waldka nie było już prawie godzinę. Nie pozostało mi nic innego, tylko po niego iść.

Wnętrze lokalu było chłodne i stylizowane na XVI–XVII wiek. W barze, który znajdował się na prawo od wejścia, wśród kilku amatorów zimnego piwa, w spoconej pod pachami bluzce, brylowała tęga barmanka. Ale Waldka tam nie było. Skonsternowana stanęłam w wejściu.

– Coś podać? – ochrypniętym głosem zagaiła dziewczyna.

– Nie, szukam kogoś.

– Może mnie? – Jeden z mężczyzn obejrzał mnie od stóp do głów i wyszczerzył niepełne uzębienie.

– Niech pani zajrzy na salę – dziewczyna wskazała drzwi na końcu baru.

Rzeczywiście, nie zauważyłam ich wcześniej. Przez bar wchodziło się do dużej sali z parkietem, która w dzień pełniła zapewne rolę restauracji, a wieczorami odbywały się tam dansingi. Waldek siedział tuż przy oknie nad kuflem piwa. Ze swojego miejsca dokładnie widział pandę. Co za podła gadzina, cały czas mnie obserwował i czekał, kiedy przyjdę!

– Jesteś wreszcie! – uśmiechnął się szeroko.

Już miałam mu nakłaść do głowy, co o nim sędzę jako o mężu żony, która oczekuje laktatora, gdy w odległym kącie sali zobaczyłam... Janusza?! Na pewno przyjechał tam na obiad – wytłumaczyłam sobie. Spontanicznie podniosłam rękę, aby mu pomachać, a nogi już same mnie do niego niosły, ale usadził mnie w miejscu jednym gestem – płynnym ruchem dłoni przejechał po szyi, a potem pogroził mi palcem. Stanęłam jak wryta. No tak, zupełnie zapomniałam, przecież on występował incognito. Zakaszlałam z zakłopotaniem. Rzuciłam mu jeszcze ostatnie spojrzenie i zobaczyłam, że zajął się posiłkiem.

– Ducha ujrzałaś czy co? – Waldek się obejrzał. Na szczęście z tyłu siedziały też inne osoby, więc nie mógł się dowiedzieć, czyja obecność tak mnie poruszyła.

– Nie. Na ścianie wisi świetna halabarda.

– Aha – mruknął bez przekonania.

– Wracamy, co? – odzyskałam rezon.

– Po co się tak śpieszyć? – Wyciągnął przed siebie nogi. – Siadaj.
Piwko, soczek?

– Nie siadam i niczego nie chcę. Wracamy.

– E tam – chwycił mnie za rękę. – Pani Jolu! – krzyknął w kierunku baru. – Jakiś deser pani przyniesie!

– Nie chcę żadnego deseru – warknęłam. – Milena czeka!

– O, już niesie.

Pani Jola ze znudzoną miną postawiła na stole lody polane sosem czekoladowym.

– Siadaj i jedz. Jak to się w mieście mówi? Konsumuj? To siadaj i konsumuj.

– Nie.

– Nie to nie. Więc ja zjem. – I przysunął do siebie pucharek.

Jadł powoli, bawił się łyżeczką, popijał piwo i gapił przez okno.
Usiadłam.

– O, jak ładnie. Grzeczna z ciebie dziewczynka. To co? Może zamówię jeszcze jedne lody?

Nie odezwałam się do niego. W milczeniu stukałam kluczykami o stół i raz po raz zerkałam w stronę Janusza. Wyglądał na całkowicie pochłoniętego jedzeniem.

– Coś ty taka nieużyta? – Waldek nagle chwycił mnie za rękę. – Brakuje mi czegoś? Miastowe chłopcy lepsze są czy jak?

– Puść mnie! – syknęłam.

– Milena dopiero co urodziła, więc szczęśliwie uziemiona przy dzieciaku będzie. Pohasalibyśmy trochę to tu, to tam. Znam ustronne miejsca w lesie. Nic ci nie ubędzie, przecież toto się nie wymyśli!

– Wracam, a ty możesz dojechać autobusem! – Wyrwałam mu rękę i popędziłam do wyjścia.

Dogonił mnie przy parkingu.

– Coś ty taka nerwowa? Przecież jedziemy razem.

Wracaliśmy również zygzakiem, lecz nie z powodu tirów, ale wędrującej łapy Waldka. Tak byłam zajęta robieniem uników, że dopiero w połowie drogi zerknęłam we wsteczne lusterko i ze zdziwieniem zobaczyłam, że jechał za nami Janusz. Najchętniej zatrzymałabym pandę i popędziła do niego po pomoc, ale przez wzgląd na jego szeroko pojęte incognito jedyne, co mogłam zrobić, to docisnąć pedał gazu. Aby tylko jak najszybciej znaleźć się w domu – mruknęłam pod nosem i znów przycisnęłam, a silnik zawył jak śmiertelnie ranione zwierzę.

Waldek nic sobie z tego nie robił i nachylił się do mnie, opierając lewą rękę o mój zagłówek.

Zerknęłam w lusterko. Janusz też musiał przyśpieszyć, bo nadal był w tej samej odległości co poprzednio, dzięki czemu doskonale widziałam jego wściekle wytrzeszczone niebieskie oczy.

– Ale wróćmy do tematu, o słodka Natalie... – Waldek odezwał się z francuska i chuchnął przetrawionym piwskim. – Wspominałem już, że niczego mi nie brakuje... Patrz no tylko, że nie kłamię.

Kątem oka zobaczyłam, jak prawą ręką majstruje przy rozporoku. Nie wystarczyło mu jego rozpięcie, bo zaczął zsuwać spodnie. Na ten widok mocno przygazowałam i gwałtownie skręciłam w prawo, a następnie w lewo. Dobrze, że jezdnia była pusta, bo gdyby z przeciwka wyskoczył tir, na pewno byśmy tego nie przeżyli. Chociaż nie wiem, czy Waldek w zaświatach nie byłby zadowolony z takiej śmierci. W końcu zginąłby jak prawdziwy mężczyzna – z klejnotami gotowymi do akcji.

– Stój! – wrzasnął nagle, puścił przyrodzenie i złapał się za usta.

Natychmiast zahamowałam. Rąbnął jeszcze czołem w szybę i nie zważając na to, że świeci tyłkiem, wyskoczył na pobocze, gdzie wymiotował.

– Kto tak jeździ?! – wrzasnął po otarciu ust, a jego mały ptaszek smętnie zakołysał się w prawo i w lewo. Podciągnął spodnie i z ciężkim westchnieniem wszedł z powrotem. Spojrzałam w lusterko. Janusz, niczym bezsilny anioł stróż, był na tyłach. Zatrzymał się, gdy Waldek wymiotował, bo akurat było to miejsce wyjątkowo parszywe do wymijania.

W każdym razie Waldka wreszcie udało mi się uspokoić. I wyglądało na to, że na dłużej, bo gdy dojechaliśmy do Kowalów, nadal się nie odzywał. Poprawił spodnie, przeczesał włosy i trzasnął drzwiami pandy. Zignorował stojącą na progu Kowalową, nie racząc odpowiedzieć na jej pytanie, dlaczego wróciliśmy tak późno.

– Co tak długo? – tym razem zwróciła się do mnie, ale nim zdążyłam pozbierać myśli, wyrwała mi z rąk torbę i popędziła do domu.

Nie miałam ochoty wchodzić na górę, ale nie wiedziałam, na ile uczciwi są sąsiedzi, więc wolałam nie zostawiać kluczyków w aucie. Postanowiłam, że bez względu na to, czy ciotka jeszcze jest, czy nie, oddam klucze i od razu wracam do domu.

– Jesteś wreszcie – jęknęła na mój widok Milena.

W pokoju było czarno od gości, ale ciotki wśród nich nie zauważyłam. Panowała niemiłosierna duchota i gwar. Mały krzyczał wniebogłosy, a Kowal dzierzył go dumnie w objęciach i potrząsał na wszystkie strony, myśląc, że tym go uspokoi. Obok niego siedział Igor i kroił nożem kiszzonego ogórka. Na stole stało kilka butelek wódki i zakąski, a w rogu pokoju rzucono pakunki owinięte w kolorowe papiery. Zauważyłam tylko, że Waldek na mój widok ostentacyjnie odwrócił głowę w stronę pięknej Beaty i dwornym gestem nałożył jej na talerz kawałek salcesonu.

– Oddaję klucze od auta i uciekam – powiedziałam.

– Poczekaj. Pomóż mi z tymi laktatorami, dobrze? – zwróciła się do mnie Milena.

– Dobrze, ale chyba nie tutaj – skinęłam głową w kierunku rozbawionej gawiedzi.

– Chodźmy – powiedziała i wyszła.

Zeszliśmy na dół, do kuchni. Panował tam krajobraz jak po bitwie. Wizyta gości musiała być niezapowiedziana, bo wszędzie widoczne były ślady nerwowej krzątaniny: czajnik na parapecie, na podłodze rozsypana kawa, otwarta szafka z talerzami, a na stole porzucony nóż i zostawione na pastwę much resztki wędlin.

– Usiądź wygodnie. Najpierw muszę je wyparzyć – poleciłam Milenie i nastawiłam wodę.

Po chwili namysłu sięgnęłam po niedomkniętą puszkę z kawą. Mała czarna dobrze mi robi – pomyślałam i zaczęłam rozglądać się za szklanką.

– Są w szafce na prawo od zlewu. Tej wiszącej, oczywiście. – Milena domyśliła się, czego szukam.

– A ty napijesz się czegoś? – zapytałam, jakbym to ja tam była gospodynią, a nie ona.

– Wody z sokiem. W lodówce stoi malinowy.

Nalałam sok i wodę. Podałam Milenie.

– On się w niej kocha, wiesz? – rzuciła między jednym a drugim łykiem. – Na dodatek myśli, że jestem głupia i niczego nie widzę. Na ciebie też ma chęć – łypnęła na mnie krzywo.

– Kto? – Oczywiście było, że mówiła o Waldku i Beacie, ale tak mnie zaskoczyła podjęciem tego tematu, że nic sensowniejszego nie mogłam z siebie wydusić.

– Waldek w Beacie. Tylko nie mów, że niczego nie zauważyłaś.

Pewnie, że zauważyłam, musiałabym być ślepa i głucha, żeby nie dostrzec jego końskich zalotów. Poza tym po tym, co przeszłam z nim podczas jazdy pandą, podejrzewałam, że on kochał się w całej żeńskiej części wsi i okolic. Ale tego nie mogłam jej powiedzieć. Gadzina z niego była okropna i pewnie takim zostanie po kres swego życia, ale w końcu miał dziecko, a ono potrzebowało matki i ojca. Przynajmniej do czasu, aż dorośnie.

– On? W Beacie? – zapytałam, by zyskać na czasie.

– Tak, a niby kto? Duch Święty?! – Milena zrobiła się bardziej nerwowa i zaczęła się bawić leżącym nożem. Nie powiem, aby mi się to spodobało.

– Nie denerwuj się tak, bo ci się całkiem pokarm zatrzyma – poradziłam jej i do garnka z laktatorami wlałam wrzątek. Z reszty wody zaparzyłam kawę.

– Jak na mój gust Beata ma lepszego adoratora – rzuciłam obojętnym tonem.

Wprawdzie obiecałam Igorowi, że nikomu nie zdradzę jego tajemnicy, ale mając na względzie pokarm Mileny i mój święty spokój, postanowiłam złamać złożone przyrzeczenie.

– Kogo?

– Igora.

– Co ty pleciesz? – Milena najwyraźniej chwyciła haczyk, bo przestała interesować się moją osobą.

– Tak, tak, wiem, co mówię. Zachowanie Beaty to sprytna reżyserka. Robi tak dla niepoznaki, żeby wszystkich zmylić i odciągnąć uwagę od Igora.

– Ale dlaczego? Przecież Igor jest samotny i ona też. Nie muszą się ukrywać. Mogą bez przeszkód się pobrać, więc po co te tajemnice?

Wzruszyłam ramionami.

– A bo to wiesz, jak nie wiesz? – rzuciłam filozoficznie i już w duchu gratulowałam sobie sprytu, bo Milena przestała się bawić nożem. Niestety moja radość była przedwczesna, bo znów go chwyciła i wycelowała we mnie oskarżycielsko:

– Zmyślasz! Nic a nic ci nie wierzę! To niemożliwe, abym nigdy niczego nie zauważyła.

– Oj, mówię ci, że nie kłamię. – Poczułam gęsią skórę na karku. – Posłuchaj, widziałaś obrazy Igora?

– Nie. Nigdy nie lubiłam wsi i wszystkiego, co się z nią wiąże, a on tylko wiejskie pejzaże maluje.

– Skąd wiesz, że maluje wieś?

– Tak mówił. Kiedyś nawet chciał mi pokazać, ale go zbyłam.

– On nie maluje wsi ani pejzaży. On maluje Beatę. Qyłącznie.

– Żartujesz! Ale to nadal o niczym nie świadczy.

– Świadczy, świadczy. Widziałam je i wiem, że na niektórych Beata jest kompletnie naga. – Skłamałam, żeby podkreślić siłę namiętności, która łączyła Beatę z Igorem, i w ten sposób zająć czymś innym myśli Mileny.

– Naga? Jak to? On malował nagą Beatę?

Podrapała się nożem za uchem.

– Ale to nadal o niczym nie świadczy. – Była nieugięta.

– Świadczy, świadczy. Każdy artysta malarz poprzez obrazy daje wyraz swym uczuciom oraz portretuje osoby, które są dla niego ważne. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Kiedyś nawet widziałam ich razem w lesie. Beata nagusieńka przy Igorze latała, a potem dołączył do nich ten Tzvetan. Co ci mam jeszcze powiedzieć, czym przekonać, że mam rację?

– Byli we trójkę?! – Milena zbladła.

– Pewnie!

– Jak ona może z dwoma, to może też z Waldkiem!

– Daj spokój. Bez obrazy dla twojego męża, bo w końcu jest on wybrankiem nie tylko twojego serca, ale również oczu, ale porównaj sobie, jak on wygląda, a jak wygląda Igor lub Tzvetan. Z Waldkiem ona się tylko bawi, żeby nikt się nie domyślił, co tak naprawdę robi na boku.

– Nie podoba ci się mój Waldek? – zapytała zaczepnie.

– Pewnie, że nie – przytaknęłam chyba za bardzo skwapliwie, bo przez twarz Mileny przebiegł cień.

– Ale to nie znaczy, że ty się jemu nie możesz podobać. – Naburmuszyła się.

Ręce mi opadły. Tyle się nagadałam, aby odwrócić jej uwagę od mojej osoby, a ona znów to samo. Nagle z góry dały się słyszeć podniesione głosy, a zaraz potem szybkie kroki. W korytarzu mignęła Beata, a tuż za nią przemknął Waldek.

– Zostaw mnie! – usłyszałyśmy jej piskliwy głos.

– Przed chwilą byłaś miłsza!

– Ale już nie jestem! Wracaj do żony i dziecka!

– Poczekaj, odprowadzę cię! – To był Waldek.

Rzuciłyśmy się do okna. Waldek usilnie starał się dotrzymać kroku pędzącej Beacie, aż w końcu oboje zniknęli za stodołą.

– Gdzie oni są?! – Nagle, niczym pershing, do kuchni wpadł Hieronim. Wzrok miał rozbiegany, z ust toczyła mu się piana, a w prawicy dzierżył nóż.

– Kto?

– Oni!

– Jacy oni?

– Wywłoka i sukinsyn!

– Ma pan na myśli Beatę i Waldka, tak?

– A tak!

– Zniknęli za stodołą – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Tym razem mu nie daruję! – Wyleciał z domu jak z procy.

– Tato, poczekaj! – krzyknęła Milena i nadspodziewanie szybko, jak na kobietę w połogu, pobiegła za nimi.

Do północy czas włókł się niemiłosiernie. Nie mogłam się doczekać, by opowiedzieć wszystko Januszowi. Właśnie tak, wszystko, bo zdecydowałam, że musi się dowiedzieć o niechcianych amorach Waldka. Byłam pewna, że się zdenerwuje, ale nie dbałam o to. Skoro wiejski amant obnażył się w samochodzie, to kto wie, do czego jeszcze mógł być zdolny? Dlatego, na wszelki wypadek, Janusz musiał o wszystkim wiedzieć. Wbiłam sobie to postanowienie mocno do głowy, po czym zrobiłam porządek na stoliku i rozłożyłam laptop. Zamiast beczynnie czekać na ukochanego i bezproduktywnie marnować czas, postanowiłam zabrać się do pisania pracy. W domu, we Wrocławiu, opracowałam już niemal cały wstęp oraz opisałam część wyników, przez co byłam prawie na półmetku. Cieszyło mnie, że do obrony było dużo czasu, dzięki czemu mogłam wszystko pięknie dopracować. A poza tym czekał mnie jeszcze ostatni egzamin – z angielskiego, do którego także chciałam się porządnie przygotować.

Otworzyłam plik i sprawdziłam, na czym ostatnio skończyłam. To była tabela ze zmianami zawartości wapnia w środowisku korzeniowym. Niestety nieopisana. Wzięłam się do pracy. Dotychczas analizowanie poprzednich makroskładników nie przedstawiało dla mnie żadnego problemu, ale teraz, czy to przez to, że niezbyt wygodnie mi się siedziało, czy to dlatego, że komary bezlitośnie kąsały – zupełnie mi nie szło. A może to po prostu przez stale krążące po głowie myśli o Januszu. Cóż było robić? Poddałam się. Wyłączyłam komputer, zgasiłam światło, zapaliłam świeczkę i przebrałam się w szlafrok. Postałam trochę przy oknie, posiedziałam w fotelu, a Janusza jak nie było, tak nie było. Za ścianą głośno chrapała

ciotka. Nie powiem, trochę mnie rozczarowała, bo gdy wróciłam do domu, już spała i nie mogłam zdać jej relacji z dziwnego zachowania Waldka, Beaty i Kowala. Co się odwlecze, to nie uciecze, rano jej opowiem. Oczywiście o striptizie Waldka nie wspomnę ani słowem – postanowiłam.

O wpół do dwunastej zgasiałam świeczkę i stanęłam przy oknie. Noc była ciemna, duszna, a niebo zasnuwane chmurami. W oddali dał się słyszeć pomruk nadchodzącej burzy. Mijały kolejne minuty, a w ogrodzie nie było widać żywego ducha. Nauczona doświadczeniem trwającego od kilku lat romansu powinnam była przyzwyczyć się, że Janusz albo się spóźnił, albo nie przychodził wcale, nie informując mnie o tym wcześniej. Nic jednak nie mogłam poradzić na to, że go kochałam i się o niego martwiłam. Chociaż ze zdziwieniem, sama przed sobą musiałam przyznać, że zdarzały się chwile, kiedy bardzo mnie irytował. Zastanawiałam się, co mogło być tego przyczyną. Może stres, który zaczynał mnie nękać w związku ze zbliżającym się egzaminem oraz obroną pracy. Inną sprawą, która mnie zaskoczyła, a która nigdy wcześniej nie miała miejsca, było to, że kilkakrotnie złapałam się na tym, że chciałam porównywać go z Grzegorzem! Do tej pory jego śmierć stanowiła granicę, której nie przekraczałam. Aby szybciej utulić żal, nie wracałam pamięcią do przeszłości, a fotografie oraz filmy, na których byliśmy razem, włożyłam do kartonu i wyniosłam do piwnicy. Janusz początkowo stanowił cudowne panaceum na moje cierpienie, ale coraz częściej wyczuwałam gorzki smak tego lekarstwa oraz nieprzyjemne skutki uboczne. Ale kochałam go nadal. Gdyby tak nie było, nie stałabym przecież zaniepokojona w oknie i nie martwiła się o niego.

Północ wybiła już dawno, telefon milczał, a mojego kochanka nadal nie było. Wybrałam jego numer. Nie odbierał. Po poprzednim jego spóźnieniu, obok tradycyjnych myśli, że ktoś mógłby mu zrobić coś złego, pojawiła się

nadzieja, że tylko się upił. W końcu punktów za publikacje miał tyle, że mógł pić całą noc. Przed drugą położyłam się do łóżka. Dalekie odgłosy burzy stawały się coraz bliższe, aż w końcu grube krople zaczęły bębnić o blaszany parapet. Położyłam się i wsłuchałam w deszcz. Zasnęłam.

Obudziłam się około ósmej. Natomiast ciotka wstała chyba z kurami, bo w dużym garnku bulgotała już zupa, na patelni smażyły się mielone, a obrane ziemniaki czekały na ugotowanie. W pierwszych dniach mojego pobytu w Strzelbach dziwiło mnie, dlaczego gotowała obiad, zanim zjadła śniadanie, czyli mniej więcej o świcie. Nawet ją o to zapytałam, ale tylko niezrozumiale odburknęła coś pod nosem, więc dałam spokój i przeszłam nad tym do porządku dziennego. Dla mnie najważniejsze było, że przestała już mnie zmuszać do gotowania, tylko zakasywała rękawy i sama pichciła. A robiła to bardzo dobrze, więc dopingowałam ją wychwalaniem potraw, wypieków i wszystkiego, co tylko przygotowała. Ciotka pod wpływem pochwał nakręcała się niczym sprężynka i jeszcze bardziej starała. A ja jadłam.

– A ty co taka niemrawa? Chora jesteś? – Przyłożyła dłoń do mojego czoła.

– Nie – odsunęłam się.

Janusz nie dał znaku życia. Cały on. Kochanek jak z podłego romansu. Gdy zastanawiałam się, czy kromkę mam posmarować miodem czy dżemem, do kuchni wpadła zdyszana Kowalowa.

– Nie ma u was Hieronima albo Waldka? A najlepiej ich obu? – Miała dzikie oczy i sapała niczym kowalski miech.

– Nie – odparła zdziwiona zachowaniem sąsiadki ciotka.

Kowalowa spojrzała na mnie.

– Też ich dzisiaj nie widziałam.

– Rany boskie! To gdzież oni się podziali? – Załamana ręce.

– Tak od rana chłopcy ci zniknęli? Może są w lesie albo ryby łowią. Kowal zdaje się lubi powędkować.

– Nie, wędkę stoją na swoim miejscu. Oni zniknęli już wczoraj wieczorem. Jak wylecieli z chaty, to na noc nie wrócili. Nawet Igorek po nocy pandą po lesie jeździł, nawoływał i nic.

– Nie wrócili na noc? – zdziwiła się ciotka. – A w ogóle to czemu oni tak nagle z chaty wylecieli, co?

– Za Beatą pobiegli – wyjaśniłam. – Milena też za nimi wybiegła. I co, zgubiła ich? – zwróciłam się do Kowalowej.

– Tak, uciekli gdzieś tej biednej położnicy. Wróciła sama po trzech kwadransach.

– A Beata jest? Była u niej pani?

– Tfu, na psa urok, jest cała i zdrowa! A jeszcze gorsze jest to, że też nic nie wie.

Potarła ręką czoło, jakby nad czymś się zastanawiała, odwróciła na pięcie i bez słowa zniknęła w korytarzu. Ciotka upewniła się jeszcze, że sąsiadka na pewno sobie poszła, i zapytała:

– O co chodzi z tą Beatą?

Opowiedziałam o wczorajszym wieczorze, jak rozwścieczony Kowal, z nożem w ręce, wybiegł za Beatą i Waldkiem, oraz o wspaniałym sprincie Mileny – kobiety, która kilka dni wcześniej powiła dziecko. Ciotka przeżegnała się i powiedziała cicho:

– Świeć Panie nad jego duszą...

– Czyją?!

Ciarki mnie obleciały, a chleb wypadł z ręki.

– Jednego z nich. Kowala znam dobrze, pochodzi z gór, chłop z niego twardy, pamiętliwy i bez wcześniejszych przemyśleń tego noża ze sobą nie

zabrał. Gdzieś więc jest trup albo i, nie daj Boże, ze dwa!

– Niech mnie ciocia nie straszy.

– Ani mi to w głowie. I mogę się nawet o jakieś sto, ba, nawet i dwieście złotych założyć, że tym trupem jest Waldek. Kto to widział, aby niewinnemu dziecięciu tyle dyshonoru przynosić? To co, zakład? Po stówce na każdego.

– Niech się ciocia nie wygłupia! – wzdrygnęłam się.

Pomyślałam o moim Januszku. Przecież on, niebożatko, mniej więcej w czasie, gdy ci dwaj po lasach z nożem latali, do mnie się wybierał! A co jeśli wszedł im w drogę i jego też przy okazji zaciukali? Zwinęłam dłoń w pięść i wcisnęłam sobie do ust, aby powstrzymać krzyk.

– Co ty wyprawiasz z tą ręką?

– Nic... – wybełkotałam. Wciągnęłam nosem głęboko powietrze i powoli policzyłam do dziesięciu. Gdy się nieco uspokoiłam, wstałam i odstawiłam brudne naczynia do zlewu.

– Idę go poszukać – powiedziałam głośno, myśląc oczywiście o biednym Januszku.

– Kowala? Dobrze. Ja idę do Kowalowej. Może jeszcze czegoś się dowiem. Aha...

– Co? – zatrzymałam się w drzwiach.

– Nie zapomnij komórki. Jakby co, dzwoń od razu na 997.

– Niech ciocia nie kracze, dobrze? – mruknęłam nieuprzejmie, widząc oczyma wyobraźni pokiereszowane, porzucone byle gdzie, chude ciało Januszka. Ale komórkę oczywiście wzięłam.

Wyszłam przed dom i rozejrzałam się wokół. W którą stronę iść? Najpierw oczywiście do Kopytkowa, przecież tam wynajęłam Januszkowi pokój.

Dzień był duszny i parny. Nocny deszcz ustąpił tylko pozornie i przyczał się za ciemnymi chmurami. W powietrzu znowu wisiała burza. Pożałowałam, że nie zabrałam ze sobą parasola. I to nie tylko ze względu na ewentualne opady. Mógł posłużyć za broń. Cóż, zawsze przecież po drodze mogłam znaleźć jakiś sękaty kij – pomyślałam, aby dodać sobie otuchy.

Nagle mnie olśniło. Dlaczego jeszcze do niego nie zadzwoniłam? Szybko wyciągnęłam telefon i jeszcze szybciej wybrałam numer. Miałam nadzieję, że zaraz odbierze, usłyszę ukochany, burkliwy ton i złośliwe pouczenia. Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek tak bardzo zapragnę je usłyszeć. Niestety. Z drugiej strony nikt nie odbierał. Otarłam łzę i zdecydowanym krokiem ruszyłam przed siebie.

W oddali przewalił się cichy grzmot. Łudziłam się, że tym razem burza przejdzie gdzieś bokiem. Nic z tego. Po chwili spadły pierwsze krople deszczu, ale na szczęście weszłam już między drzewa i wśród gęstych gałęzi i liści szybkie zmoknięcie mi nie groziło.

– Januszek! – zawołałam, gdy znalazłam się w lesie.

Nad koronami drzew pojawiła się błyskawica, a po chwili usłyszałam grzmot. Zaczęło lać na dobre.

– Janusz! – wydarłam się na całe gardło.

Nikt nie odpowiedział. Zaczęłam biec. Gdy w pobliżu ponownie uderzył piorun, uciekłam z lasu na drogę i biegłam, ile sił w nogach.

Marzyłam, aby przed śmiercią zobaczyć Januszka całego i żywego.

Zdyszana wpadłam do Kopytkowa. Było już zalane wodą. W przeciwieństwie do Starych Strzelb usytuowane było u podnóża wzniesienia i teraz z góry wprost do wioski spływała woda. We wsi nie było widać żywego ducha. Zaczęłam gorączkowo przypominać sobie, gdzie stał dom, w którym Janusz miał wynajęte lokum, ale w głowie miałam kompletną pustkę. Nie dość, że byłam tam tylko raz, to przez ten rześisty deszcz wszystkie budynki wyglądały tak samo. Postanowiłam zapukać do pierwszych lepszych drzwi. Otworzyła starsza, tęgawa kobieta. Tak jak za pierwszym razem, znów trafiłam do Maślanów!

– A pani co tak po deszczu lata?

– Szukam kogoś... Ale nie będę już pani przeszkadzać. Pomyliłam domy.

– Szuka kogoś – mruknęła do siebie i zmierzyła mnie od stóp do głów. – Pewnie tego kochasia, co?

– Słucham? – Już byłam odwrócona do niej plecami i gotowa do ponownego biegu, ale jej słowa usadziły mnie na miejscu niczym łańcuch psa przy budzie. – Jakiego kochasia?

– No, tego profesorowego. Starego, siwego z chudą klatą jak nie u chłopca, tylko truposza jakiegoś. A tfu na takiego lowelasa! – splunęła na próg. – I na dodatek wypić porządnie nie potrafi!

– To nie jest mój kochaś. Zresztą dlaczego mi to pani insynuuje?

– Insnu... co? – ponownie splunęła. – Zresztą nieważne! Pannica to nas wszystkich chyba za głupków ma, a sama to durna niczym ta stołowa noga! Idźże już do tych Bąków – kiwnęła głową w kierunku sąsiedniego domu – bo tam on pokój odnajmuje. Nie dość, że roztrzepana, to jeszcze głupia – skwitowała i zamknęła drzwi.

Trochę mnie zaniepokoiło to, że zostaliśmy z Januszem zdemaskowani. Zresztą ja to pół biedy, ale gorzej z nim. Przecież zawsze tak dbał o reputację. Nie był to jednak odpowiedni czas na tego typu rozmyślenia. Szybko przebiegłam Maślanowe podwórze, przeszłam przez furtkę i energicznie zapukałam do Bąków. Po chwili usłyszałam szuranie i w progu stanął zażywny jegomość z dopalającym się papierosem wiszącym na grubej dolnej wardze.

– Pani do kogo?

– Szukam Janusza...

– Tu nie ma żadnego Janusza – przerwał mi i chciał zatrzaskać drzwi przed nosem, ale przyblokowałam je nogą.

– Weźmie tę nogę, bo utracę – warknął. W jego oczach pojawiły się złe błyski i znów chciał zamknąć drzwi, ale wtedy zza jego pleców wychylił się ów siedemnastoletni wyrostek, z którym rozmawiałam za pierwszym razem.

– Nie pchaj się, Mietek – ofuknął młodego i trącił go łokciem.

– Tata! Przecież to ona! To właśnie ta lala profesorkowi pokój u nas wynajęła!

Stary łypnął na mnie z zainteresowaniem.

– Ach, tak...

– Chciałabym z nim porozmawiać, czy mogę wejść?

– Wchodzić sobie pani może, ale go nie ma.

– A kiedy wróci?

– Nie wiemy. Wczoraj w nocy nagle wsiadł w samochód i odjechał. Rzeczy swoje też zabrał.

– Odjechał? Nagle? – powtórzyłam niczym echo. – Co się stało? Mówił coś?

– Nic.

– Ale jak to wyglądało dokładnie?!

– Oj, co się paniusia tak pierzy? Po prostu wsiadł w auto, przekręcił kluczyk, auto zrobiło brum-brum i zniknęło za zakrętem. Tak to wyglądało! – Stary nie miał do mnie cierpliwości.

– Tato, może ja powiem. – Mietkowi chyba zrobiło się mnie żal, bo wysunął się przed ojca i pokrótce streścił wydarzenia minionego wieczoru.

– Profesorek zjadł z nami kolację, posiedział tak z godzinę, potem nagle powiedział, że musi iść i że raczej nie będzie go całą noc. Nawet nie chciał kielicha na drogę wypić. Później my, to znaczy ja z ojcem, wypiliśmy trochę i około północy mieliśmy kłaść się spać, gdy nagle do naszego pokoju wpadł profesorek, cały w nerwach i z walizką w ręce, i oznajmił mi, że wraca do domu, bo tam się coś stało.

– Nie mówił dokładnie co?

– Chybabym powiedział, gdybym to wiedział – burknął Mietek.

– I co dalej?

– Zapłacił nam za pobyt i...

– Wybiegł na podwórze i autko zrobiło brum-brum... – zakończył opowieść stary, który najwyraźniej mnie nie polubił.

– Właśnie tak – przytaknął syn.

Mimo padającego deszczu wlokłam się noga za nogą. Janusz wyjechał tak nagle. Co się mogło stać? Nie próbowałam już do niego dzwonić, bo niedawno to robiłam i na pewno by oddzwonił, gdyby mógł. Aby zagłuszyć niepokój, postanowiłam skupić się na odnalezieniu Kowala i Waldka. Tylko że zupełnie nie wiedziałam, gdzie ich szukać. Okolica była zupełnie obca. Wokół tylko pola i lasy. Jedynym znanym mi miejscem było jezioro, przy którym obnażała się Beata. Stwierdziłam, że najpierw pójde właśnie tam.

Droga na polanę minęła mi bardzo szybko. Deszcz przestał padać i między konarami zaczęło przebijać słońce. Odgłosy burzy cichły z każdą chwilą. Pełna nadziei zaczęłam rozglądać się wokół.

– Panie Kowal! – krzyknęłam. Po chwili zastanowienia zawołałam:

– Waldek!

Odpowiedziało mi echo. Na polanie nie było śladu niczyjej bytności. Zrezygnowana przysiadłam na mokrym pniu drzewa. Gdzie ich miałam szukać? Posiedziałam chwilę, po czym ruszyłam przed siebie. Polana się skończyła, pojawiły krzaki, które przerodziły się w mały zagajnik. Im dalej szłam, tym mocniej moje ciało pokrywała gęsia skórka. Zupełnie nie wiedziałam dlaczego. Przecież był biały dzień. W nocy to co innego, bo noc rządzi się swoimi prawami. Wtedy każdy obejrzany czy przeczytany horror nabiera nagle mocy reportażu lub przynajmniej filmu dokumentalnego. Nie wspomnę o tych wszystkich okropnościach, którymi karmią nas media, a które po zmroku łypią na człowieka z każdego ciemnego zakamarka. Albo takie bzdurne opowieści jak ta ciotczyna o złym oku. Czyż to nie był kretynizm do kwadratu? Oczywiście, że tak! Tylko dlaczego, idąc w dzień przez las, miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje?! A obserwować może

tylko ten (ta, to), kto ma oko. A oko miało przede wszystkim złe oko. I miało prawo się wściec. Waldek łąjdaczył się z Beatą, Beata z Igorem i Tzvetanem, a ja z Januszem. Czyż to nie za wiele podłości jak na tak małą wioskę?

Nawet nie zauważyłam, że zagajnik się skończył i weszłam między dęby. Były piękne. Wielkie, stare i majestatyczne. A wśród nich królował on – dąb nad dęby! Był olbrzymi, stary i wyglądał jak szef pozostałych. Miał mocno rozbudowaną koronę i powyginane konary. Oniemiałam. Takiego drzewa nigdy nie widziałam. W pniu szefa, na wysokości mojej głowy, znajdowała się duża dziupla. Nagle coś się w niej poruszyło. Wspięłam się na palce i od razu szybko odskoczyłam. To była sowa. Łypnęła na mnie złowrogo, zupełnie w taki sposób, w jaki powinno spoglądać złe oko, i zahuczała:

– Uhu! Uhu! – Po czym machnęła skrzydłami i poleciała.

Wzdrygnęłam się. Kiedyś słyszałam, że sowa zwiastuje śmierć. Na wypadek gdyby chciała wrócić i mnie zaatakować, odsunęłam się od jej mieszkania. I wtedy ich zauważyłam. Kowala, a po chwili Waldka. Kowal leżał tuż przy krzakach. Był oparty o sporą górkę ziemi, prawą rękę miał nienaturalnie wykręconą do tyłu, a język wywalony na pół brody. Z ucha sączyła mu się krew. Potem spostrzegłam Waldka. Leżał bez ruchu i był przywalony jednym z potężnych konarów. Ominęłam go i podbiegłam do Kowala. Sprawdziłam puls. Żył! Wyjęłam komórkę i trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami wykręciłam 997.

Drugiego dnia po wypadku w lesie zadzwonił Janusz. Od razu zarzuciłam go pytaniami, co się stało, i chciałam zwięźle poinformować, co poprzedniej nocy wydarzyło się w Strzelbach. Nie dał mi jednak dojść do głosu.

– Cicho, Nacia – powiedział. – Nie mam teraz czasu na twoje głupoty. Jestem we Wrocławiu, bo Krysia wczoraj w nocy dostała ataku wyrostka robaczkowego. Nie wiem, kiedy będzie operacja, ale muszę teraz przy niej być. Pewnie nie zrozumiesz, bo nie masz rodziny, ale jednak spróbuj wczuć się w moją sytuację. Nie dzwoń do mnie pierwsza, nie przeszkadzaj. Jak będę mógł, to sam się odezwę.

I taka była z nim rozmowa! A co do przepowiedni z sową, to się nie sprawdziła, bo Waldek i Kowal nadal żyli. Szkoda, że nie założyłam się z ciotką, bo miałabym teraz dwie stowy w kieszeni. Żaden z nich nie odzyskiwał przytomności, ale ciągle byli na tym świecie. Jak to określił lekarz:

– Stan obu mężczyzn jest ciężki, ale stabilny.

Kowalowa była posępna, Milena milczała, ale widać było, że nerwy bardzo nią targały, bo jednak Waldek był w zdecydowanie gorszym stanie niż Kowal.

Wszyscy zostaliśmy przesłuchani. Najdłużej magłowano Beatę, bo jako ostatnia miała styczność z jednym, a może i nawet dwoma poszkodowanymi. Jednak ani jej zeznania, ani pozostałych osób nic nowego do sprawy nie wniosły. Mówiła, że od Kowalów pobiegła prosto do domu. Waldek mniej więcej w połowie drogi zawrócił i tego wieczoru już

go nie widziała. Twierdziła, że nawet nie zauważyła, że Kowal wybiegł za nimi z domu. Nie umiała także wyjaśnić, dlaczego podążający początkowo za nią mężczyźni znaleźli się ostatecznie niemal na drugim końcu wioski. Zeznania Mileny również w niczym nie pomogły. Biedaczka leciała za nimi, na ile jej siły pozwoliły, po czym jak opowiadała, zwolniła, aby odsapnąć, następnie przysiadła i w ten sposób straciła ich z oczu.

Najciekawsze było, że nigdzie w okolicy nie znaleziono noża, z którym Kowal pobiegł za Waldkiem i Beatą. Nie byłoby to aż tak istotne, gdyby nie fakt, że na ciele wydobytego spod konaru Waldka stwierdzono trzydzieści dwie rany kłute, zadane ostrym narzędziem. Ktoś, kto zadał mu aż tyle ran, musiał go bardzo nie lubić.

Śledczy stwierdzili, że należy czekać, aż któryś z mężczyzn odzyska przytomność, i wtedy być może na sprawę zostanie rzucone nowe światło. Przyjęto wstępną hipotezę, że Kowal z zięciem wdali się w bójkę. Teść ugodził kilkakrotnie zięcia, po czym potknął się i uderzył głową w kamień (to, co początkowo wzięłam za górkę ziemi, było dużym głazem). Jego wykręcona ręka miała być wynikiem szarpaniny, a konar, który leżał na Waldku, spadł na niego podczas burzy.

Wieczorem, po przesłuchaniach, przyszła do nas Kowalowa.

– Wszystko sobie przemyślałam. Trzeba szybko ochrzcić małego – rzuciła już w progę. – Stan mojego Hieronima jest bez zmian, a Waldka uległ pogorszeniu. Dlatego należy zacząć działać.

– Moim zdaniem wprost przeciwnie. W takiej sytuacji chyba lepiej się nie spieszyć – siedziałam w hamaku i na laptopie pracowałam nad doktoratem. – Może niedługo oprzytomnieją i wtedy wspólnie ustalicie termin.

Kowalowa machnęła ręką.

– A co jak któryś zemrze? To kiedy my te chrzciny zrobimy? Przecież żałobę trzeba będzie nosić, a ludzie powiedzą, że niechrzczonego dzieciaka hodujemy.

– W czasie żałoby ksiądz na pewno też ochrzci, niech się pani Kowalowa nie boi. Dobrze radzę, poczekajcie z tym jeszcze ze dwa tygodnie.

– Pewnie, że w czasie żałoby ochrzci – prychnęła. – Ale ja chrzcin jak się patrzy nie będę mogła wyprawić!

Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Co Natalia tak głupio łypie? Chyba w chrzcinach nigdy nie brała udziału.

– Brałam. Dwa razy.

– No i ile było gości?

Szybko przeliczyłam w myślach.

– Osiemnaścioro.

– Osiemnaścioro! – pogardliwie wydeła usta. – Ja mam ambicję zaprosić wszystkich, którzy byli na weselu Milenki i Waldka. Orkiestra będzie przygrywać, potańczymy... Ładnie będzie... – rozmarzyła się.

– A ile osób było na ich weselu? – zapytałam ostrożnie.

– Pół wsi. I trochę znajomych z okolicy.

Myślałam, że spadnę z hamaka. Nigdy nie lubiłam hucznych imprez. Gdybym wiedziała, co szykuje Kowalowa, na pewno nie zgodziłabym się zostać chrzestną. Przełknęłam głośno ślinę.

– A kogo prosiliście na ojca chrzestnego?

– Jak to kogo? Oczywiście, że naszego Igora. Ładna będzie z was para. Chociaż z praktycznego punktu widzenia to ten Tzvetan bardziej by się nadał. Z zagranicy jest, fajnie by się jeździło na wakacje do Bułgarii. Ale

ostatecznie do naszego Igora, do Piły, też raz po raz można będzie podskoczyć.

Odetchnęłam z ulgą, że w swoich dalekosiężnych planach wojaży przestała brać mnie pod uwagę.

– A gdyby się zdarzyło, że Igor będzie w rozjazdach, to się do ciebie wybierzemy – dodała, a ja straciłam resztki nadziei.

Na chrzcinach miało być pół wsi i okolicy, a ja nie miałam się w co ubrać. Musiałam porządnie wyglądać nie tylko z racji liczby zapowiadanych gości, ale też z powodu wyjątkowej urody ojca chrzestnego. Igorowi nawet w worku po ziemniakach będzie do twarzy, ale przede mną, nieatrakcyjną, fatalnie ufarbowaną blondyną stało nie lada wyzwanie.

– To pewnie chrzciny będą już w następną niedzielę?

– Następną? – ze zgrozą odpowiedziała Kowalowa. – Żeby mi któryś z chłopów umarł i plany pokrzyżował? W tę!

– Za cztery dni? – Hamak zakołysał się pod moim gwałtownym ruchem.

– Tak. Niech się Natalka szykuje. Zaraz idę do księdza wszystko obgadać. Spowiedź też Natalce załatwię.

33

Po dwóch dniach w nocy zadzwonił Janusz. Mój kochany, nareszcie!

– Januszek! – zapiszczałam do słuchawki.

– Co słyhać? – rzucił na powitanie.

– W miarę w porządku.

– Co to znaczy w miarę?

– Och – westchnęłam. – Kowalowa szykuje chrzciny i ja mam być chrzestną. A jak twoja żona? Zrobili jej operację?

– Jeszcze nie. Leży na obserwacji. Mów wreszcie, co u ciebie słyhać!

Zaskoczył mnie jego ostry ton.

– W lesie był wypadek. Kowal niemal na śmierć pobił Waldka.

– Waldka? Co to za jeden?

– Zięc Kowalów.

– Nic mi to nie mówi. Jakiś twój bliższy znajomy?

– Niezupełnie... – nagle skojarzyłam, że Janusz przecież go widział! Wtedy w Rycerskiej i podczas feralnego powrotu do Strzelb, gdy Waldek z gołym tyłkiem wyskoczył z auta i zwymiotował na pobocze.

– Janusz, już wiem! Waldek to ten, którego widziałeś ze mną w knajpie we Lwówku!

– Ach! – powiedział, a ja mogłabym przysiąc, że zazgrzytał przy tym zębami. – Powiedz raczej, że to ten, któremu w starej pandzie zdjęłaś majtki!

– Janusz! – krzyknęłam oburzona. – Nie mów, jak nie wiesz!

– Nie wiem? Ależ wiem, wiem. Na własne oczy widziałem, gdy kiedyś wieczorem całowałaś się z nim na ulicy, a następnym razem z gołym

instrumentem z auta ci wyskoczył. Ugryzłaś go tam czy co? Takie rzeczy się pamięta!

– Jesteś świnia, wiesz?!

– Uważaj, jak się do mnie odnosisz! Nie zapominaj, że piszesz pracę doktorską! I to nie u byle kogo, tylko u mnie! A mój doktorant jest moim świadectwem, więc starannie dobieraj słowa! Bierz ze mnie przykład! Czy ja kiedykolwiek rzuciłem pod twoim adresem choćby najmniejszą inwektywę?!

– Nie.

– Więc ty też licz się ze słowami. Świnia! Też coś! – prychnął obrażony.

– Januszek, nas naprawdę nic nie łączyło! Jak Boga kocham!

– Boga w to nie mieszaj. Głupi nie jest, od początku cię obserwuje i wie, że święta nie jesteś. Masz romans z żonatym facetem, a to stawia cię w nader niekorzystnym świetle!

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, starannie akcentując każde słowo:

– Januszek, nic nas z Waldkiem nie łączyło. On sam mnie zaczepiał, odkąd przyjechałam do Strzelb.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

– Nie chciałam cię denerwować. Myślałam, że dam sobie z nim radę.

– Ale nie dałaś.

– Tak, ale teraz już nic złego mi nie zrobi, bo go ktoś dziobnął nożem. A w zasadzie zadziobał.

– Czyli dostał za swoje. Gdybym spotkał tego, który to zrobił, postawiłbym mu duże piwo. Ba, nawet dwa.

– Nie mów tak, on ledwo żyje.

– Żal ci?

– No nie...

– Bądź tu mądry i zrozum kobietę – westchnął. – A ten drugi? Jak on się nazywa?

– Kowal.

– Jak on się czuje?

– Jest w lepszym stanie niż Waldek, ale nadal nie odzyskuje przytomności.

– Czyli to znaczy, że z twoim Waldkiem nie jest najlepiej – podsumował.

– Tak. Jest niemal jedną nogą na tamtym świecie.

– Aha... – W słuchawce na chwilę zapadła cisza. – I jakby tego wszystkiego było mało, to jeszcze masz być tam chrzestną.

– Tak.

– Na pewno tego chcesz? Przywiążą cię do siebie i już nigdy się ich nie pozbędziesz. Poza tym sama widzisz, że to kryminaliści. Jeszcze rozpętają jakiś skandal i ciebie w to wciągną.

Pomyślałam o wakacyjnych planach małego Hirka, jakie snuła jego babcia.

– Pakuj się. Za trzy godziny przyjadę i zabiorę cię do Wrocławia.

Zaskoczył mnie. Aż takiego poświęcenia nigdy od niego nie doświadczyłam.

– Ale ja im obiecałam, że będę chrzestną.

Nie mogłam się wycofać. Cokolwiek by Janusz mówił o tych ludziach, polubiłam ich i nie chciałam łamać złożonej obietnicy.

– Jesteś niemądra. Zaczynaj się pakować, bo przyjeżdżam.

– Nie wracam. Nie teraz.

Zamilkł na chwilę.

– Jak chcesz. – Po tonie usłyszałam, że był obrażony. – Teraz nie mogę pozwolić sobie na pobyt w tych twoich Strzelbach, bo Krystyna leży w szpitalu i muszę ją odwiedzać. Sama widzisz, że nie dam rady przy tobie być, aby w razie czego pomóc. – Przerwał na chwilę. – Możemy do siebie dzwonić. Aha, powiedz mi jeszcze, czy cię przesłuchiwali?

– Oczywiście.

– Mówiłaś coś policjantom na mój temat? Cokolwiek. Choćby tylko to, że jestem promotorem twojej pracy doktorskiej?

– Nie, o doktorat mnie nie pytali. O ciebie też. Ale mimo to uważnie się pilnowałam, aby coś mi się nie wymknęło.

– To pilnuj się nadal. Nikt nie może wiązać mnie z twoją osobą!

I się rozłączył. Bez pożegnania, niestety.

W piątek przed chrzcinami do Strzelb przyjechali siostra i szwagier. Pewnie gnębiły ich wyrzuty sumienia, że wysłali mnie w miejsce, gdzie mogę stracić życie. Wzięli też ze sobą Robercika i Grzesia. Wyściskałam moich chłopaków tak mocno, że prawie ich udusiłam. W podzięce Robek wyrwał mi z kitki pasmo włosów, a Grzeniu boleśnie kopnął w kostkę.

– Przecież mieli być nad morzem u babci Lusi – zauważyłam, gdy wyrwali się z moich objęć i czmychnęli zwiedzać podwórze.

Rafał wyjaśnił, że babcia Lusia ponoć nie wytrzymała napięć i po kilku dniach zadzwoniła z rozkazem, aby natychmiast zabrać te wstrętne bachory jak najdalej od niej. Takim oto sposobem moi siostrzeńcy, zamiast pluskać się w falach Bałtyku, znaleźli się we wsi na Dolnym Śląsku. Jednak na moje oko nie wydawali się przejmować zaistniałym porządkiem rzeczy. A że to było tuż przed chrzcinami, cała czwórka także została na nie zaproszona. Dobrze się złożyło, że przyjechali, bo Alucha zawiozła mnie autem do Jeleniej Góry, abym kupiła porządne ubranie, doprowadziła do porządku to, co miałam na głowie, oraz, co było najważniejsze, wybrała prezent dla przyszłego chrześniaka. Po kilku godzinach buszowania po sklepach udało nam się upolować zieloną sukienkę, która w cudowny sposób podkreślała atuty mojej sylwetki oraz czyniła ją mniej masywną. Niestety, wizyta u fryzjera tak zdrenowała mój portfel, że na upominek dla Hirka musiałam zadłużyć się u Ali. Trzeba jednak przyznać, że pan Romek zamienił moje żółte włosy w przepiękny, miękki, pszeniczny łan, który mienił się złotymi refleksami. Zachwycona efektem dałam namówić się na kupno jedynej w swoim rodzaju odżywki ożywiającej blask włosów farbowanych, unikatowego żelu specjalnie do mojej nowej grzywki oraz

wyjątkowego serum na końcówki. Początkowo zdziwiłam się, czy aby na pewno moje włosy potrzebują aż tylu specyfików, ale pan Romek entuzjastycznie przytaknął. Zerkając co chwila z podziwem w lustro, sięgnęłam więc po portfel i wydałam wszystko.

– Całkiem niezła z ciebie laska – pochwaliła mnie siostra.

– Nie mam już ani grosza na Hirka – jęknęłam po wyjściu od pana Romka.

– Pożyczę ci. Oddasz, jak będziesz mogła. Dlaczego o siebie nie dbasz? Mało jest we Wrocławiu dobrych fryzjerów? A ty wybrałaś jakiegoś kretyna, który zrobił z ciebie maszkarona. Musiałaś przyjechać aż do Jeleniej Góry, aby zrobić się na człowieka?

– To nie był fryzjer, tylko księgowa – sprostowałam.

Alucha uniosła brwi.

– Co?!

– Oj, daj spokój. Szkoda gadać – machnęłam ręką. – Lepiej pomóż mi wybrać coś dla małego.

Wbrew moim obawom poszukiwanie prezentu nie zajęło nam zbyt wiele czasu. Malutkie dzinsiki, koszula i krawat oraz pluszowy miś powinny były zadowolić gust mamy oraz synka.

– No, a teraz idziemy na dobry deser! – Ala wrzuciła torby z zakupami do bagażnika i zatrzasnęła go. – Gdzie tu jest jakaś kawiarnia?

– Nie wiem. Może kogoś zapytamy?

– Same znajdziemy. Chodź.

Ruszyliśmy w drogę powrotną.

– Uważaj! – Alicja nagle krzyknęła i szarpnęła mnie za rękaw. Gdyby nie jej refleks, przejeżdżające małe jasne auto zrobiłoby z moich stóp dwa placki.

– Wariat! Kto to widział tak szybko wyjeżdżać z parkingu?! – Ala pogroziła kierowcy pięścią.

Kawiarnię znalazłyśmy tuż za rogiem. Zamówiłyśmy po kawie i dużych lodach. Skoro już miałam ukrywającą zbędne kilogramy kieckę, to spałaszowałam je bez wyrzutów sumienia i jeszcze zamówiłam szarlotkę na ciepło. Tymczasem moja siostra umierała z ciekawości i nie dała mi dokończyć deseru.

– No, Natalia. Teraz opowiadaj.

Podczas gdy my robiłyśmy zakupy, Rafał zajmował się chłopcami. To znaczy drzemał w hamaku, a oni ganiłi po podwórku. Tak je rozryli, że wyglądało, jakby grasowało po nim stado dzików. Kury, nieprzyzwyczajone do tego, aby je płoszyć i rzucać w nie kamieniami, rozpierzchnęły się po okolicy i pochowały w krzakach.

Ciotka najbardziej bała się o los swego jedyne go koguta, Leona. Był jej ulubieńcem, wieloletnim przyjacielem i niekwestionowanym liderem kurnika. Ze łzami w oczach opowiedziała mi kiedyś, jak wychowała go niemal od jaja, zimą dogrzewała w kuchni, własnoręcznie wykopywała robale i pod dziób podstawiała. Leon docenił to i zachował w swej koguciej pamięci. Był na każde zawołanie ciotki, a podwórza pilnował lepiej niż niejeden pies. Z tego też powodu ciotka nie kryła swojej irytacji. Stała zaniepokojona na progu i nerwowo obserwowała poczynania braci.

Leon początkowo ukrył się na najwyższej gałęzi rosnącego obok bzu, ale przecież nie mógł tam siedzieć w nieskończoność, podczas gdy jego podopieczne z głośnym gdakaniem musiały porzucać wysiadywane jaja i salwować się ucieczką. Bohatersko opuścił schronienie i wkroczył do kurnika, gdzie buszowali chłopcy. Po chwili wybiegł stamtąd z głośnym jazgotem, a po jego dorodnym ogonie pozostało wspomnienie.

– Rany boskie! – załamała ręce ciotka. – Półdiablęta nieokrzesane! Leona oskubali, drób straszą i pewnie przez to że dwa miesiące złamanego jaja nie zobaczę! – Dobrze, że już jesteście – odetchnęła na nasz widok – bo Rafał tak się w tym hamaku rozsmakował, że gotów w nim do zimy leżeć.

– O, jesteście – zza domu wyłonił się rozczochrany szwagier. – Macie coś dobrego? – Z zainteresowaniem spojrzął na nasze torby.

– Mamy. Ale najpierw zajmij się dziećmi. Umyj i przebierz, bo za pół godziny będzie kolacja. Nie zapomnij też i sobie wyszorować rąk – pouczyła go Ala.

Rafał gwizdnął sennie.

– No, dzieciaki, koniec zabawy. Zaraz kolacja!

Robercik i Grześ, wystrojeni w amatorsko zrobione pióropusze, z impetem godnym najdzikszych Indian wybiegli z kurnika.

– Mama! – Rzucili się na Alicję. – Jest super! Będziemy tu częściej przyjeżdżać?

– Uchowaj Boże! – mruknęła ciotka na tyle głośno, aby wszyscy to usłyszeli. – Co innego jedna stara panna, a co innego dwa półdiablęta. – I głośniej dodała: – Niech Natalia pośpieszy się z tą kolacją, bo ksiądz czeka.

– Ksiądz?

– Przecież pojutrze jest chrzest. Kowalowa tu była i powiedziała, że o osiemnastej ksiądz was wyspowiada, a potem pokaże co i jak. Na plebanii będzie czekać.

Nie miałam zbyt dużo czasu, więc przegryzłam kawałek suchego chleba, ochlapałam się trochę z kurzu i poszłam.

Do zapadnięcia zmroku było jeszcze daleko, ale w powietrzu wyczuwało się już chłód sierpniowej nocy. Wioska powoli się wyciszała i szykowała do odpoczynku. Gdy mijałam dom Kowalów, z ciekawością zerknęłam na podwórko. Stało tam już kilka białych baldachimów, pod którymi miało zmieścić się pół wsi z okładem.

Plebania znajdowała się tuż obok kościoła w świeżo odnowionym domu. Dach był nowiutki, czerwony i tak jaskrawy, że od patrzenia aż oczy bolały. W oknach ustawiono skrzynki z niebieskimi i białymi lobeliami, a podwórko lśniło czystością. Zadzwoiłam do drzwi. Otworzyła farbowana blondynka w średnim wieku.

– Pani na naukę, tak? Pan Igor już przyszedł.

Skinęłam głową. Stwierdziłam, że blondyna była atrakcyjna i seksowna. Miała krótką, młodzieżową fryzurę, dyskretny makijaż i ubrana była w obcisłe dzinsy oraz bluzkę w kolorowe wzory geometryczne.

– Jestem gospodynią księdza Jerzego. Irena – wyciągnęła dłoń ozdobioną tipsami.

– Natalia – uścisnęłam ją energicznie.

– Pozwolę sobie zaproponować, abyśmy przeszły na ty.

– Dobrze.

Irena naprawdę sprawiała sympatyczne wrażenie.

– Zapraszam do środka – powiedziała.

Zrobiła miejsce, abym mogła przejść. W środku było pięknie. Nie, pięknie nie było odpowiednim słowem, bardziej pasowało – wykwintnie. Gospodarski dryg Ireny można było ocenić już po wyglądzie korytarza.

Niby nic szczególnego, żadnych kosztownych ozdób, minimalistycznie i skromnie, ale elegancko i przyjemnie. Na ścianie wisiały tylko dwa małe, zrobione z polnych kwiatów obrazki, a w kącie stała zgrabna komódka z wazonem. Mroczne wnętrze rozjaśniało dyskretne światło. Zachwycona otoczeniem dopiero po chwili wyczułam, że wokół roznoszą się słodkie zapachy. Z przyjemnością wciągnęłam je przez nos.

– To ciasto. Piekę na chrzciny dla Kowalów. W obliczu takiego nieszczęścia chcemy z księdzem Jerzym jakoś ich wspomóc, bo kto w takiej chwili miałby siłę placki piec? A żeby Kowalowa nie czuła się zażenowana tą pomocą, ma to potraktować jako prezent dla małego Hireczka.

Na końcu języka miałam uwagę, że oprócz Kowalowej nie znam osoby, która w obliczu takiego nieszczęścia w ogóle urządzałyby chrzciny.

– Chodźmy do salonu.

Był po lewej. Jego dwa okna wychodziły na podwórze oraz wejście do kościoła. W fotelach, zatopieni w rozmowie, siedzieli Igor i ksiądz Jerzy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków. Skoro pani już jest, to przejdźmy do kościoła. – Ksiądz sięgnął po pęk kluczy. – Wspowiadam was, a potem tu wrócimy i porozmawiamy.

Igor spojrzał na mnie, a w jego oczach na chwilę pojawił się błysk zainteresowania.

– Inaczej wyglądasz.

– Nowa fryzura. – Odruchowo poprawiłam włosy.

– Tak. I jaki ładny kolor.

– Dzięki – uśmiechnęłam się z zakłopotaniem, bo przecież wiedziałam, że Igor kochał się w Beacie.

Gdy przechodziliśmy przez korytarz, rzuciłam okiem w stronę kuchni. Irena ze słuchawkami na uszach zaciekle mieszała coś mikserem, a w powietrzu coraz intensywniej rozchodziły się niebiańskie zapachy.

Do kościoła było kilka kroków.

– Dobrze jest mieć pracę tak blisko. – Ksiądz mrugnął łobuzersko i wyjął wielki klucz. Powiercił nim w zamku, chwycił za klamkę i szarpnął. – Zawsze mam kłopoty z tymi drzwiami.

Były ogromne, solidne i stare. On natomiast był drobny i nic dziwnego, że mógł mieć problemy z ich otwarciem.

– Pomogę. – Igor rzucił się do pomocy.

Po chwili ustąpiły z donośnym skrzypieniem.

– Proszę.

Ale ksiądz nie wchodził. Zapatrzył się w idącą drogą postać kulejącego mężczyzny.

– Zaraz wracam.

Energicznie ruszył ku przybyszowi. Przystanęli i mężczyzna zaczął coś mówić, żywo przy tym gestykulując. Ksiądz podrapał się po łysinie, w zamyśleniu kilkakrotnie potarł brodę i sięgnął pod habit, skąd wyciągnął ciemny przedmiot, który wyglądał jak portfel. Coś z niego wyjął, przeliczył i podał rozmówcy.

– Czy to nie jest Krzywy Marian? – zapytałam Igora.

– Tak. Pewnie nie miał czego z lasu wynieść i wybrał się do księdza na żebry.

Nie mylił się.

– I co ja mam z nim począć? – Ksiądz Jerzy wrócił do nas i weszliśmy do kościoła. – Jeśli ja, sługa boży, go nie wspomogę, to kto inny to zrobi?

Przecież muszę świecić przykładem – dokończył szeptem i usadowił się w konfesjonale.

Chrzcziny nie były huczne. One były bardzo huczne. W sumie rozstawiono pięć baldachimów – na podwórzu trzy, a za stodołą kolejne dwa, a mimo to goście i tak z trudem się pod nimi zmieścili. Orkiestra rezydowała na naprędcie skleconym, drewnianym podium i dawała z siebie wszystko, do czasu gdy na skutek spożytych procentów nie była już w stanie grać. Na tańce za bardzo nie było miejsca, więc robiono to gdzie popadnie, wpadając na siebie nawzajem.

Siedziałam na honorowym miejscu, po mojej lewej stronie Igor, a po prawej ciotka Kazia. Wystroiła się z całym pietyzmem damy starej daty, przypieczętowując elegancki strój nienaganną fryzurą, tym razem upiękkszöną fioletową płukanką. Tzvetana Kowalowa posadziła przy środkowym stole i widać było, że nie jest z tego powodu szczęśliwy. Wcale mu się nie dziwiłam, bo jedyną osobą, która znała jego język, był Igor, a on przecież musiał siedzieć obok mnie. Igor specjalnie na tę okazję wyjął z ucha kolczyk i włożył garnitur, przez co wyglądał bardzo wytwornie. Chyba stanowiliśmy ładną parę, bo Alucha dyskretnie pokazała mi uniesiony kciuk, czego oczywiście udałam, że nie widzę. Poza tym kilka razy wydawało mi się, że niektóre z osób, patrząc w naszą stronę, mówiły coś do Kowalowej, po czym czegoś jej gratulowały.

Kowalowa, spocona i przejęta rolą, biegała to tu, to tam, pilnując, aby nikomu niczego nie brakowało. Mały Hirek początkowo leżał grzecznie, ale w pewnym momencie tak głośno zaprotestował, że nawet orkiestra nie była w stanie go zagłuszyć. Gospodyni więc czym prędzej kazała Milenie zabrać go do domu, aby nie psuł imprezy.

Wszyscy wydawali się zadowoleni, tylko Robercik i Grześ nudzili się jak mopsy. Mała Asia nie chciała się z nimi bawić, bo przerażona hałasem oraz liczbą ludzi kurczowo trzymała się Beaty. Widząc znudzone miny moich siostrzeńców, Kowalowa pozwoliła im bawić się w pandzie. Początkowo udawali, że prowadzą, trąbili, zapalali i gasili światła, aż w końcu przerzucili się na Burka i okiełznali go za pomocą zabranych z półmisków kiełbas i szynki.

– Proszę pani, czy możemy go spuścić z łańcucha? – Robercik zatrzepotał do Kowalowej długimi rzęsami.

– Oj nie, chłopcy. To jest ostry pies, nie chcę, aby kogoś ugryzł.

– On już wcale nie jest ostry – odezwał się Grześ i wskazał paluszkami na łaszącego się do jego nóg psa.

– Zabierzemy go ze sobą do auta. Będziemy udawać, że jedziemy – dodał Robercik.

– Pani Kowalowa! Tu piwa brakuje! – odezwał się ktoś z końca podwórka.

– A róbcie, co chcecie! Tylko go za ogon nie łapcie. – I popędziła po piwo.

Burek błyskawicznie został spuszczone z łańcucha i zamknięty w pandzie. Chłopcy nawrzucali mu tam trochę jedzenia, postraszyli, po czym przenieśli się do stodoły, zapominając o więźniu.

Im dalej w noc, tym bardziej rozkręcała się zabawa. Pod baldachimami rozwieszono kolorowe lampiony, a Kowalowa przebrała się w wieczorową suknię. Potrawy także stały się bardziej wyszukane. Pospolite nóżki w galarecie, sałatki czy półmiski z wysychającymi wędlinami zastąpiły dania wizualnie atrakcyjniejsze, ponieważ postarano się, aby każde z nich było oświetlone. Prosię? Oczywiście płonące. Lody? Także. Szaszłyki również, a i z tortem postąpiono podobnie. Aby osiągnąć jeszcze lepszy

efekt, wszystkie te potrawy wniesiono jednocześnie, więc ogrzanego prosiaka można było zagryzać do wyboru: lodami lub tortem. Co do ciast, które upiekła Irena, trzeba przyznać, były wyśmienite. Ich wykonawczynie siedziały oczywiście po prawicy księdza Jerzego.

Wszyscy bawili się świetnie, lecz ja i Igor siedzieliśmy jak na stypie. Nikt nie prosił mnie do tańca, bo wszyscy wiedzieli, że moim partnerem jest kum, a on sam nie przejawiał mną żadnego zainteresowania. Milczeliśmy jakiś czas. W końcu, po którymś z kolei toaście zagałam:

– Źle się czujesz?

– Ależ skąd. Dlaczego pytasz?

– Nie odzywasz się, nie bawisz.

– Męczy mnie to, że wuj i Waldek ledwo zipią, a tu takie harce.

– Nie przesadzaj, przecież stan Hieronima z dnia na dzień jest coraz lepszy.

– Tak, ale Waldek ma się gorzej.

Nagle ktoś z płasających za mną gości z impetem na mnie natarł, przez co niemal położyłam się Igorowi na kolanach.

– Co ty wyprawiasz?! Na drugi raz uważaj, bo ci przywalę! – Igor wstał i pogroził gościowi pięścią. Widząc to, Tzvetan zerwał się na równe nogi, jakby chciał przybiec Igorowi z pomocą. Ten uspokoił go gestem dłoni i usiadł z powrotem, zostawiając tym razem między nami jedno miejsce wolne.

– To o czym rozmawialiśmy? – Przygładził marynarkę. – O chrzcinach...

– Igorek, śliczny chłopczyku – odezwał się ktoś za nami – coś ty taki nerwowy? Napij się, to ci przejdzie!

To był ów roztańczony jegomość. Zdążył uciec przed złością Igora i powrócić do niego z butelką wódki oraz kumplem, który trzymał w ręce

kieliszek. Obaj byli po pięćdziesiątce, łysiejący, ryżawi i krępi. Gdyby nie duża różnica we wzroście, mogliby uchodzić za bliźniaków. Wydawało mi się, że gdzieś już ich widziałam.

Igor obejrzał się i zmarszczył brwi.

– Nie będę z wami pić – oznajmił kategorycznie.

– To się zaraz okaże.

Kumpel płasającego błyskawicznie przytrzymał Igora za głowę, a ten zaczął precyzyjnie oraz nadzwyczaj szybko odmierzać kolejne kieliszki i wlewać mu w gardło. Widząc to, ksiądz Jerzy zerwał się z miejsca i nie mogąc, z racji tłoku, przybiec z odsieczą, pomachał tylko pięścią i krzyknął:

– Zostawcie mi go zaraz, wy łajdaki zafajdane!

– Księżulek niech lepiej na tyłku siedzi i gębę w talerzu trzymie, bo jak nie, to i do ojczulka z butelczyną przybędziemy!

Zarechotali radośnie i włali Igorowi jeszcze dwa kieliszki. Myślałam, że może Tzvetan przybiegnie na pomoc, ale na nieszczęście prowadził z Beatą coś na kształt rozmowy, więc nie zauważył błyskawicznej akcji rudzielców.

– I co, śliczny chłopczyku? Mówiłeś, że z nami nie wypijesz, a jak pięknie łykałeś?! – rzucił niższy i klepnął swego kompana w plecy, po czym zaśmiewając się radośnie, zniknęli w tłumie, a Igor otarł serwetką spocone czoło.

– No to zaraz będę pijany – czknął.

– Znasz ich?

– Z widzenia... To ci grzybiarze – znów czknął i zmienił się na twarzy.

– Chodź, trochę się przejdziemy. To ci powinno dobrze zrobić.

Wzięłam go energicznie pod ramię i zaczęłam przedzierać się przez gości. Nagle zatrzymało nas jakieś zamieszanie przy pandzie. Ktoś sobie

wreszcie przypomniał o uwięzionym w niej Burku i wypuścił psinę na wolność. Zwierzak z radością wyskoczył na zewnątrz, dzierżąc w pysku jakiś przedmiot. Kowalowa schyliła się, aby mu go odebrać.

– Rany boskie! Toż to zaginiony nóż Hieronima! – wykrzyknęła ze zdumieniem.

Na te słowa z domu wybiegła Milena. W ręce trzymała telefon i ryczała wniebogłosy:

– Waldek nie żyje!

– Ten nóż to dowód rzeczowy – rozsądnie zauważył stojący w pobliżu ksiądz Jerzy. – Kowalowo, wrzucie go tu – nadstawił znaleziony woreczek – żeby więcej odcisków nie robić.

– Waldek nie żyje... – zbieleńcami z przejęcia ustami wyszeptała Kowalowa. – Jakie to szczęście...

– Co proszę?! – Ksiądz Jerzy wytrzeszczył oczy.

– ...że zdążyliśmy wyprawić chrzciny! – zaśmiała się nerwowo.

– Kto ostatni jeździł tym autem? – zapytał ksiądz Jerzy, aby odwrócić uwagę od oszalałej Kowalowej.

– Igor... – odparła Kowalowa i chichot zastygł na jej twarzy.

Ciotce zdarzenia z chrzcin na zdrowie nie wyszły. Przez całą drogę powrotną milczała zasepiona i ciężko wzdychała. Zawsze żwawa i energiczna, teraz wlokła się noga za nogą. Gdy pytałam ją, czy się źle czuje, w odpowiedzi tylko z rezygnacją machała ręką. Gdy wreszcie dotarliśmy na podwórze, goście już spali. Po cichu, aby ich nie budzić, weszliśmy do kuchni.

– To straszne... nóż w aucie naszego Igora! – Przysiadła na taborecie i poluzowała żabot przy bluzce.

– I co z tego? Przecież nie tylko ja widziałam, że Kowal miał go w ręce. Na pewno są tam jego odciski.

– Podaj mi trochę wody – westchnęła. – Tylko jak on się znalazł w samochodzie Igora? Na moje oko będzie z tego niezły pasztet.

– Oby nie – podałam ciotce kubek z wodą.

– Zobaczysz, że policja wszystko zrzuci na tego biedaka.

– Igora?! A na jakiej podstawie? Przecież on nie byłby zdolny nawet muchy skrzywdzić.

– To wszystko wygląda bardzo paskudnie. Zobaczysz, zobaczysz... – rytmicznie kiwała głową.

– Co ciocia za bzdury wygaduje! – Usiadłam naprzeciw niej.

– A mieliśmy taki piękny plan...

– Że nas zeswatacie – powiedziałam, bo przecież od dawna o tym wiedziałam.

Skinęła głową.

– Tak. Teraz mieliście zostać chrzestnymi, a za trzy, góra sześć miesięcy małżeństwem. I tylko mi nie mów, że ci się Igorek nie podoba! Rzadko który mężczyzna ma taki tyłek. Sama widziałam, jak się w niego wgapiałaś.

– Hm... – Słowa ciotki zbiły mnie z tropu – Tak... racja, świetny tyłek... to znaczy chciałam powiedzieć, że to straszne, ja też nie wierzę w jego winę – powtórzyłam i oblałam się rumieńcem niczym pensjonarka.

– Podaj mi jeszcze wody. – Ciotka rozpięła kilka kolejnych guzików w swojej bluzce. Była bardzo blada. – Igor, taka świetna partia... Wsadzą go za kratki i zmarnują biedaka!

Dolałam ciotce. Wypiła duszkiem. Posiedziała chwilę w milczeniu i raptem otworzyła usta, jakby chciała nabrać powietrza, po czym machnęła nogami przed moim nosem i padła zemdlna.

– Alka, Rafał! Pomocy! – krzyknęłam w głąb domu i przypadłam do ciotki. Sprawdziłam puls – ledwo wyczuwalny, posłuchałam serca: trochę tykało, ale na akcję usta – usta się nie odważyłam, bo przypomniałam sobie sztuczną szczękę moczącą się wieczorami w szklance. Chwyciłam za komórkę i zadzwoniłam po pogotowie.

W dniu pogrzebu Waldka pogoda akurat się popsowała, chmury zasnuły niebo i raz po raz siąpił deszcz. W kaplicy była tylko najbliższa rodzina i dwie żądne wieści sąsiadki, które jednak na cmentarz już nie poszły, bo zbyt się rozpadało. Ciotki oczywiście nie było, bo leżała w szpitalu i ostatnią rzeczą, na którą mógł jej pozwolić lekarz, była przepustka na pogrzeb. Kowal wprawdzie był już w domu (wyszedł ze szpitala na własne żądanie kilka dni po tym, jak trafiła tam ciotka), jednak na pogrzeb się nie pokwapił, bo stwierdził, że jako rekonwalescent po deszczu chodzić nie będzie.

Dobrze, że Ala z Rafałem jeszcze nie wyjechali, bo robili sztuczny tłok. Obawiałam się tylko o to, jak na moich siostrzeńcach odbije się udział w tej smutnej ceremonii. Ale chłopcy na szczęście nie zwracali uwagi na trupa i świetnie się bawili, a my im tego nie broniliśmy.

Gdy grabarze kończyli zasypywać grób, przyszła Beata z Tzvetanem. Spojrzałam na nich i pomyślałam, że stanowili ładną parę. O niebo ładniejszą niż duet Beaty z Igorem. I musiałam przyznać, że jakkolwiek Tzvetan wyglądał na nieco przybitego i zagubionego, to w przeciwieństwie do niego Beata była nawet, o zgrozo, radosna! Biedny Igor.

Westchnęłam tak głośno, że aż Milena spojrzała na mnie spłakаныmi oczami. Pewnie pomyślała, że to z powodu przedwczesnej i gwałtownej śmierci jej męża. Nic bardziej mylnego. Martwiłam się o Igora, bo wsadzono go do aresztu. Zgodnie z przewidywaniami ciotki znalezienie noża w aucie, którym jeździł feralnej nocy, spowodowało nieoczekiwany zwrot w śledztwie. Przyczyniły się też do tego badania narzędzia zbrodni: były tam jego odciski! To znaczy nie tylko jego, ale również Kowala, który w końcu dzierżył go, lecąc za Władkiem i Beatą, oraz Kowalowej, która

zabrała go z pyska Burka. Kowalową oczyszczono z zarzutów, bo miała mocne alibi, a głównym podejrzanym został Igor. Na jego niekorzyść przemawiały także obrazy, które namalował: wszędzie Beata! Dla policji to był motyw nie do podważenia: do tej potwornej zbrodni pchnęła go zazdrość. Igor upierał się, że noża używał jedynie w domu ciotki, gdzie kroił ogórka, i nic a nic złego nikomu nim nie zrobił. To rozwścieczony Kowal wyrwał mu go z ręki i w zapamiętałym szale popędził za zięciem i piękną sąsiadką. Policja zgodziła się z nim, że Kowal, owszem, może i wyrwał mu ten nóż, a potem pobiegł za Waldkiem i Beatą. Jednak zgodnie z ich teorią potem było tak: Beata poszła do domu, a Kowal i Waldek (nie wiedzieć czemu) skręcili do lasu. Za nimi pojechał Igor. Zastał ich na polanie, zabrał Kowalowi nóż (wykręcił mu rękę, przyłożył w łeb, a może zrobił to w odwrotnej kolejności), po czym rzucił się na Waldka i z pasją godną zazdrośnika zaciukał trzydziestoma dwoma dźgnięciami. W szale wskoczył do auta i schował tam narzędzie zbrodni. Jak wskazały oględziny, umieścił je pod siedzeniem. Nie mógł jednak przypuszczać, że wytropi je tam Burek. Oczywiście ponownie zostaliśmy przesłuchani. Nikt niczego nowego do sprawy nie wniósł, a dla mnie było to szczególną męczarnią, bo ciągle kontrolowałam się, aby nie powiedzieć jednego słowa za dużo. Czegoś, co mogłoby naprowadzić policję na Januszka. I chyba podczas tego drugiego przesłuchania zrobiłam z siebie... No, w każdym razie najlepiej nie wypadłam...

– Pani Natalio...

Miałam przed sobą tego samego policjanta, który przesłuchiwał mnie za pierwszym razem. Był to nieco otyły, przysadzisty i łysiejący sierżant Mroczek.

– Z pewnością wie już pani, czemu zawdzięcza nasze kolejne spotkanie?

– Tak. Został znaleziony nóż, którym zabito Waldka.

– Przypomina sobie pani coś nowego? Coś, o czym może zapomniała pani powiedzieć nam poprzednim razem? Czasem z pozoru niewinne zdarzenia, osoby lub, bo ja wiem... – szukał odpowiedniego słowa – powiedzmy skojarzenia mogą odegrać istotną rolę w śledztwie.

– Niczego sobie nie przypominam.

Mroczek zamyślił się na chwilę.

– Na pewno? Nigdy pani nikogo obcego w Strzelbach nie widziała?

Pot spływał mi po plecach, a myśli kłębiły się w głowie niczym gniazdo zmij. Wiedziałam, że siedzący przede mną facet to stary wyga, który zjadł zęby na przesłuchaniach. Nie mogłam dać się sprowokować, musiałam pamiętać, że moim priorytetem była ochrona Januszka. Oblizawałam spierzchnięte wargi, zerknęłam za okno, na Mrocza i znów oblizawałam wargi.

– I jak? – ponaglił mnie. – Coś pani przyszło do głowy?

Rany boskie! – pomyślałam. – Muszę coś powiedzieć! On na to czeka! Cokolwiek!

– Wie pan co? Ciotka opowiadała mi o pewnej legendzie...

– Legendzie? – Mroczek uniósł brwi. – Sądzi pani, że ona może mieć związek ze sprawą?

– Być może – rzuciłam tajemniczo.

– No to niech pani mówi, w końcu mamy czas.

– W czasie wojny na bagnach utopiło się dwoje kochanków. Jakiś Niemiec i Polka.

– Na tych bagnach w Starych Strzelbach? – zdziwił się. – Nigdy o tym nie słyszałem. Tragiczna historia, doprawdy. I to ma mieć związek z tym, co się tam ostatnio wydarzyło?

– To jeszcze nie koniec. Otóż matka tej Polki była szeptuchą.

– Kim?

– Taką czarownicą na lokalne potrzeby. I tu tkwi sedno sprawy, bo ta szeptucha miała złe oko.

– Złe oko... – szepnął Mroczek i wytrzeszczył na mnie wzrok.

– Pewnego dnia czarownica zmarła, a złe oko, aby położyć kres kosmicznemu łajdaczeniu, potoczyło się do lasu, zapędziło oboje na bagna, no i dwa trupy gotowe!

– Złe oko sobie wyszło i zapędziło dwoje dorosłych ludzi w kozi róg, czyli na bagna. – Mroczek ze zrozumieniem pokiwał głową. – I to wszystko pani ciocia powiedziała, tak?

– Tak, ale to jeszcze nie koniec – znów oblizałam wargi.

– Jeszcze nie koniec?!

– Tak. – Ekspresja, z jaką zadał mi pytanie, wcale mnie nie zraziła. – Bo widzi pan, ciocia ma pewną teorię i ja też zaczynam się ku niej skłaniać.

– A cóż to takiego? – Mroczek zacisnął szczęki, chwycił ołówek i postukał nim o blat biurka.

– Otóż to oko jest przeczulone na punkcie wszelkich występków przeciw prawu. – Uniosłam w górę palec i powiedziałam z naciskiem: – Prawu boskiemu również! Ciotka mówiła, że jak mieszkańcy wsi nie będą żyć zgodnie z bożymi przykazaniami, to złe oko może się wściec i zacząć mordować.

– Taaak... Oko... Mordować... – Mroczek przestał stukać ołówkiem.

– W zasadzie to nie ono samo, bo przecież byłoby to fizycznie niemożliwe, ale swoją mocą mogłoby kogoś do morderstwa skłonić. Może więc ten, kto napadł na Kowala i Waldka, był opętany przez oko? – zakończyłam z nadzieją, że zaraz mi przytaknie.

– Wie pani co?

– Tak?

– Niech już pani stąd idzie i porządnie odpocznie. Wyspać się, telewizję pooglądać, pospacerować. Oczywiście nie po lesie ani po bagnach, żeby sobie ciotczynych opowieści nie przypominać. My tu wszyscy wiemy, że pani robi doktorat... – uśmiechnął się szyderczo – taki... hm... dość nietypowy, więc trzeba od niego odpocząć, mózg przewietrzyć, bo widzę, że nie za dobrze z panią.

Wstał, podszedł do drzwi i je otworzył. Gest był tak czytelny, że sierżant nie musiał już nic mówić.

Ciotkę zabrano do tego samego szpitala, w którym wcześniej leżał Kowal i świętej pamięci Waldek. Był to stary budynek umiejscowiony w samym sercu Lwówka Śląskiego. Tu i ówdzie odpadała z niego farba, a okna błagały o wymianę. Jednak sale, niedawno wyremontowane i komfortowo wyposażone, lśniły czystością.

Ze względu na to, że sprawy tak się skomplikowały, Ala i Rafał przedłużyli swój pobyt w Strzelbach. Bardzo się z tego cieszyłam, bo sama w starym domu nie czułabym się dobrze.

Tego dnia do ciotki pojechałam sama, bo siostra wolała się poopalać, a Rafał wybrał się z synami na spacer do lasu.

– Jeszcze stąd nie wyjeżdżamy – powiedział. – Na pewno zdążymy ją odwiedzić. A teraz, kiedy jest taka piękna pogoda, rozsądniej jest skorzystać ze świeżego powietrza. Za trzy godziny po ciebie przyjedziemy. A teraz biegnij na autobus. – Założył mały plecak, chwycił za rączki Robercika i Grzesia i tyle ich widziałam.

– No, to ja też już znikam. – Alucha w stroju bikini i ze szklanką zimnej coli w ręce powędrowała za dom.

Spojrzałam za nią tęsknym wzrokiem i popychana powinnością pojechałam do szpitala.

– Co się tam u was dzieje, w tych Strzelbach? – takimi słowami przywitał mnie lekarz, który prowadził przypadek ciotki. Jak się później dowiedziałam, ordynator. – Jak żyję, nigdy nie zdarzyło się, aby w ciągu jednego roku, ba, jednego miesiąca, trafiły stamtąd do nas trzy osoby. I do tego wszystkiego jeszcze morderstwo – ze zgrozą przewrócił oczami. – Pani ciocia mówiła, że winny jest już w areszcie?

– Niby tak – odpowiedziałam i zaczęłam oklepywać poduszkę, na której leżała ciotka, aż ta obudziła się i spojrzała na mnie nieprzytomnie.

– Niech pani zostawi ciocię w spokoju – zwrócił mi uwagę. – Przeszła dzisiaj wiele badań i jest zmęczona.

– Zostań – stęknęła nagle ciotka i mocno przytrzymała moją rękę.

Lekarz dyskretnie wycofał się na korytarz.

– Oczywiście. Poczekam tu na Alicję i Rafała.

– Nie o tym mówię – nieudolnie starała się podnieść na łóżku. – Zostań, proszę, jeszcze w Strzelbach i opiekuj się Leonem do czasu, aż wyjdę ze szpitala.

Jej prośba popsowała mi szyki. Ala i Rafał też w końcu kiedyś musieli wrócić do domu, a ja dojrzałam do myśli, aby jechać z nimi. Po aresztowaniu Igora nic już mnie tu nie trzymało. Ciotką opiekować się mogli sąsiedzi, a na ewentualne przesłuchania w związku z morderstwem zawsze mogłam dojechać autobusem.

– Ostatnio wydawało mi się, że lis ma na niego ochotę – ciągnęła, a ja pomogłam jej usiąść. – Rosół możesz sobie ugotować z każdej innej kury, ale o Leonka dbaj. Jest jedyny w swoim rodzaju.

Zmęczyła się i wzięła głębszy oddech.

– Ależ ciociu, ja też mam swoje obowiązki... – Nie patrzyłam jej w oczy.

Tak naprawdę owe obowiązki nie były aż tak pilne, abym musiała od razu się nimi zająć. Nawet szczególnie nie ciągnęło mnie do Janusza. Ja się po prostu zaczynałam bać. W winę Igora oczywiście nadal nie wierzyłam. Według mnie był zbyt pocziwy, aby kogoś trzydzieści dwa razy ugodzić nożem, nawet jeśli był to Waldek. Ale jeśli nie on zabił Waldka, to kto? Sprawa wydawała się śmierdząca, a Stare Strzelby przestały mi się już jawić jako sielskie, anielskie miejsce, gdzie można było spokojnie spędzić wakacje. Morderca mógł zaiść się wszędzie, a ja nie chciałam wejść mu w drogę.

– Zostaniesz? – Ciotka błagalnie patrzyła mi w oczy.

– Nie ma ciocia zaufanych sąsiadów? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Najbliższa mi jest Kowalowa, ale teraz i ona ma swoje problemy.

– Ale ja się będę bała sama mieszkać w cioci domu – rzuciłam koronny argument.

– Poproszę, abyś mogła mieszkać u Kowalów.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Kowal wrócił do domu, poza tym panuje tam żałoba po aresztowanym Igorze i martwym Waldku. Nie chcę im przeszkadzać.

– Tak, rzeczywiście. – Ciotka zaczęła tak intensywnie myśleć, że na blade do tej pory lica wystąpiły rumieńce. – Wiem, do kogo możesz iść! – plasnęła się dłonią w czoło. – Do księdza Jerzego! Na pewno przyjmie cię pod swój dach. Będiesz tam mieć ciszę i spokój do pisania pracy i wystarczy, że będziesz pilnować godzin otwarcia i zamknięcia kurnika oraz pory sypania ziarna. No i o wodzie dla kurek nie zapominaj.

– A księdza Jerzego nie może ciocia poprosić, aby kurnika pilnował? – nie dawałam za wygraną.

– Księdza?! Aby pilnował kurnika?! – spojrzała na mnie z takim oburzeniem, że od razu zamilkłam. – A poza tym, moja droga, jadłaś i spałaś u mnie za darmo, więc nie bądź niewdzięczna i mi nie odmawiaj!

– Ale jak to sobie ciocia wyobraża? Że u obcych ludzi, tak jak u cioci, będę mieszkać i objadać ich przez czas bliżej nieokreślony? – Przypomniało mi się, jak świetnie gotowała, i zrobiło mi się markotno.

– Tak. Właśnie tak to sobie wyobrażam!

Byłam pokonana. Co za życie! Trzeba było posłuchać Janusza, odmówić tego chrztu i wracać z nim do Wrocławia. Ale ja oczywiście byłam mądrzejsza i teraz miałam za swoje: w perspektywie pilnowanie koguta, jego kur i mieszkanie kątem u księdza.

– Jesteś pewna, że chcesz tu zostać? – Rafał nie krył troski o mnie.

Wyszliśmy ze szpitala, zostawiając za sobą zapach lizolu i ciotkę zadowoloną, że kogut Leon pod jej nieobecność będzie miał opiekunkę. Ale to, że opiekunka zaczynała coraz bardziej się bać, już ciotki nie obchodziło.

– Czy ja powiedziałam, że chcę? Ciotka tak mnie prosiła, abym zaopiekowała się tym jej wodzem kurnika, że nie mogłam odmówić. Choćby z tego względu, że tak długo żyłam na jej koszt.

– Głupia jesteś, że się kogutem przejmujesz. W trzy sekundy załatwię go siekierą, a ciotce powiesz, że to sprawka lisa, i bez wyrzutów sumienia wrócisz z nami do domu.

– Ale ciotka pewnie będzie chciała zobaczyć jego ciało. I myślisz, że uwierzy, że lis tak świetnie siekierą łby odcina?

– Przestańcie, chłopcy słuchają – fuknęła Alucha.

– Niech słuchają i się uczą, że w życiu należy być twardym. – Rafał wyprężył pierś i mrugnął do synów.

– Alucha, co z nią zrobimy?

– Nie wiem. Najlepsza partia, jaka mogła się jej trafić, siedzi za kratkami i w zasadzie nadal nie wiadomo, co tak naprawdę wtedy zaszło. Szkoda, żeby tu została. Dziwne jest to wszystko. Boję się.

– Halo, halo! – Pomachałam im przed oczami. – Ja tu jestem! Co się naradzacie na mój temat, jakby mnie przy tym nie było?!

– Naradzamy się, bo jeśli sama nie potrafisz nic mądrego zrobić ze swoim życiem, to życzliwi ci ludzie muszą się tym zająć – wyjaśnił szwagier.

– Tak? A co niby masz mi do zarzucenia, no co?

Rafał spojrział na Alę, a ona na niego.

– Myślisz, że nic nie wiemy i niczego nie widzimy? Te dziwne rozmowy przez telefon, malinki na szyi, nagłe wieczorne wyjścia... – wyliczała jednym tchem moja siostra, a w oczach Rafała pojawiły się złe błyski. Przerwał jej i powiedział:

– Tak. Wiemy, że masz romans z tym starym lowelasem. Już w czasach, kiedy studiowałem, lubił się zabawiać ze studentkami, ale myślałem, że na starość mu przejdzie. A tu masz babo placek – w najgorszych snach nie podejrzewałem, że poderwie moją szwagierkę. I teraz nie wiem, czy lepiej dla ciebie, abyś wróciła z nami do domu i była z dala od tej brudnej sprawy, czy też lepiej, abyś została tu i pilnowała cholernego koguta, ale jednocześnie trzymała się z dala od niezaspokojonych chuci pseudonaukowca?

– Niech zostanie z kogutem – zawyrokowała Ala. – W końcu ma mieszkać u księdza, nic złego nie może jej tam grozić.

– Dobrze, niech zostanie – zgodził się po krótkim namyśle Rafał.

– Serdecznie wam dziękuję! – prychnęłam.

Za karę nie odzywałam się do nich aż do Strzelb. Na miejscu w milczeniu zjedliśmy kolację, pomogłam im zapakować rzeczy do auta, kurtuazyjnie pomachałam na pożegnanie i zostałam sama.

– Biedne niebożątko – powiedział na mój widok ksiądz Jerzy. Stał w progu kościoła i zamykał jego podwoje, gdy z niewielką torbą wkroczyłam na podwórze. Ponieważ naiwnie sądziłam, że mój pobyt u niego będzie krótki, zapakowałam tylko laptop, najpotrzebniejsze książki oraz trochę ubrań. Zawsze przecież mogłam wrócić do domu ciotki i donieść resztę rzeczy.

– Dzięki temu, że pani ciocia odpowiednio wcześniej zadzwoniła, Irenka zdążyła już przygotować pokój i upichcić coś dobrego na kolację. Proszę do środka.

Wewnątrz znów pachniało domowymi wypiekami.

– Irenko, jest już nasz gość!

W drzwiach kuchni pojawiła się Irena.

– Witaj. Na razie połóż torbę tutaj, w korytarzu. Po kolacji pokażę ci twój pokój – powiedziała.

– Proszę do jadalni. – Ksiądz Jerzy puścił mnie przodem.

Jadalnia, jak na mój gust, była zbyt duża. Plusem było to, że przez tarasowe drzwi wchodziło się wprost do małego, ale idealnie wypielęgnowanego ogródka.

Na samym środku pomieszczenia stał masywny, chyba dębowy stół, przykryty obrusem w kolorze ecru. Elegancka zastawa też była utrzymana w tej tonacji. Irena uwijała się jak w ukropie i co jakiś czas zerkała na wiszący na ścianie zegar. Szybko podała pieczonego kurczaka, dwie sałatki, własnoręcznie pieczony chleb oraz paterę z pokrojonym makowcem. Wszystko pachniało wyśmienicie, ale nie dopisywał mi ani apetyt, ani szczególna chęć do rozmowy.

– Irenko, idź już. Ja posprzątam po kolacji i zaprowadzę panią Natalię do pokoju.

– Dziękuję. Cześć – rzuciła w moim kierunku i znikła w korytarzu. Po chwili zobaczyłam, jak z pakunkiem w ręce szybkim krokiem przemierza podwórze.

– Dobre z niej dziecko. Dziś wieczorem ma wychodne. Musi się trochę rozerwać, bo przecież pracuje u mnie niemal całą dobę. Ale przejdźmy do konkretów. Proponuję zacząć od kurczaka, póki jest gorący.

Poskubałam trochę nałożone udko, dziubnęłam jedną z sałatek i spróbowałam makowca.

– Nie smakuje pani – stwierdził.

– Ależ skąd. Nie mam apetytu.

– To zrozumiałe, gdy bliską osobę zmoże choroba.

Co do tego, czy ciotka była mi bliska, nie miałam pewności, ale nie chciałam teraz wdawać się w dyskusje na ten temat. Pokiwałam głową i łyknęłam herbatę.

– Jeśli, dziecko, nie chcesz już jeść, to chodź, pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać.

Ksiądz Jerzy wziął z korytarza moją torbę, jęknął pod jej ciężarem, i ruszył wąskimi schodami na górę. Na piętrze były dwa pokoje i łazienka. Jeden z nich był sypialnią i tam miałam nocować, a drugi, umeblowany jak typowe biuro, służył, jak wyjaśnił ksiądz, do pracy w papierkach.

– Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie. Szkoda tylko, że okna wychodzą na podwórze, a nie na las, ale za to za chwilę będziesz mogła obejrzeć tu wspaniały zachód słońca.

Uśmiechnął się i cicho zamknął za sobą drzwi. W pokoju było przytulnie i pachniało lawendą. Musiałam przyznać, że było o wiele przyjemniej niż u ciotki. Postanowiłam się rozpakować. W pierwszej

kolejności wyjęłam z torby to, co najcenniejsze, czyli laptop. Położyłam go na środku stolika, aby co dzień rzucał mi się w oczy i przypominał, że przede wszystkim mam na nim pracować, a nie przenosić się z miejsca na miejsce. Książki, które ze sobą zabrałam, rozłożyłam na półce obok literatury zgromadzonej przez księdza. Potem wyjęłam z torby koszulę nocną i ręcznik, po czym kopnęłam ją pod łóżko. Szybko dokonałam wieczornej toalety i wygodnie usadowiłam się w fotelu.

Ksiądz i Irena naprawdę bardzo się postarali: do dyspozycji miałam radio oraz telewizor wraz z leżącym na stoliku aktualnym programem telewizyjnym. Poza tym w zasięgu ręki była kobieca prasa, ciastka, czekolady oraz napoje: soki, woda mineralna, a nawet piwo. Bezalkoholowe oczywiście, bo czego innego można było się spodziewać pod księżowskim dachem? Sięgnęłam po butelkę i otworzyłam ją zębami. Dolna jedyńka zabolęła jak diabli.

Przyjrzałam się butelce. No tak, kapsel można było odkręcić. Z mocnym postanowieniem napisania wreszcie czegoś sensownego włączyłam laptop i ruszyłam z kopyta. Przez kolejne godziny zagłębiałam się w tajemnice wahań stężeń wapnia, magnezu, sodu, chlorków, siarczanów oraz żelaza. Przy cynku pod powiekami poczułam piasek. I tak miałam niezłe tempo, bo do opisania zostały mi jeszcze tylko mangan, miedź oraz bor. Oczywiście w podłożu, bo w dalszej części pracy czekała mnie przeprawa z tymi samymi makro- i mikroskładnikami, jednak ich wahania dotyczyły części wskaźnikowych, czyli liści. Z poczuciem wykonania kawałka dobrej roboty wyłączyłam komputer.

Przeciągnęłam się, wyciągnęłam nogi i otworzyłam czekoladę. Zjadłam kostkę, potem kolejną i tak dalej, aż w ręce został mi papier. Oparłam głowę o zagłówek fotela. Obudził mnie szelest przygniatanego opakowania. Panującą w pokoju ciemność rozpraszało wpadające przez okno światło

księżycyca. Była pełnia. Już miałam przenieść się do łóżka, gdy usłyszałam ujadanie psa. Ksiądz psa nie miał, więc głos musiał nieść się ze wsi. Zważywszy na hałas, z pewnością był to pies z najbliższego sąsiedztwa.

Podeszłam do okna. Podwórze było skąpane w zimnym blasku. Wszystko wyglądało dziwnie, niesamowicie i nierealnie. Kościół, który za dnia sprawiał wrażenie swojskiego i bezpiecznego, teraz wydawał się obcy i nieprzyjazny. Pies nadal szczeakał jak oszalały. Nagle zza murka wyłoniły się dwie postacie, które wkroczyły na podwórze. Wyższa lekko kulała i pchała taczkę, na której leżał duży, ciemny kształt. Gdy podeszli pod moje okna, w niższej postaci rozpoznałam Irenę! Tą wyższą był mężczyzna. Przykleiłam nos do szyby – Krzywy Maniek! Irena poszperała w kieszeni i otworzyła znajdującą się obok drzwi wejściowych komórkę. Maniek zdjął worek z taczki i zaniósł do pomieszczenia.

Było na tyle jasno, że zobaczyłam leżącą na tacyce strzelbę. Ciarki przebiegły mi po plecach. Krzywy Maniek sięgnął po broń, przerzucił przez ramię, szeptem zamienił kilka słów z Ireną i ruszył w drogę powrotną. Znów rozszczeakał się pies. Usłyszałam, jak ktoś na dole przekręca w zamku klucz. To musiała być Irena. Skrzypnęły drzwi. Jednym susem wskoczyłam do łóżka. Nie przypuszczałam, aby chciała sprawdzać, czy śpię, ale na wszelki wypadek wolałam udawać, że tak właśnie jest.

Cóż za fatalna okolica. Morderstwo i jeszcze do tego podejrzanе konszachty gospodyni księdza. Kłębiące się w głowie myśli nie dawały mi spać. Nie miałam już siły, aby ponownie zasiąść do pisania pracy, więc liczyłam barany. Gdy to nie pomogło, z dziesięć razy zmieniałam pozycję: a to z głową w kierunku drzwi, a to z głową w kierunku okna. Nic. Ponownie zajęłam się liczeniem baranów. Po przekroczeniu setki zaczęłam się gubić w obliczeniach i zauważyłam, że raz po raz zza baraniego stada wychylają się wilcze łby. Postanowiłam przeliczyć także wilki, ale nic

z tego nie wyszło. Nie jestem pewna, czy się nie dały, czy za wcześnie usnęłam.

Obudził mnie zapach smażonego mięsa. Kimkolwiek by była i cokolwiek by robiła, jedno było pewne: Irena była świetną gospodynią. Nie tracąc czasu na mycie, wskoczyłam w to, co akurat miałam pod ręką, przeczesalam szybko włosy i podążyłam za kuszącym zapachem.

W kuchni cicho grało radio, a Irena, przyodziana w kwiecisty fartuszek, nuciła coś pod nosem i drewnianą łyżką mieszała w dużym garnku. Stałam w progu i przyglądałam się jej spod oka. Nie było po niej widać żadnej nocnej aktywności. Radośnie podrygiwała w rytm muzyki, była elegancko uczesana i umalowana. Żadnych cieni pod oczami, worów czy rozpaczliwego ziewania. Nic.

– Cześć!

– Ojej! – Irena podskoczyła, aż łyżka wypadła jej z dłoni.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.

– To nic. Nie możesz spać?

– Na górze tak pachniało, że nie mogłam.

Uśmiechnęła się.

– Robię bigos. Z dziczyzny. Do jedzenia będzie dobry najwcześniej wieczorem, bo wszystkie składniki muszą się przegryźć.

Mina mi zrzęda.

– Zrobię ci śniadanie. Siadaj. Jajecznica czy jaja gotowane? A jeśli gotowane, to na miękko czy twardo?

– Właściwie nie jestem głodna – przełknęłam ślinę i rzuciłam tęskne spojrzenie w kierunku garnka, w którym rodził się bigos.

– Doskonale cię rozumiem. Mimo tak wczesnej pory dzień jest nieznośnie duszny. Mnie też nie chce się jeść. Ale za to popijam sobie kawę. Może napijesz się ze mną? Ksiądz Jerzy zainwestował w nowoczesny ekspres. Polecam – uśmiechnęła się i sięgnęła po filiżankę.

– Dziękuję – odpowiedziałam. – Chętnie się napiję, ale dopiero jak wrócę. Muszę iść do ciotki, wypuścić kury i sprawdzić, czy Leon jest cały i zdrowy.

– Leon? Jej ulubiony kogut?

– Znasz go?

– Ze słyszenia. Za każdym razem gdy twoja ciocia tu wpada, zawsze o nim mówi. Tak, dbaj o niego, bo gdyby mu się coś stało, nie wiem, jak by to przeżyła. I czy w ogóle by przeżyła.

– Jasne. Niedługo wrócę.

– Świetnie. Może jak się przejdiesz, to ci wróci apetyt – uśmiechnęła się.

– Uhu... – mruknęłam pod nosem i wyszłam przed dom.

Rzeczywiście było nieznośnie gorąco, ale wyjątkowo nie zwracałam na ten fakt uwagi, bo przez całą drogę intensywnie myślałam. Po pierwsze: co w nocy kombinowała Irena? Po drugie: czy o tym, cokolwiek to było, wiedział ksiądz Jerzy? Od tego myślenia zaczęła boleć mnie głowa. Jak bardzo brakowało mi kogoś bliskiego. Mojego kochanego, mądrego Janusza! Zrobiło mi się smutno. Przystanąłam. Namacałam w kieszeni komórkę. Zbyt długo czekałam już na jego telefon. Nie wiedziałam, co się u niego dzieje, i jako współwinna jego cudzołożenia, czułam, że mam pełne prawo do wiedzy na temat jego zdrowia i życia. A niech się świat wali. Zdecydowanie wybrałam jego numer. Dzwoniłam w pełni świadoma, że może być w tej chwili w szpitalu przy żonie i na przykład trzymać ją za rękę. Ale co tam. Puści, aby odebrać mój telefon.

– Tak? – przywitał mnie ospale. – Że ty o tej porze już nie śpisz... – dodał, ziewając.

– A która godzina? – zastanowiłam się, bo tak szybko zleciałam na dół za zapachem bigosu, że nawet na zegar nie spojrzałam.

– Oszalałaś? – warknął.

– Dlaczego miałabym oszaleć? O godzinę cię pytam, to mi odpowiedz!

– Dzwonisz do mnie tylko po to, żeby o godzinę zapytać?!

– Tak. To znaczy nie!

– To po co dzwonisz?

W tle usłyszałam jakieś podejrzane dźwięki.

– Jesteś w szpitalu? – zapytałam konspiracyjnym szeptem.

– Jakim szpitalu?

– Czy ty mi odpowiesz na jakiegokolwiek moje pytanie?! To która w końcu jest godzina?

– Pięć po szóstej! – I się rozłączył.

Pięć po szóstej... Pomasowałam pulsującą skroń. Janusz chyba jednak nie był w szpitalu, bo był zbyt zaspany. Tak, na pewno siedział przy żonie do późna w nocy i odsypiał. Ale ze mnie gapa, że go obudziłam! Zawstydzona schowałam telefon do kieszeni i ruszyłam pod górę.

Dom ciotki był blisko. Już widziałam dach i okna. Szybkim krokiem skierowałam się do kurnika, wyjęłam skobel i otworzyłam drzwi. Stłoczona przy progu kurza brać nie czekała nawet, aż otworzę okienko, tylko od razu jęła przepychać się i przeciskać między moimi kolanami i wybiegła na podwórze. Na gniazdach siedziało kilka kur. Nasypałam do korytka ziarna i nalałam wody. Gdy miałam wychodzić, trąciłam głową coś, co zwisało z sufitu, a czego wcześniej nie zauważyłam. Spojrzałam i zamarłam.

– Rany boskie! Leon się powiesił! – wrzasnęłam z całych sił i odskoczyłam od dyndającego truchła. Aby się uspokoić, wzięłam kilka głębokich oddechów. Pomogło.

Podeszłam bliżej. Wisiał ze smętnie zwieszonym łebkiem, a z otwartego dzióbka wystawał sztywny język. Zrobiło mi się go żal. Cóż takiego musiało się wydarzyć, że targnął się na swe nędzne drobiowe życie? – pomyślałam ze współczuciem. – Zaraz! Ale ze mnie idiotka! Przecież kogut nie mógł sam się powiesić! Nawet gdyby nie wiadomo jak bardzo pragnął dokonać aktu samounicestwienia, to akurat w ten sposób na pewno by mu się to nie udało. Więc ktoś tu był i go zamordował!

A może... – przeżegnałam się pośpiesznie – ktoś odprawił na nim rytuał wudu?! Szybko wyskoczyłam z kurnika i już miałam dzwonić na policję, gdy od strony łąki usłyszałam nadjeżdżający samochód. To była zielona furgonetka. Musiała wyjechać z lasu i pruć teraz przez pole wprost na ciotczyne podwórze. Stałam jej na drodze i rozpaczliwie zamachałam rękoma. Zatrzymała się z piskiem opon. Pasażer opuścił szybę.

– Czego?!

– Niech mi panowie pomogą!

Pasażer nie dał mi skończyć, tylko rzucił do kierowcy:

– Durniu! A mówiłeś, że tu nikogo nie będzie!

Nie wiedziałam, o co chodzi, ale nie to było dla mnie najważniejsze.

– Panowie! Tam, w kurniku, powiesił się Leon!

Mężczyzna skrzywił się i zmierzył mnie przenikliwymi, zielonymi oczami, po czym zmarszczył ryzawe brwi.

– Jaki Leon, kurwa? – Pasażer wydawał się dużo bardziej nerwowy niż kierowca.

– Oj, kogut mojej ciotki! Jak pan się boi ze mną tam wejść, to proszę chociaż poczekać na policję. Będą panowie świadkami. – Bałam się, żebym

to ja nie została oskarżona o zamordowanie Leona.

– Policję?! Świadcami?! – Ryżego tak zatrzęsło, że nie wyszedł, a wypadł z furgonetki.

– Ja ci dam policję! – Wyrwał mi z ręki komórkę, na której chciałam nieudolnie wystukać numer. Trzepnął ją w trawę, a mnie złapał za gardło.

– Policji ci się zachciewa?! Jak ci przypierdolę... – Zamierzył się na mnie pięścią, ale kierowca był szybszy. Złapał go za dłoń.

– Bardzo panią przepraszamy, ale brat tak ma z przepracowania. Wracamy właśnie z tego... z nocki... – Też był ryżawy i krępy jak jego brat. Wydawali mi się dziwnie znajomi.

– I to jakiej nocki! A ona nam tu z policją wyjeżdża!

– Ale kogut... ciocia... – jąkałam się, czując, jak do oczu napływają mi łzy.

– Radź sobie pani sama – rzucił kierowca, wepchnął rzucającego się brata do kabiny i z piskiem opon ruszył w kierunku szosy.

Zostałam sama na środku podwórka. Łzy, które napłynęły mi do oczu podczas rozmowy z rudymi, leciały już teraz ciurkiem po twarzy. Miałam serdecznie dość tych Starych Strzelb i atrakcji, które mi zapewniały. Po tym, co tu się do tej pory wydarzyło, wszystko zaczynało układać się w logiczną całość – złe oko zostało rozwścieczone i pokazało wszystkim, jaką ma moc! Bo kto przy zdrowych zmysłach wiesza Bogu ducha winnego koguta? Tylko ktoś opętany przez złe moce. Na przykład pochodzące z oka. Westchnęłam i zaczęłam szukać komórki.

Musiałam ją odnaleźć i wreszcie powiadomić policję. Trawa była dość wysoka i nie wiem, jak długo przyszloby mi w niej myszkować, gdyby ktoś do mnie nie zadzwonił. Usłyszałam dźwięk, wyświetlacz mrugnął kilka razy i błyskawicznie namierzyłam rupiecia. To był Janusz.

– Nacia, nie gniewasz się chyba, że byłem taki niemily, co?

- Nie – odpowiedziałam bez przekonania.
- A ty co tak szepczesz?
- Nie szepczę... – Otarłam łzy, pociągając przy tym nosem. Oczywiście drugą czynność usłyszał Janusz.
- Masz katar?
- Nie. – Powstrzymałam się, aby nie rozchlipać się na całego.
- To dlaczego tak siąkasz? I w ogóle, odnoszę wrażenie, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Jeśli ci przeszkadzam, to powiedz, a się rozłączę – jego ton powoli stawał się obrażony. Nie miałam już na to siły, puściły mi nerwy i rozryczałam się do słuchawki.
- Czemu płaczesz?! Nie mogłem z tobą wcześniej mówić, bo wybiłaś mnie ze snu. Tu nie ma o co płakać! – tłumaczył się nad podziw gęsto.
- Nie o to mi chodzi.
- A o co? – Momentalnie się uspokoił.
- Ktoś powiesił ciotczyngo koguta, Leona... – Zastanawiałam się, czy nie wtajemniczyć go w teorię o złym oku, ale zrezygnowałam z obawy przed wyśmianiem.
- Po co?
- Skąd mogę wiedzieć?! Debil i przygłup to był jakiś i tyle!
- Tylko nie debil ani przygłup!
- Bo co?
- Po pierwsze: jak ty się wyrażasz, a po drugie: jeśli nie znasz czyjegoś motywu, to nie oceniaj!
- Kogut był niewinny, więc to musiał być przygłup i debil w jednym! – upierałam się. – I jeszcze coś. Było tu jakichś dwóch rudzielców...
- Rudzielców? Co to za jedni? – zainteresował się Janusz i wreszcie porzucił wątek przezwisk.

– Żebym to ja wiedziała – siąknęłam nosem. – Ale zaraz! – Myśl jasna niczym błyskawica oświeciła mój umysł. – Oni chyba byli na chrzcinach małego Kowala! Tak! Już sobie przypominałam! To na pewno oni! I nawet zrobili tam Igorowi taki dziwny numer...

– Igorowi? Temu, co to rzekomo kocha się w Beacie? – przerwał mi bezceremonialnie.

– Tak. On jest ojcem chrzestnym małego Hirka.

– Aha.

– I wiesz co? Siedzi teraz w areszcie.

– Za co?

– Och, Janusz, tu się tyle dzieje, a ty o niczym nie masz pojęcia! Waldek umarł, a w aucie, tej pandzie, znaleziono nóż z odciskami palców Igora. On wtedy, w nocy, szukał po lasach Kowala i Waldka. Ja w jego winę nie wierzę, ale dla policji to jasne, że Waldka zamordował. Jest oskarżony o morderstwo!

– To dobrze, że morderca się znalazł. Będziesz czuła się bezpieczniej.

– Ale ja nie wierzę w jego winę. Nikt nie wierzy.

– Policja, Nacia, na mordercach zna się lepiej niż ty i ta cała wioska razem wzięta. Zaufaj im i śpij spokojnie. A co z tymi rudymi?

– Jechali furgonetką przez podwórze ciotki. Jacyś dziwni byli, agresywni, jeden chciał mnie nawet uderzyć!

– Uderzyć?! – Janusz zasapał z wściekłością. – Bo to pewnie oni zabili tego koguta!

– Chyba nie, bo przyjechali, gdy już tam byłam, ale nie chcieli mi pomóc.

– Mówisz, że byli rudzi?

– Tak.

– Tacy niskawi i krępi?

– Skąd wiesz?

– Chyba ich widziałem, jak mieszkałem w Kopytkowie.

– Janusz, racja! – Kolejna złota myśl poraziła mój umysł. – Przecież ja ich też tam widziałam! Wtedy kiedy szukałam dla ciebie pokoju! Kręcili się przy szopie Maślanów!

– Dzwoniłaś na policję? – przerwał mi.

– Jeszcze nie.

– To dzwoń, na co czekasz?!

Z policją nie poszło tak łatwo, jak się spodziewałam.

– Policja we Lwówku Śląskim. Słucham.

– Chciałam zgłosić powieszenie koguta.

Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki nikt się nie odzywał.

– Halo... – powiedziałam niepewnie.

– Może pani powtórzyć? – wreszcie ktoś odzyskał głos.

– Mówię, że zgłaszam powieszenie koguta! W kurniku w Starych Strzelbach!

– Proszę podać swoje dane.

Wyrecytowałam wszystko, czego chcieli.

– To ja przełączę panią do sierżanta Mroczka.

– Dzień dobry, pani Natalio – odezwał się po chwili. – Czemu zawdzięczam telefon od pani?

Wzięłam głęboki oddech, bo znudziło mi się ciągle powtarzanie tego samego.

– Zgłaszam powieszenie koguta! Leona na dodatek! Może ktoś tu wreszcie przyjedzie, co?!

– Ach! – Mroczek ni to westchnął, ni krzyknął. – Mówi pani koguta?

– Tak!

– Kto powiesił?

– Nie wiem! Nie widziałam! Najpierw myślałam, że sam to zrobił, ale w końcu to byłoby niemożliwe! Ktoś tu był, założył mu pętlę na małą, chudą szyjkę i bestialsko powiesił! Ja się boję, rozumie pan?!

– I nic więcej pani tam nie zauważyła? Żadnego oka czy kogoś wyglądającego jak mgła, kto by gadał po niemiecku? – zaśmiał się złośliwie.

– Niech się pan nie śmieje! Wiem dobrze, do czego pan pije! Ale Leon naprawdę wisi w tym kurniku!

– Spokojnie. Widzi pani... na wsi, ba, na całym świecie, żyją sobie różni ludzie. Niektórzy są dobrzy, inni źli. I ten cały Leon miał pecha, bo trafił na kogoś z drugiej kategorii. Ten ktoś pewnie chciał ugotować z niego rosół, i aby to zrobić, musiał go pozbawić życia. A że nie miał w pobliżu siekiery, postanowił go powiesić. Złodziej miał jednak pecha, bo pani się nagle pojawiła, więc uciekł, gdzie pieprz rośnie, zostawiając ze strachu kogucika. I w ten oto sposób nie on robi sobie rosół, ale pani. Oto i całe wyjaśnienie – westchnął przesadnie.

– Nie!

– Jak to nie?! – warknął. – Właśnie, że tak!

– Nie! Bo kurnik był zamknięty od zewnątrz na skobel! A on jest bardzo gruby i ciężko się go wsadza, więc gdyby ktoś uciekał, nie zdążyłby go dobrze zamknąć! Pan się śmieje z tutejszej legendy, ale ja mam na tego koguta swoją teorię. Otóż moim zdaniem nikt go nie zabił dla rosołu, tylko dla wudu!

– Mówi pani o tym afroamerykańskim obrzędzie czarnej magii? I zamiast poderżnąć mu gardziel, to go powiesili?! Czy pani oszalała?! A radziłem pani odpocząć! Co za uparta dziewczucha!

– Niech pan nie zmienia tematu! – dyszałam do słuchawki. – Świat się zmienia i wudu nie dość, że krąży po świecie, to również ewoluuje! I dlatego zamiast babrać się we krwi, sprawca powiesił swoją ofiarę!

Przez chwilę Mroczek siedział cicho. W końcu rzekł:

– No i mamy niby do pani przyjechać, tak?

– A pewnie!

– To niech pani czeka! – I trzasnął słuchawką.

Muszę przyznać, że przyjechali stosunkowo szybko. Mroczek miał obrażoną minę i mało się do mnie odzywał. Gdy oglądał kurnik, poszłam za nim i opowiedziałam jeszcze o rudzielcach. Na koniec zrobili kilka zdjęć trupowi Leona oraz sznurowi, na którym został powieszony. Bądź powiesił się sam. Cholera wiedziała, co się w tym kurniku wydarzyło. Korzystając z obecności policji, spakowałam resztę rzeczy i na dobre postanowiłam przenieść się do księdza. Po tym, co zaszło, już nigdy sama nie chciałam wchodzić do tego domu.

– To mówi pani, że przez podwórze przejechała zielona furgonetka? – Sierżant Mroczek podrapał się za uchem.

– Tak.

– Niczego więcej pani nie widziała? Czegoś nie słyszała? Złe oczko, duszek? – zapytał ponownie i uśmiechnął się półgębkiem, a stojący obok drugi policjant głośno zarechotał.

Moją twarz oblała purpura.

– Mówiłam już, że niczego takiego nie widziałam! – burknęłam nieuprzejmie.

– Hm... – Mroczek udał, że się nad czymś zastanawia. – A kto kierował tą furgonetką?

– Rudy mężczyzna! – Byłam naprawdę wściekła.

– Ci rudzi na pewno byli ludźmi? Skoro jechali z bagien, to kto wie? Może zombie jakies czy coś gorszego? – Klepnął kumpla w ramię, a ten znów się wyszczerzył w głupim uśmiechu, ale widząc moją minę, umilkł.

Wściekłość, która ze mnie kipiała, nagle gdzieś się ulotniła i po prostu zebrało mi się na płacz.

– No dobrze, już dobrze. – Mroczek chyba zauważył, że przesadził. – To były tylko takie małe żarty na rozluźnienie napiętej atmosfery.

Odetchnęłam z ulgą.

– Niech nam pani powie jeszcze o tych rudych.

– Nie chcieli mi pomóc.

– Jak to nie chcieli pomóc?

– Powiedziałam, żeby chwilę zaczekali, aż zadzwonię na policję, bo nie chciałam być tu sama, a wtedy jeden z nich na mnie się zamachnął.

– Uderzył panią?

– Nie, ten drugi go powstrzymał.

– Może ich pani skądś kojarzy? Gdzieś już widziała?

– Tak. Na chrzcinach u Kowalów.

Ani słowem nie wspomniałam, że widziałam ich też w Kopytkowie. Mroczek zaraz zacząłby drażnić, po co tam chodziłam, czego szukałam i jeszcze nieopatrznie bym zdradziła, że byłam tam, aby wynająć pokój dla kochanka.

Sierżant podumał jeszcze chwilę. Popatrzył na dom, kurnik i las.

– Stamtąd przyjechali? – wskazał ręką w kierunku bagien.

– Tak.

Podrapał się jeszcze raz za uchem, po czym powiedział:

– To by było tyle na dziś. Aha, czy długo jeszcze zabawi pani w Strzelbach?

– Wszystko zależy od zdrowia cioci. Ale na razie zanosí się, że tak.

– Pytałem tylko na wypadek, gdyby musiała pani złożyć dodatkowe wyjaśnienia. – Otworzył drzwi auta. – Dokąd panią podwieźć? – Spojrzał

wymownie na mój bagaż.

– Na plebanię.

– Sierżancie, a co z kogutem? – odezwał się drugi z policjantów, na oko młodszy o kilka lat od sierżanta Mrocza. Trzymał trupa za nędzny ogon, a z szyi zwisał mu kawałek sznura. – Wywalić na śmietnik czy zakopać?

– Oszalałeś? Przecież to świeżo powieszony drób. Na rosół jak znalazł. Niech pani go weźmie – odebrał Leona od kolegi i wcisnął mi go w ręce. – Po tym, co pani przeszła, należy się pani dobry rosół. A teraz do auta! My tu gadu-gadu, a przestępcy hulają! – zakrzyknął gromko, wielki brzuch wcisnął za kierownicę, zatrąbił na guzdrzącego się kolegę i wreszcie ruszyliśmy.

Nim się obejrzałam, już byliśmy na plebanii.

– Gdyby coś się pani przypomniało, to proszę o kontakt – pouczył mnie sierżant Mroczek.

– Dobrze.

Machnął mi na pożegnanie dłonią, odjechał kawałek, po czym zatrzymał się i wychynął z auta.

– Aha, a już na pewno niech pani nie zwleka i wali do mnie jak w dym, gdy zobaczy jakieś zabłąkane oko!

Mrugnął, zarechotał i ruszył, wzniecając przy tym tumany kurzu.

– Policja panią przywiozła? – W drzwiach kościoła stanął ksiądz Jerzy. Musiał zakończyć poranne obrządki i zaczął ryglować drzwi. – Stało się coś?

– Tak. Ktoś powiesił Leona. – Zademonstrowałam mu zimnego trupa.

– Niemożliwe, niemożliwe... – zafrasował się, a duża zmarszczka przecięła jego czoło. – Co się dzieje w tych naszych Strzelbach? Jak żyję, takie okropności się tu nie zdarzały. Chyba jakiś zły duch się u nas zagnieżdził. – Przeżegnał się. – Jeszcze dziś wieczorem odprawię mszę za moich biednych parafian.

– A co z nim? – Rzuciłam Leona na ziemię i z odrazą szturchnęłam butem. – Zakopimy czy rzucimy psom?

– Bój się Boga, dziewczyno! – Ksiądz schylił się pośpiesznie i podniósł truchło. – Kto to widział wyrzucać na śmietnik ulubionego koguta mojej najgorliwszej parafianki? A poza tym byłoby to marnotrawstwo, a na to wiadomo, że Pan Bóg krzywo patrzy. Taki zdrowy drób na śmietnik wyrzucać? – pokręcił głową z dezaprobatą. – Każę Irencę rosół zrobić.

– Ksiądz chyba żartuje.

– Ależ skąd. Przecież ktoś go tylko powiesił, a nie otrął, więc nie zaszkodzi. Niech tylko Natalia nie mówi o tym cioci. Jak wyjdzie nieboga ze szpitala, wtedy powiemy, że lis go porwał albo coś innego wymyślimy. Gdyby dowiedziała się, że ksiądz zjadł rosół z jej pupila, to gotowa jeszcze parafię zbojkotować, na msze nie chodzić i zaniechać składania daniny parafialnej.

Ksiądz Jerzy wsadził Leona pod pachę i cicho pogwizdując, podążył w kierunku domu.

– Proszę się pośpieszyć – odwrócił się do mnie w progu. – Zaraz będzie śniadanie.

Gdy weszłam do kuchni, ksiądz zdążył już pokrótce opowiedzieć Irenie, co się stało, oraz z nieukrywaną dumą prezentował martwego koguta.

– Świetnie – powiedziała. – Właśnie się zastanawiałam, co ugotować na obiad. Siadaj, zaraz zrobię śniadanie. – Zakrzętnęła się przy szafkach. Bigos dalej pachniał, ale nie robiło to już na mnie wrażenia.

– Dziękuję, nadal nie chce mi się jeść.

– Niemożliwe. Ja po takich przeżyciach byłabym głodna jak wilk. Adrenalina zawsze pobudza mój żołądek.

Spojrzałam na nią zdziwiona. Albo za często ją ta adrenalina w życiu nie zalewała, albo miała błyskawiczną przemianę materii, dzięki czemu jej figura była godna pozazdroszczenia.

– W takim razie jeśli nie chcesz jeść, zajmę się Leonem. – Nastawiła czajnik wody, a truchło wrzuciła do wiadra.

– Irena, może ci pomogę? – Raz po raz łypałam okiem na leżącego trupa. Tak mnie przerażał, że stwierdziłam, że własnoręczne ugotowanie go mogłoby stanowić dla mnie swego rodzaju terapię. Coś na kształt odczyniania czarów lub wbijania osinowego kołka w serce wampira.

Poprzez kulinarny rytuał chciałam rozprawić się z demonami straszącymi w mojej głowie. A że nie umiałam gotować? To przecież nic takiego. W swoim życiu zjadłam wystarczająco dużo rosółów i widziałam, co w nich pływa: jakieś warzywa, kulki pieprzu, no i kura oczywiście, więc na mój gust ugotowanie tej zupy było banalnie proste. Za to jaką wspaniałą mogło być terapią!

– Chciałabyś go oskubać i wypatroszyć? – ucieszyła się. – Mam w ogródku trochę plewienia, więc...

– Nie, nie! – zakrzyknęłam rozpaczliwie. – Mogę ci rosół ugotować. Na przykład – dodałam ciszej.

– Ach, rosół... No dobrze. Zaraz przyszykuję Leona.

– Irena? – Usiadłam przy stole.

– Tak?

– Pamiętasz z chrzcina Hirka takich dwóch rudych typków? Wyglądali jak bliźniaki.

Przerwała pracę i spojrzała na mnie z uwagą.

– Pamiętam, a co?

– Oni dziś przejeżdżali przez podwórze ciotki. Jechali od bagien. Wredne typy, nie chcieli...

– Przestań pleść bzdury! – przerwała mi ostro.

Zamilkłam na chwilę, zaskoczona jej tonem.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Coś ci się pomyliło – uspokoiła się nieco. – To musiał być ktoś inny, bo ci dwaj nie są stąd.

– A skąd?

– Byłaś na chrzcinach, to trzeba było zapytać!

– Irena, nie chciałam cię zdenerwować. Ale jestem pewna, że nic mi się nie pomyliło.

– I co?! Pewnie powiedziałaś też o tym policji?!

– A jasne!

Irena trzasnęła ręką w blat stołu i głośno wypuściła nosem powietrze.

– Na pewno coś ci się pomyliło! – wycedziła przez zęby. – Chcesz kawy? – zmieniła temat, dając mi do zrozumienia, że w kwestii rudych

wszystko już zostało powiedziane.

– Może być.

Poczerwieniała ze złości Irena nalała z dzbanka kawę, z głośnym stukiem postawiła na stole cukiernicę, dzbanuszek z mlekiem, po czym odwróciła się do mnie plecami i zajęła Leonem. Zamyśliłam się. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się zdenerwowała. A poza tym, kto i po co zamordował ulubionego koguta ciotki? Mój przyjazd do Starych Strzelb miał być matrymonialny, a okazał się kryminalny. Najpierw opowieść o złym oku i jego piekielnej mocy, potem Waldek, a teraz kogut. Kto lub co się za tym kryło? Zaraz, zaraz, przecież to szwagier mówił, że łeb by kogutowi uciał! Czyżby złe oko go opętało?! A tfu, na psa urok! Ono wcale nie musiało maczać w tym swego spojrzenia, bo Rafał miał własny motyw. Teoretycznie zdążyłby w nocy przyjechać do Strzelb, powiesić kuraka i wrócić do Wrocławia. Ale czy byłby do tego zdolny? Zawsze taki delikatny, muchy by nie skrzywdził. Nie, on nie mógłby tego zrobić.

– To pijesz tę kawę czy nie? – zapytała mnie Irena, bo wciąż siedziałam nad pełną filiżanką. Ręce miała umazane krwią, w wiadrze leżały pióra, a zapach Leona przyćmił dotychczasowe aromaty.

– Zaraz muszę go opalić, a to śmierdzi. Może idź do siebie, co? Zawołam cię, jak skończę.

Irena w skubaniu i patroszeniu drobiu była naprawdę dobra. Nim zdążyłam się opłukać z kurzu i przebrać, kogut był gotowy.

– To ja zbieram się do ogródka – powiedziała. – Makaronu nie gotuj, ja to zrobię. Włoszczyznę masz w lodówce, a przyprawy – sama widzisz – wskazała ręką na wiszącą półkę, po czym wyszła, trzaskając drzwiami.

Z rosołem oczywiście nie miałam zamiaru się patyczkować. Raz-dwa wynalazłam garnek odpowiedni do gabarytów Leona, nalałam do niego wody i nawrzucałam wszelkie warzywa, jakie znalazłam w lodówce. Po

chwili namysłu wylałam wodę i włączyłam czajnik, aby zagotować nową porcję. Stwierdziłam, że jak zaleję trupa wrzątkiem, to szybciej się ugotuje. Gaz pod garnkiem odkręciłam do oporu i już po chwili pokrywka radośnie podskakiwała. Spojrzałam na zegarek. Na ugotowanie tej zupy dałam sobie pół godziny. Oparłam się o kuchenkę. Miałam rację, patrzeć na gotujące się zwłoki Leona działały na mnie kojąco. Czułam, że im bardziej ścina się białko jego ciała, tym bardziej oddala się moc wudu. Gdy minął założony czas, doprawiłam zupę solą i pieprzem, po czym poszłam zameldować się Irenie.

– Gotowe. W smaku zupełnie niezły. – Ani słowem nie wspomniałam jej o pływających po wierzchu burych szumowinach. Zresztą pewnie jej to nie zdziwi, bo czego można było się spodziewać po rozpieszczanym starym kogucie?

– Już? – Podniosła się z klęczek.

– Chodź, spróbuj. – Byłam niebywale z siebie dumna.

W kuchni ostrożnie podniosła pokrywkę, po czym się skrzywiła.

– Szumowiny są naprawdę obrzydliwe, ale to dlatego, że mięso było stare – wyjaśniłam. – Spróbuj – podałam jej łyżkę.

Odgarnęła mętny kożuch i ze zdziwieniem stwierdziła:

– Jarzynowa? – Potem wzięła do ust łyk i szybko wypluła do zlewu.

– Nie smakuje ci?!

– E... tego... trochę za słona.

– Ojej – zmartwiłam się.

– Spokojnie. Jakoś ją przerobię. A teraz może idź do siebie i zajmij się czymś, na czym się znasz. – Domyśliłam się, że miała na myśli doktorat. – Powiem ci na pocieszenie, że dobrze, że nie gotowałam makaronu, bo jego na pewno bym nie uratowała.

Przez chwilę było mi przykro, bo przecież chciałam jakoś ją odciążyć, ale gdy tylko znalazłam się w moim pokoju, wróciłam myślami do szwagra i sprawy Leona. To trzeba było wyjaśnić.

Wydobyłam z kieszeni telefon i rzuciłam się na niezastłane łóżko.

– Tak? – po kilku sekundach usłyszałam głos Alicji. W oddali wrzeszczeli siostrzeńcy i gromko pokrzykiwał szwagier.

– Alucha, wyobraź sobie, że ktoś powiesił ulubionego koguta ciotki! – powiedziałam bez ogródek, a potem zwięźle opowiedziałam o dwóch rudzielcach, którzy przejeżdżali przez ciotczyne podwórze.

– Kto dzwoni? – w tle dał się słyszeć głos Rafała.

– Natalia – odpowiedziała mu siostra. – Ktoś powiesił ulubionego koguta ciotki.

– Co?! Natychmiast wracaj do domu! – Szwagier musiał wydrzeć Ali słuchawkę, bo tak dobrze go usłyszałam, że aż podskoczyłam. – Nie wiadomo, co się tam dzieje! Koniec tej zabawy!

– A ciotka o tym wie? – wtrąciła się Ala.

– Nie – pisnęłam z cicha.

– To trzeba jej powiedzieć. Natychmiast! – rzucił szwagier.

– Poczekaj – znów Alucha. – Ona nadal leży w szpitalu.

– Tak. Nie ma się zbyt dobrze – dodałam.

W tle usłyszałam przeciągłe westchnienie Rafała.

– Jak się dowie o śmierci koguta, to jeszcze gotowa sama umrzeć.

– To co mam robić? – zapytałam nie wiadomo kogo, bo nie wiedziałam, kto akurat trzymał słuchawkę.

– A bo ja wiem? – mruknął szwagier. – Gdybyś nie zadała się z tym starym lowelasem, toby do tego wszystkiego nie doszło – rzucił z pretensją w głosie i oddał telefon siostrze, bo znów ją usłyszałam:

– Poczekaj, zaraz do ciebie zadzwonimy – rozłączyła się.

Będą się naradzać – pomyślałam i ułożyłam się wygodniej na łóżku. Telefon położyłam na brzuchu i zamknęłam oczy. Zaczęłam przysypiać, gdy zadzwonili.

– I co? – zapytałam z nadzieją, że podtrzymują wersję, abym wracała do domu. I to natychmiast!

– Stwierdziliśmy, że dla dobra ciotki musisz tam jeszcze zostać i udawać, że kogut żyje.

– Zaraz, zaraz! – Znów przypieczętowali mój los. Musiałam się jakoś bronić i postanowiłam wyciągnąć z zanadru historię o złym oku.

– Ja nie mogę tu zostać!

– Możesz czy nie, chcesz czy nie, kogo to obchodzi? – ze stoickim spokojem odparł szwagier.

– W takim razie coś wam jeszcze powiem!

– Cóż to za rewelacje?

Skoro powiedziałam A, to musiałam powiedzieć również B. Wiedziałam, że znów mogę narazić się na wyśmianie (potraktowanie mnie przez Mrocza odbijało mi się czkawką), ale co tam! Może akurat ten argument do nich przemówi?

– Tu grasują złe moce!

– Słucham? – zapytał Rafał, a w tle usłyszałam siostrę:

– Co ona mówi?

– Że ma tam złe noce – wyjaśnił jej.

– Nie noce, a moce! Tu są złe moce! Mieszkają na bagnach, a ich zło uaktywnia się, gdy ktoś zgrzeszy! – wyrzucałam z siebie informacje z prędkością karabinu maszynowego.

– He, he, he! – radośnie zaśmiał się szwagier. – W takim razie lepszego miejsca nie mogłem ci wybrać!

– Ale posłuchajcie...

– Bzdur nie będziemy słuchać! – warknął.

– To tacy jesteście?!

– Jesteśmy, jacy jesteśmy, rodziny się nie wybiera. A tego koguta my odkupimy. Wiesz co, zrób mu komórką kilka zdjęć i nam prześlij. – Jak gdyby nigdy nic zmienił temat.

– Ja mam zrobić mu zdjęcia komórką?

– Tak, ty.

– Zdjęcia... – Przypomniałam sobie, z jakim zaangażowaniem gotowałam z niego mój pierwszy w życiu rosół. No dobrze, jarzynową.

– Przecież go widzieliście i chyba pamiętacie, jak wyglądał – zaoponowałam.

– Tak, ale krótko. Dla mnie każdy kogut jest taki sam, a zdjęcie to zdjęcie. Na jego podstawie kupimy wypisz wymaluj takiego samego zwierza.

– To jest niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo ugotowałam z niego... – zamilkłam na chwilę – zupę.

– Zrób zdjęcie tego, co zostało – odezwał się Rafał.

– Oszalałeś? Garnek zupy mam fotografować?!

– Jakaś ty niemądra! – mruknął. – Chyba jakieś pióra z niego zostały lub coś w tym rodzaju?

– Zaraz – przypomniało mi się – przecież chłopcy mieli pióropusze z jego ogona. Weźcie od nich.

– Tak, mieli... – westchnęła Ala.

– No i?

– Spalili je – znów westchnęła. – Na środku pokoju. Nową wykładzinę szlag trafił. Dobrze, że domu z dymem nie puścili.

– No widzisz, nawet w najgorszym zdarzeniu można znaleźć pozytywne strony – chciałam ją pocieszyć.

– Otóż to. Ale nie przejmuj się. I bez tych zdjęć postaramy się kupić jakiegoś koguta. To znaczy podobnego. Chciałaś nam coś jeszcze opowiedzieć? Pomijam oczywiście kwestię złych mocy, o których jeśli tylko wspomnisz, obiecuję, że się rozłączę – zagroziła Ala. Przypomniałam sobie o nocnej eskapadzie Ireny.

– Tak. W nocy widziałam na podwórzu Irenę, gospodynię księdza.

– I...? – wtrącił się szwagier.

– Była z takim jednym. Mówią na niego Krzywy Maniek.

– A młoda jest? – Rafał znów mi przerwał.

– Tak. Nie pamiętasz jej z chrzcin? Taka atrakcyjna blondyna z krótkimi włosami.

– Aha! Pamiętam. I dziwisz się, że w nocy z facetem łąziła? Przestań już wymyślać, dobrze?

– Nie wymyślam. Oni mieli strzelbę!

– No to co? Słyszałaś kiedyś o seksie sado-maco?

– Sado co? – zainteresowałam się.

– S a d o- m a c o – przeliterował powoli.

– Nie maco, tylko maso – poprawiłam go uprzejmie.

– No widzisz, słyszałaś. To przestań już nas straszyć. Ksiądz to ksiądz, pod dachem gościa tej profesji na pewno nic ci się nie stanie. A jego gospodyni to świecki typ. Grzeszny. Przestań podglądać, z kim po nocy się szwenda, i od razu będzie ci spokojniej na duszy – poradził.

– Tak, Rafał ma rację. Nie możesz teraz ciotki zostawić, a tym bardziej nie możesz tego zrobić, mówiąc jej wcześniej o śmierci Leona. Siedź tam i bądź ostrożna.

– Ale ja jestem ostrożna. Tylko że tu naprawdę dzieje się coś niedobrego.

– Wiemy. Przyjedziemy, gdy kupimy nowego koguta. Potem się zobaczy co dalej. Nara! – powiedział szwagier i się rozłączył.

Chciałam jeszcze trochę pogadać, wybrałam ich numer, ale wyłączyli komórkę. Rodzinka!

Po południu postanowiłam pójść do ciotki.

– Pani Natalia gdzieś się wybiera? – Ksiądz spojrział z ciekawością na moją sukienkę i staranne uczesanie. Stał na podwórzu i oglądał rabatkę, na której rozpanoszył się jakiś szkodnik i zjadł niemal wszystkie liście okazałej bergenii.

– Jadę do cioci.

– Tak, tak, chorych należy odwiedzać. – Pokiwał głową z uznaniem. – A Kowala by pani nie odwiedziła? Ponoć ma się już zupełnie nieźle. Pójdę później zapytać o jego samopoczucie.

– Może tam wpadnę? – To była niezła myśl.

– Z Bogiem! – pomachał mi i zajął się rabatką.

Poszłam na przystanek. Taka byłam od rana rozbita, że zupełnie zapomniałam, kiedy będzie najbliższy autobus. Z częściowo zdrapanego rozkładu jazdy udało mi się odczytać, że dopiero za półtorej godziny.

Masz babo placek – westchnęłam. Wrócić na plebanie i siedzieć w pokoju? Do ciotczynek kur nie zamierzałam zaglądać. A przynajmniej nie w pojedynkę. Postanowiłam, że jak wrócę ze Lwówka, poproszę Irenę, żeby ze mną tam poszła. Pokręciłam się trochę po przystanku, popatrzyłam na opadającą w dół wioskę i lasy. Pięknie. I kto by pomyślał, że w takim miejscu zdarzy się morderstwo? Sprawdziłam godzinę. Minęło zaledwie pięć minut, a ja już umierałam z nudów. Spojrzałam na widoczny w oddali dom Kowalów. W zasadzie mogłam odwiedzić ich już teraz.

Gdy przyszłam do Kowalów, Hieronim siedział w fotelu i zabandażowanymi dłońmi mocno trzymał Hirka. Obaj przysypiali, z tym

że Kowal czujniej, bo bał się, aby małego z rąk nie wypuścić. – Obudź się, stary – szturchnęła go Kowalowa. – Pani Natalia przyszła.

Otworzył oczy i przycisnął do siebie chłopca, aż ten westchnął przez sen.

– Daj mi wreszcie tego dzieciaka, bo go udusisz! – Kowalowa zabrała mu dziecko i położyła do wózka.

– Nieczułe babsko – mruknął. – Gdyby jak ja o śmierć się otarła, toby bardziej ludzka była – przetarł dłonią podrapane czoło. – Podaj coś zimnego do picia, bo gorąco.

Kowalowa zniknęła w drzwiach.

– Niech patrzy, jak ładnie śpi – skinął głową w stronę wózka. – I nawet nie wie, co się wokół dzieje. Zresztą, dobrze, że nie wie. Niech siada.

Stałam nad wózkiem i patrzyłam na zaróżowioną buźkę malca. Na propozycję Kowala posłusznie usiadłam tuż obok niego, na starym tapczanie.

– Jak się pan czuje?

– Trochę mnie we łbie łupie, ale idzie wytrzymać. Dziś rano jeszcze mnie przesłuchiwali i już sam nie wiem, czy głowa mnie boli od wypadku czy od tego maglowania.

– Męczyli go strasznie – wtrąciła Kowalowa. Właśnie wróciła z tacą, na której stał dzbanek kompotu i szklanki. – Ale i tak nie dał sobie wmówić, że tamtej nocy był z nimi Iгореk.

– Bo go nie było! – Kowal aż się uniósł. – Wszystko pamiętam, głupi nie jestem, ale Igora nie widziałem! I jeszcze mi się taki jeden z drugim będzie przemądrzać, że „Panie Kowal, jeśli nie widział pan napastnika, to znaczy, że mógł nim być każdy, czyli pan Igor również”, a ja mu na to, że skoro tak, to tym bandziorem mógł być zarówno Igor, jak i pan! O, tak mu powiedziałem! Dobrze, nie?

– Ale ten nóż w aucie i odciski świadczą przeciw niemu – wtrąciłam.

– Świadczą! Zaraz tam świadczą! Nic nie świadczą! – Kowal nerwowo siorbnął kompot. – W tej sprawie w ogóle nic nie wiadomo. A co powie na to: feralnej nocy lecę za Waldkiem na polanę, patrzę, a to ścierwo wspina się na dąb, sięga do dziupli i coś wyjmuje. Lecę do niego, krzyczę: „Stój, mendo, pogadać musimy!”. On się odwraca i wypuszcza z ręki gruby plik banknotów. Na moje oko dobrych kilka tysięcy musiało tego być. Potem nagle dostaję w łeb i zapadam w ciemność. A teraz dowiaduję się od policji, że na polanie nie było żadnych pieniędzy!

– Pieniądze? – zdziwiłam się. – Jakie pieniądze? Gdy was tam znalazłam, niczego nie było.

– Otóż i to! Bo zabrał je ten, kto walnął mnie w łeb! – pokiwał głową. – I co, pani Natalio? Nic tu nie wiadomo! Co to były za pieniądze, tego się nie dowiemy, bo ścierwo zięć mi umarł. A policja nic, tylko dopytuje się, czy mnie wtedy w łeb Igor nie strzelił. Ktoś do mnie strzelił, i owszem, ale nie wiem, kto to zrobił, bo nikogo nie widziałem! Policja nawet pokój Igora na tę okoliczność przeszukała, ale pieniędzy tam nie znaleźli.

– Tak, pieniądze nie było, ale były te cholerne obrazy – westchnęła Kowalowa.

– Tak, wszyscy wiemy, że to go pogrzyżyło. Wszędzie Beata. Biedny Igor... – westchnęłam.

– Żeby on był jak prawdziwy chłop, co to przy samochodzie coś pokręci albo i nawet raz czy drugi się upije! Ale on artysta! Tylko malowanie głupot mu w głowie, to się doigrał!

– Tak, tak – przytaknął Kowal. – Żal chłopaka, bo dobry był.

– Był? Jest – zaoponowałam.

– Był, był – Kowal smutno pokiwał głową. – To, że jest niewinny, my wiemy, ale kto to wie, jaki on z tego aresztu wróci? Różne rzeczy tam

wyrabiają. Oj, był on dobry, był...

Intensywnie myślałam, czy nie opowiedzieć im o zdarzeniach minionego ranka. Ale stwierdziłam, że lepiej nie. Postanowiłam przekazać tylko wersję przygotowaną dla ciotki – o rudych.

– Dziś rano na podwórku ciotki spotkałam dwóch rudych mężczyzn. Jechali zieloną furgonetką – rzuciłam.

– Dwóch rudych? – Kowal podrapał się za uchem, a że z racji założonego bandażu nie do końca zdołał zaspokoić swoją potrzebę, więc spojrzał wymownie na żonę, a ta zaraz szybko go wyręczyła.

– Tak, rudych. Oni byli też na chrzcinach Hireczka.

– Ech, to pewnie ci kuzyni Waldka. Musieliśmy ich zaprosić, bo on by tego chciał. Gdybym wiedziała, że tak szybko kopnie w kalendarz, na pewno naszej wody by nie chlali. Zawsze uważałam, że im źle ze ślepiów patrzy. Ale co oni tam robili? Przecież mieszkają w Bolesławcu, a to około trzydziestu kilometrów stąd? – zauważyła Kowalowa.

– Kto ich tam wie – machnął ręką Kowal. – Łeb mi zaraz pęknie. Daj mi, kobieto, jakąś tabletkę, bo już wytrzymać nie idzie.

Kowalowa sięgnęła do szafki i wyjęła pudełko pełne leków. Poszperała w nim, znalazła lekarstwo i wraz ze szklanką kompotu podała mężowi.

– To ci się porobiło – mruczał Kowal. – A jeszcze do tego wszystkiego musieliśmy wyprawić ścierwu pogrzeb – zauważył.

– Nie zrzedź. Wolałbyś, aby wieś nas wzięła na języki? Ale przykrywają go już ze dwa metry świętej ziemi i stamtąd na pewno na świat nie wylezie.

– Czas na mnie – wstałam. – Jadę jeszcze w odwiedziny do ciotki.

– Czemu pani tak późno to mówi? – Kowalowa zerwała się jak oparzona. – Zaraz jej kilka słoików do tego szpitala uszykuję. Tak marnie tam karmią, że jeszcze gotowi zagłodzić niebogę.

Szybkim truchtem wyleciała z pokoju. Nim zesłam na dół, na stole czekały już przyniesione z piwnicy kompoty oraz słoiki z mięsem.

– Wszystko pani w koszyk wsadzę, aby się nie pobiło. A pozdrowić mi tam cioteczkę! – Zawołała jeszcze za mną, gdy przekrzywiona na jedną stronę taszczyłam koszyk w kierunku przystanku.

W szpitalu było duszno i cicho. Z dyżurki pielęgniarek dochodził zapach kawy i dźwięk telewizora. Jedna z pacjentek drzemała, druga czytała gazetę, a ciotka siedziała na łóżku i zapatrzona w okno odmawiała różaniec.

– Dzień dobry – zapukałam cicho w uchylone drzwi. Nie czekając na odpowiedź, weszłam do środka i z ulgą postawiłam koszyk na stole.

– Dzień dobry – odpowiedziała czytająca gazetę kobieta, po czym wróciła do przerwanej lektury.

– Ciociu?

– Ach, to ty! – ocknęła się i schowała różaniec pod poduszkę. – Dobrze, że jesteś, bo można tu umrzeć z nudów. Mam nadzieję, że do końca tygodnia mnie wypuszczą, chociaż lekarz coś wspominał o dodatkowych badaniach. Ale ja jestem dobrej myśli.

– Do końca tygodnia?! – jęknęłam. Jeśli do końca tygodnia Ala i Rafał nie kupią nowego koguta, to po mnie. A raczej po ciotce.

– Tak. Nie cieszysz się? Wrócę do domu, a wtedy ty będziesz mogła wrócić do siebie, do Wrocławia. – Wydało mi się, że w tonie głosu ciotki zabrzmiała nutka żalu.

– E... tak, to znaczy nie...

– Więc co? Coś się stało Leonkowi? – Ciotka łypnęła na mnie czujnie.

– Ależ gdzie tam! Ma się świetnie.

– To dobrze, bardzo dobrze.

– Ale wie ciocia co?

– No?

– Ciocia jakoś tak mizernie wygląda.

– Naprawdę?

– Tak, tak. Poradzę cioci z dobrego serca, aby nie naciskała ciocia na lekarza o szybszy wypis. Po co igrzać z losem? Jak już tu ciocia jest, niech wykorzysta sytuację i da sobie zrobić wszystkie możliwe badania. A nuż będzie miała ciocia szczęście i coś znajdą?

– Mówisz, żeby ich wykorzystać?

– Pewnie! Ja w Strzelbach mam się świetnie, wszystkiego pilnuję i tak dalej, a ciocia niech wypoczywa z Bogiem. Amen – wyrwało mi się na zakończenie.

– Może i masz rację... Ale słuchaj – ciotka poprawiła się na łóżku – nie wiesz, jak tam Kowal?

– Ma się zupełnie nieźle. Byłam u nich dzisiaj.

– Pamięta coś z tamtej nocy?

– Wszystko pamięta.

– Tak?! Widział mordercę?! – Ciotka aż się uniosła na łóżku.

– Nie, bo w głowę dostał od tyłu, ale opowiadał o pieniądzach, które trzymał w ręce Waldek.

– Pieniądzech?

– Tak, ponoć Waldek wyjął z dziupli w drzewie kilka tysięcy.

– I gdzie one teraz są?

– Kto to wie? Pewnie zabrał je morderca, bo ja na polanie niczego nie znalazłam. Policja zresztą też.

Ciotka łypnęła na mnie spod oka.

– Nie znalazłaś... – powiedziała przeciągle.

– Ciocia mi nie wierzy?!

– Oj, wierzę, wierzę.

Widać było, że nie wierzyła. Pewnie stwierdziła, że powodem, dla którego po wydarzeniach na polanie tak szybko chciałam wyjechać, były ukradzione trupowi pieniądze.

– Przyniosłam cioci słoiki od Kowalowej – zmieniałam temat.

– Pokaż, co tam masz.

Podawałam jej po kolei zaprawy, a ona oglądała je ze znanstwem w oczach.

– Postaw pod łóżko. A te czereśnie to otwórz od razu, bo mam na nie ochotę. No i co tam jeszcze słyhać?

Przypomniałam sobie o rudzielcach na jej podwórku.

– Zapomniałam cioci jeszcze coś powiedzieć. Gdy rano poszłam do kur, przez podwórze przejeżdżały furgonetką dwa rude typy... – wysapałam, mocując się ze słoikiem.

Ciotka chrząknęła nerwowo.

– Tak?

– Tak, takie małe, krępe.

– Tak? I co?

– No i nic. Przejechali, a ja im pomachałam – skłamałam.

– Aha. Otworzyłaś wreszcie ten słoik?!

– Że co?

– Słoik wreszcie otwórz. Chora jestem, pić mi się chce.

– Aha, jeszcze coś...

– Co znowu? – burknęła.

– Ci rudzi na pewno byli na chrzcinach Hireczka. Kowalowa mówi, że to musieli być kuzyni Waldka. Mieszkają ponoć w Bolesławcu. Ciocia ich nie pamięta?

– Nie pamiętam! – Poczerwieniała na twarzy, a jej oddech stał się chrapliwy. – I po co mówiłaś o nich Kowalowej?! Czy to takie wielkie wydarzenie, że jacyś tam rudzi sobie przez moje podwórko jechali?! Że też zawsze musisz mnie zdenerwować.

Rozwiązała troczek przy koszuli nocnej i zaczęła się wachlować złapaną ze stolika gazetą.

– Idź po doktora... – stęknęła.

Nie puszczając z rąk słoika, pobiegłam do dyżurki. Na szczęście w środku był lekarz.

– Panie doktorze... – wysapałam. – Pomocy...

– Oczywiście! – Sięgnął po leżący na stoliku wielki, umazany masłem nóż, po czym spoglądając na mnie spod oka, z namaszczeniem wytarł go w ściereczkę.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Nie wie, o co chodzi, i od razu nóż szykuje?! To ci służba zdrowia! Wyciągnął do mnie rękę. Ach! Słoik z czereśniami! Zupełnie zapomniałam, że nadal go trzymałam.

– Nie, nie! – schowałam go za siebie. – Moja ciocia ma nerwowy atak!

Ciotka z powodu uniesienia, które przeżyła, nie miała co marzyć o szybkim powrocie do domu. Bardzo mnie to ucieszyło i z nadzieją w sercu, że do jej powrotu znajdę następcę Leona, wróciłam do Strzelb.

Był już wczesny wieczór, więc poprosiłam Irenę, aby poszła ze mną do kurnika zamknąć na noc ciotczyiny inwentarz. Jeszcze by tego brakowało, aby na resztę jej drobiu zapolował lis lub jakaś bardziej operatywna kuna. Wracałyśmy w milczeniu.

– Chodźmy łąką – zaproponowała. – Lubię jej zapach.

Wokół panowała cisza. Nagle wydało mi się, że od strony lasu dał się słyszeć warkot silnika.

– Słyszałaś? – zapytałam i przystanąłam.

– Co?

– Auto. W lesie. O, znowu... Słyszysz?

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się ze mną.

Wyteżyłam wzrok. Zza drzew wyjechał duży samochód, przystanął, jakby kierowca wahał się, czy jechać dalej, po czym zawrócił i znikł wśród drzew. To była zielona furgonetka.

– Rudzielce... – powiedziałam do siebie. – Znowu w lesie... Kowalowa mówiła, że to są kuzyni Waldka – ciągnęłam, patrząc w kierunku warkotu.

– Mówiłaś o nich Kowalowej? – Irena przystanęła, a w jej oczach malowała się zgroza.

– Tak, a co?

– Po co jej głupotami głowę zawracać? Mało ostatnio przeszła? Zięc nie żyje, mąż pobity, a ty chodzisz po wsi i bzdury opowiadasz.

– To nie są bzdury. Oni mi grozili!

– Bo może pod koła im wlaźłaś i ci się należało. Może to był leśniczy.
Na przykład leśniczy z bratem.

– Chyba nie... – powiedziałam niepewnie. Nie znałam co prawda leśniczego, a już tym bardziej jego brata, więc nie mogłam się upierać, czy to był leśniczy, czy nie. – Ale teraz widziałaś to co ja? Tę zieloną furgonetkę?

– Nie jestem pewna, czy to była furgonetka.

– Ale auto w lesie słyszałaś? Mówiłaś przecież!

– Czy ja wiem, co to było? Może ktoś piłował drzewo?

– O tej porze?!

– Chodźmy już. – Tak przyśpieszyła kroku, że aby się z nią zrównać, musiałam trochę podbiec. – Ksiądz Jerzy na pewno czeka na kolację.

– Irena...

– Co jeszcze?

– Kim oni są? Dlaczego się tak denerwujesz, gdy o nich mówię?

Nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej przyśpieszyła.

Po kolacji poszłam do siebie. Na pójście spać było jeszcze zbyt wcześnie, a że w telewizji nie znalazłam nic ciekawego, postanowiłam, że najpierw zrobię w pokoju porządek, a potem wezmę kąpiel.

Nie wiedziałam, jak długo jeszcze będę musiała mieszkać pod księżowskim dachem, a codzienne życie w bałaganie zaczynało mi doskwierać. Starannie poukładałam w szafkach ubrania, walizkę schowałam na dno szafy, a z dywanu odkurzyłam okruszyny po ciastkach. Miękką ściereczką przetrąłam laptop oraz moje książki (po chwili namysłu łaskawie odkurzyłam też biblioteczkę księdza).

Po tak ciężkiej pracy urządziłam sobie królewską kąpiel. Nalałam wody do wanny i doprawdy nie pożałowałam sobie płynu do kąpieli Ireny. Zapaliłam stojące w oknie świece i z lubością zanurzyłam się w różowej pianie. Było bosko. Oparłam głowę o brzeg wanny i przymknęłam oczy. Gdy zaczęłam zapadać w drzemkę, zadzwoniła komórka. Zakłęłam pod nosem, bo akurat nie miałam jej w zasięgu ręki, tylko zostawiłam na łóżku. Wyskoczyłam z wody i robiąc mokre ślady, pobiegłam do pokoju. To był Janusz.

– Będę mówić krótko. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć, przyjdź zaraz pod krzak bzu, który rośnie za domem twojej ciotki.

– Januszkule! Przyjechałeś! – ucieszyłam się.

– Zamiast podskakiwać z radości, śpiesz się, bo myślisz, że ile tu będę czekać?!

– Ale Januszkule, czy na pewno chcesz spotkać się pod domem ciotki? – Przed oczami zamajaczył mi wiszący Leon. Ten krzak przecież był tak

blisko kurnika!

– Znasz lepsze miejsce? Przecież u ciotki jest najbezpieczniej! To przyjdiesz czy nie?

– Pewnie, już pędzę!

Całe szczęście, że nie zdążyłam zamoczyć włosów. Szybko wciągnęłam dzinsy, bluzę, na bose stopy wcisnęłam trampki, a komórkę wsadziłam do kieszeni spodni. Z trudem opanowałam się, by zbyt radośnie nie zbiec po schodach.

Ksiądz i Irena oglądali telewizję.

– Idę się przewietrzyć – oznajmiłam w progu pokoju.

– O tej porze? Niedługo będzie ciemno – zauważyła Irena, tak jakbym sama tego nie wiedziała.

– Jest mi trochę duszno.

– Mam wyjść z tobą? Nie boisz się iść sama?

– Nie, nie! – zaprotestowałam szybko. Oczywiście, że się bałam! Ale chęć spotkania Januszka była tak silna, że choćbym po drodze miała spotkać nawet samego Herra i tak bym poszła wszędzie tam, gdzie był ukochany. – Pokręcę się tu, wokół domu. Niedługo wrócę.

– Jeśli tylko wokół domu... – powtórzyła Irena i spojrzała na mnie uważnie.

Nim dotarłam na ciotczyne podwórze, zrobiło się już całkiem ciemno. Dodatkowo niebo zasnuły chmury, więc szłam na pamięć, uważając, by nie wpaść na płot czy kurnik.

– Hej? – zawołałam cicho, gdy znalazłam się w miejscu, gdzie powinien rosnąć bez.

– Tu jestem. – Głos dobiegał z odległości kilku metrów. – Nie wiesz, gdzie bez rośnie?!

– Przecież jest ciemno.

Zza krzaków wyłoniła się postać. Spragniona czułości rzuciłam się w jej kierunku i przyłgnęłam wargami w miejsce, gdzie powinny być usta. Odskoczyłam jak oparzona.

– Ludzie, ludzie! Ratunku! – zaczęłam krzyczeć ile sił w płucach.

– Cicho bądź! – Silny uścisk dłoni zamknął mi usta. – Czemu tak hałasujesz?! – To z pewnością był głos Januszka. Ale te usta! Nie jego!

– Janusz, to na pewno ty? – wychrypiałam zza dłoni.

– Ja! A kto?!

– Kłamiesz! Co zrobiłeś z ustami?!

– Ustami? – Uścisk dłoni zelżał, a ja wyrwałam się i odskoczyłam na bezpieczną odległość. Wyteżyłam wzrok. Ta ciemna sylwetka stojąca przed mną zdecydowanie należała do Janusza – chuda, mała i rachityczna. Nawet pachniał jak zwykle dobrą wodą toaletową. Ale coś się nie zgadzało... Wreszcie do mnie dotarło: nie miał wąsów!

– Wąsy! Zgoliłeś je! – wrzasnęłam odkrywczo. – Dlaczego?

– Przymknij się wreszcie – syknął. – Tak, zgoliłem. Lepiej mi?

– Kiepsko widzę, bo jest zbyt ciemno. Dlaczego je zgoliłeś? – ponowiłam pytanie i wyciągnęłam przed siebie rękę, aby dotknąć okolicy jego ust. Była gładka jak pupa niemowlaka.

– Bo mnie postarzały.

– Zaraz, ty chyba nie masz też okularów...

– Nie mam. Mam szkła kontaktowe – odparł z nieukrywaną dumą.

– Okulary też cię postarzały czy co?

– Znudziły mi się – powiedział urażony.

– He, he, kryzys wieku średniego? – rzuciłam nie tyle złośliwie, co bezmyślnie. Ścisnął mnie boleśnie za rękę.

– Nigdy cię nie zatrzymywałem. Pamiętaj.

Akurat! – pomyślałam, przypominając sobie jego słowa: „Nikommu cię nie oddam!”.

– Przestań, żartuję tylko...

– A ja nie. Przyjechałem tu do ciebie ponad sto kilometrów, zostawiając chorą żonę i ryzykując rozbitcie małżeństwa, a ty mi tu jakieś bzdury insynuujesz!

Nie odezwałam się.

– Natalia!

Nadal milczałam.

– Nacia, obraziłaś się?

Przyciągnął mnie do siebie.

– Całuj! – zażądał.

Posłusznie cmoknęłam go w policzek.

– Od kiedy jesteś taka święta?

Oparł mnie o pień rosnącego obok drzewa, rozpiął zamek dzinsów i wsadził rękę.

– A ty co? Nie masz majtek?

– Wyciągnąłeś mnie z wanny.

– Świetnie – mruknął. – Świeża i pachnąca... – Lizał mnie po szyi. – Zaraz ci pokażę, jak wygląda kryzys wieku średniego...

– Poczekaj... – Nie mogłam kochać się z nim w pobliżu kurnika, gdzie niedawno być może zadziałały złe moce. A nawet jeśli nie zadziałały, to w końcu wyzionęło tu ducha stworzenie boże.

– Co znowu? – mruknął.

– Chodźmy trochę dalej.

– Dlaczego?

– Ten bez mi śmierdzi.

– Czym ci śmierdzi? Przecież dawno nie kwitnie!

– Jak mówię, że mi śmierdzi, to śmierdzi! – Pociągnęłam go w kierunku starego, zaniedbanego sadu, którego jedyną zaletą było to, że znajdował się w znacznej odległości od kurnika.

Nigdy nie robiliśmy tego na drzewie, pod drzewem czy przy drzewie i muszę przyznać, że było fantastycznie. Nie wiem, czy podziałały tak na Janusza nieopatrznie rzucone przeze mnie słowa, czy podniecił go fakt odmiany własnej osoby w postaci zgolenia wąsów oraz porzucenia okularów na rzecz szkieł kontaktowych. W każdym razie, jak nigdy wcześniej, tego wieczoru przeszedł samego siebie.

– Późno już – zapięłam bluzę i poprawiłam włosy. – Będę musiała iść.

– Poczekaj. Wiesz, gdy na ciebie czekałem, przez podwórko przejechała zielona furgonetka. Wydawało mi się, że w środku siedziało dwóch rudych mężczyzn. Jechali w kierunku bagien.

– Rany boskie! – podskoczyłam jak oparzona. – To oni! Rudzielce! I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Gdybym powiedział wcześniej, to uprawiałabyś ze mną seks aż trzy razy?

– Nie. Ani razu. Dawno by mnie tu nie było.

– Więc masz odpowiedź, dlaczego ci nie powiedziałem.

– Ale oni cię nie widzieli?

– Nie, byłem dobrze ukryty.

– Jesteś pewien, że byli rudzi? Przecież jest ciemno.

– Rudzi, rudzi. Czekam na ciebie od zmierzchu, a wtedy było jeszcze dobrze widać.

Aż od zmierzchu... kochany Januszek! Cmoknęłam go w policzek. Wytarł się i mruknął:

– Mało ci jeszcze?

– Nie, tylko cieszę się, że tu jesteś. Chodźmy już. Gdzie zaparkowałeś?

– Około trzech kilometrów stąd. Pod lasem. Mogę cię kawałek odprowadzić.

Chwycałam go mocno za rękę i ruszyliśmy w kierunku drogi.

– A wiesz, co mówił Kowal?

– Co?

– Że Waldek tej nocy wyjął z dziupli pieniądze. Ponoć było tego kilka tysięcy, a potem one zniknęły.

Janusz przystanął.

– Zniknęły? Jak mogły zniknąć? Może po prostu ich tam w ogóle nie było? Może od uderzenia Kowalowi w głowie się pomieszało? Przecież ty też żadnych pieniędzy nie znalazłaś. Bo nie znalazłaś, prawda?

– Nie, niczego tam nie było. Ale ja mu wierzę, że tam musiały być jakieś pieniądze, a zabrał je na pewno ten morderca.

– A ja nie wierzę.

– Masz do tego pełne prawo... – powiedziałam urażona.

– Pewnie, że mam. Masz w zanadrzu jeszcze jakieś nowiny? – Przystanął. – To mów, bo dalej pójdziesz sama. Nie chcę, by mnie ktoś zobaczył.

– Kocham cię, Janusz...

– Cieszę się – przytulił mnie lewą ręką, a prawą poklepał po plecach.

– A ty mnie?

– Ja co?

– Czy mnie kochasz? – zapytałam, łudząc się, że otrzymam twierdzącą odpowiedź. Niestety.

– Daj spokój, Nacia. Nie mam czasu na tego typu rozmowy. – Odsunął mnie od siebie.

– Ale to są tylko dwa słowa... – powiedziałam cicho.

Nie skomentował tego, tylko zmienił temat:

– Auto samo pod lasem stoi, jeszcze je ktoś okradnie. Posłuchaj mnie – zwrócił twarz w moją stronę i chyba patrzył mi w oczy, ale było ciemno i nie byłam pewna – nie przyjechałem tu tylko po to, aby uprawiać z tobą seks.

– Nie? A po co? – zapytałam sarkastycznie.

– Czy ty nie widzisz, że tu coś się dzieje? Coś złego. Po co tu jeszcze siedzisz? Najpierw zabity został ten cały Waldek, a potem kogut. Czy ty chcesz być następna po drobiu?

– Nie chcę być następna po drobiu.

– To może po kimś innym chciałabyś być, nie wiem, nie nadążam za tokiem twojego pokrętnego rozumowania. Ale jedno jest pewne – dobrze ci życzę, Nacia. Chodź – złapał mnie za rękę – zabieram cię do Wrocławia.

– Nie, nie mogę. Janusz, ja naprawdę bardzo cię kocham, ale muszę tu zostać.

– Nacia, przecież żaden kogut cię tu już nie trzyma. Jak ja mam do ciebie przemówić? Jakich argumentów użyć, żebyś stąd uciekała? Powiedz ciotce, że kogut był smaczny, jak chcesz to nawet pomachaj jej na pożegnanie, ale mówię ci, uciekaj ze mną jak najdalej stąd!

– Janusz, nie mogę ciotce powiedzieć, że jej pupil nie żyje, a już tym bardziej, że został zjedzony na obiad. Ty chyba oszalałeś! Przecież to ją może zabić!

– To niech zabije. Jest wystarczająco stara. Nażyła się już i jej wystarczy.

– Janusz! – Przystanąłam porażona jego bezdusznością. – Jak możesz tak mówić?!

– Moja droga, ja wszystko mogę. – Ścisnął mnie za ramię.

– Auć! Puść, to boli!

– He, he – zaśmiał się chrapliwie i zwolnił uścisk. – To jak, idziesz ze mną?

– Nie.

Mruknął coś ze złością i ruszył przed siebie.

– Janusz, poczekaj...

– Natalia – warknął – muszę wracać do Wrocławia i w miarę się wyspać, żeby rano być przytomny w szpitalu. Chcesz, aby Krysia nabrała podejrzeń?

– Nie chcę...

– Widzisz, ty jesteś nawet dość mądra. Odezwę się. – Zniknął w ciemności.

Z głębokiego snu obudziła mnie Irena.

– Natalia – delikatnie dotknęła mojego ramienia – nie idziesz wypuścić kur?

Natychmiast otworzyłam oczy. Do tej pory nie potrzebowałam budzika, bo każdego dnia budziłam się niemal o świcie, więc i poprzedniego wieczoru nie pomyślałam, aby go nastawić. Poderwałam się na łóżku.

– Która godzina?

– Po dziewiątej. Szykuje się niezły skwar.

– Już się zbieram.

– Ale mocno spałaś.

– Aha – mruknęłam, licząc, że zaraz sobie pójdzie.

– Pewnie nawet nie słyszałaś w nocy karetki pogotowia?

– Karetka? – Zainteresowałam się.

– Tak, coś się stało u nas w Strzelbach, bo gdzieś blisko jechała. Nic więcej nie wiem. Co ci się stało? – Irena podeszła bliżej i przyjrzała się mojej szyi.

– Nie wiem – niepewnie dotknęłam ręką miejsca, na które patrzyła.

– Idź do łazienki i obejrzyj, wygląda na ugryzienie.

Faktycznie, lustro pokazywało wielką malinkę.

– Ugryzienie, prawda? – zapytała, gdy wróciłam.

– Tak. Widocznie na wczorajszym spacerze musiało mnie coś dziobnąć. Pewnie komar. – Nie patrzyłam jej w oczy, bo irracjonalnie się bałam, że wyczyta z nich ekscesy, które wyprawiałam poprzedniego wieczora. – Tak,

na pewno komar – powtórzyłam i podeszłam do szafy, udając, że szukam czegoś do ubrania.

– Mam iść z tobą do kurnika?

– Nie. Wieczorem cię o to poproszę. Mogę? – spojrzałam na nią przelotnie.

– Pewnie. Idę nastawić wodę na herbatę.

– Nie, dzięki. Zjem, jak wrócę! – zawołałam za nią.

Szybko odnalazłam dawno zapomnianą kwiecistą spódnicę i bluzkę na ramiączkach. Na nogi wsunęłam sandały, a włosy związałam byle jak, schodząc już na dół.

– Na razie – rzuciłam w kierunku kuchni, z której wydobywały się apetyczne zapachy i wyszłam w skwar.

Słońce piekło już dość mocno, a spod stóp unosiły się tumany kurzu. Zeszłam z piaszczystego pobocza na szosę i powoli ruszyłam pod górę. Nagle, tuż przy wjeździe na ciotczyne podwórko, zobaczyłam kilka kobiet, wśród których rozpoznałam najbliższe mieszkające sąsiadki. Najwyraźniej były czymś bardzo przejęte.

– Dzień dobry – powiedziałam i zwolniłam kroku, licząc, że wpadnie mi do ucha co nieco z ich rozmowy.

– O, pani Natalia! – wykrzyknęła jedna z kobiet. – Co za pech!

– Jaki pech?

Przystanęłam.

– Oj, niech pani zejdzie trochę na bok, bo toż to na krwi ludzkiej pani stoi.

Spojrzałam pod nogi, rzeczywiście na asfalcie widoczna była czerwona plama. Odskokczyłam szybko na bok.

– Czyja to krew?! – pisnęłam przerażona.

– Wczoraj w nocy ktoś potracił tu człowieka.

Serce zabiło mi mocniej. Czyżby Januszka?! Chyba musiało się to stać, gdy już spałam, bo nie słyszałam karetki. Janusz miał od razu wracać do domu i o tak późnej porze nie powinien był już być w tej okolicy, ale kto to wie? Może coś go zatrzymało? Piękny widok lub prozaiczny brak benzyny. Na myśl o tym, że to on mógł leżeć na tym asfalcie, sam w nocy, podczas gdy ja przewracałam się na drugi bok, poczułam bolesne wyrzuty sumienia.

– Nie wie pani, kto był ofiarą? – Poczułam, że zaschło mi w ustach.

– Jakiś mężczyzna. Nietutejszy.

Skóra ścierpła mi na karku.

– A czy przeżył?

– Gdyby nie przeżył, to nie karetka by go zabrała, tylko karawan, ale patrz pani – wskazała dłonią na plamę. – Ktoś, kto stracił krwi tyle co prosiak na świniobiciu, i tak długo nie pociągnie. Tylko pechowo, że to pod domem pani ciotki się stało. Jeszcze po śmierci straszyć gotów. A przecież tu tak ładnie jest. Szkoda, że atmosferę popsuje.

– Gdzie go zawieźli? – Nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę.

– Jak to gdzie? Pewnie jak najbliżej, do szpitala we Lwówku.

Nie pozostało mi nic innego, tylko tam jechać. Wpadłam jeszcze szybko do kurnika, wypuściłam drób na podwórze, nasypałam im ziarna i nalałam wody. Potem popędziłam do księdza po pieniądze na bilet i pobiegłam na przystanek. Na szczęście tym razem nie musiałam długo czekać na autobus.

– Czy wczoraj w nocy przywieziono tu potrąconego mężczyznę?! – zapytałam w dyżurce pielęgniarek.

– Tak. Jest pani jego krewną? – Pielęgniarka w średnim wieku uważnie mnie zlustrowała.

– W pewnym sensie.

– Pani już tu wcześniej kogoś odwiedzała, prawda?

– Tak, ciocię. To gdzie on leży?

– W ostatniej sali po lewej. Ale jeśli śpi, to nie radzę go budzić. – Wstała i ruszyła w moim kierunku. Wyglądało na to, że chce iść za mną. Skinęłam jej głową, że wszystko zrozumiałam, i poleciałam do wskazanego pokoju.

Bez pukania wpadłam do środka i przystanąłam. W pokoju było dwóch pacjentów. Ten spod okna ze znudzoną miną oglądał telewizję, a drugi, z nogą na wyciągu i ręką w gipsie, leżał w drugim kącie sali, cicho pochrapując. Obok niego siedział... jeden z rudzielców!

– I co? – za moimi plecami odezwała się pielęgniarka. – Nie porozmawia sobie pani. Śpi jak suseł. Miał wiele szczęścia, że wszystko skończyło się tylko na połamaniu nogi i kilku żeber.

– Panie Leszku, ta pani mówi, że jest krewną pana Zbyszka – zwróciła się do rudego.

Rudy łypnął na mnie kątem oka.

– Jak ona jest krewną Zbycha, to i moją też, bo przecież my jesteśmy braćmi – mrugnął do pielęgniarki.

– No tak – zachichotała zalotnie. – Jaka ze mnie gapa, zupełnie zapomniałam! To pewnie przez ten upał.

– Pewnie tak – znów do niej mrugnął i wziął do ręki pusty kubek. – Kawka mi się skończyła...

– Oczywiście, panie Leszku, zaraz zrobię świeżą – zatrzepotała rzęsami i z pustym kubkiem w dłoni wyfrunęła na korytarz.

– Co pani za bzdury wygaduje? – mruknął do mnie nieuprzejmie. – Jaka krewna?!

Wzruszyłam ramionami.

– Krewna czy nie, musiałam coś jej powiedzieć, żeby bez problemu mnie wpuściła. To jego wczoraj ktoś potrącił w Starych Strzelbach? – wskazałam palcem na zabandażowanego rudzielca.

– Tak. Niech no ja dorwę tego bydlaka, co mi tak brata urządził, to mu flaki...

Januszek jest żywy! Odetchnęłam z ulgą, a na mojej twarzy rozkwitł uśmiech. Rudy się obruszył:

– A pani co się tak ucieszyła, co?! Że o mało mi brata na śmierć nie przejechali?! Gdybym wiedział, że paniusia będzie się tak z jego nieszczęścia cieszyć, tobym Zbycha nie powstrzymywał i pozwolił, aby pani porządnie dołożył.

– Dołożył?! A za co?

– Chociażby za to, że nie wiadomo po co o świcie szwenda się po cudzym podwórku!

– Po cudzym podwórku! – Stałam w rozkroku i ręce oparłam pod boki. – Wypraszam sobie, bo po pierwsze jest to podwórko mojej ciotki, a po drugie skoro mojej ciotki, to bardziej moje niż wasze!

– Jakiej ciotki? – Rudy zarechotał. – Niby od kiedy Kazia jest paniusią ciotką, co?!

- Spokój! – W drzwiach niespodziewanie pojawiła się ciocia.
- Ciocia! – Po raz pierwszy szczerze ucieszyłam się na jej widok.
- Jak to dobrze, że ciocia tu przyszła, bo ten oto rudzielec mnie atakuje!
- Według mnie obydwójecie idziecie łeb w łeb. O co chodzi?

Ciotka spoglądała to na mnie, to na rudego.

– Oni dwaj – pokazałam palcem na rudego zdrowego i rudego przetrąconego – bezprawnie przejechali przez cioci podwórze! I co więcej, zrobili to dwa razy, bo wczoraj w nocy też tamtędy jechali.

– A tak. Jechali! – uniósł się Leszek. – I źle, żeśmy jechali! Bo gdybyśmy tamtędy wczoraj nie wracali, to gumy byśmy nie złapali i Zbychu teraz by tu nie leżał! – Zaczął gwałtownie, nie wiadomo do kogo, odgrażać się pięścią.

– Spokój mi tu! – Ciotka podniosła głos, aż oglądający telewizję pacjent wyłączył odbiornik i postukując gipsem, pośpiesznie wykuśtykał na korytarz.

– Natalia, uspokój się, ja wiem, że Leszek i Zbyszek korzystali z przejazdu przez moje podwórze.

– Leszek i Zbyszek? – wytrzeszczyłam oczy. – To ciocia ich zna?

– A znam i co z tego? – zapytała zaczepnie. – I powiem ci jeszcze, że sama im na te przejazdy pozwoliłam.

– I nic mi ciocia nie powiedziała?!

– Po co? Ty miałaś siedzieć u księdza i tylko o moje kury dbać. Kto mógł przewidzieć, że wpadniesz na pomysł, by już o świcie wypuścić je z kurnika.

– Stara ma rację – mruknął Leszek i brudną chustką otarł bratu pot z czoła.

– Ale po co oni tamtędy jeździli?

– Taki skrót mieliśmy – rzucił krótko rudy.

– Ale skrót do czego? – drążyłam w swej naiwności.

– Do dupy.

– Leszek! – Ciotka pogroziła mu palcem. – Jak ty się wyrażasz?

– Bo mnie już krew zalewa! Wszystko się wali! A zaczęło się od tego, że jakaś stara panna na wieś przyjechała, aby się za mąż wydać!

– To niby o mnie, tak?!

– Oczywiście – ze złośliwym uśmiechem potwierdził Leszek.

Zrobiłam się purpurowa na twarzy i już szukałam w głowie ciętej riposty, gdy weszła pielęgniarka z kubkiem kawy.

– O, gdybym wiedziała, że jest tu też pani Kazia, tobym i dla pani przyniosła. Ale zaraz mogę skoczyć. – Podała kubek rudemu.

– Niech pani nie skacze – powiedziała ciotka i poczekała, aż pielęgniarka zamknie za sobą drzwi.

– Uspokójcie się obydwójce. Podwórko jest moje i mogę je udostępnić, komu mi się tylko podoba. Może rzeczywiście to był błąd z mojej strony, że Natalii nie przedziłam o waszych przejazdach. Trudno.

– A jak to w ogóle się stało? – pojednawczo zwróciłam się do Leszka.

– Co?

– No, ten wypadek.

– Normalnie – burknął. – Wracaliśmy przez to cholerne podwórze i gumę złapaliśmy. Pieprzony gwóźdź, gruby jak mój palec, wbił się w oponę. Zjechaliśmy na ulicę i dalej ani rusz. Ja prowadziłem, więc to Zbychu wysiadł i wtedy nie wiadomo skąd wyskoczyło to auto. Wariat pędził jak szalony. Trzepnął Zbycha, ale musiał wiedzieć, co zrobić, bo przyhamował, jakby sprawdzał, czy mu się udało, zaraz potem znów dodał gazu i tyle go widziałem. Nawet nie wiem, jaką miał rejestrację. Ale auto

było niewielkie, jasne. Z tych nerwów tylko tyle zapamiętałem. – Nachylił się nad bratem.

Ciotka przysiadła na brzegu łóżka i mocno się nad czymś zamyśliła.

– Irena może nam pomóc – zawyrokowała.

– Też o niej pomyślałem – przytaknął rudy i szybko łypnął w moją stronę.

– Trzeba ją tu ściągnąć.

Rudy znów na mnie łypnął, nachylił się do ciotki i coś poszeptał.

– Nią się nie zajmuj – powiedziała. – Co ona tam wie.

– Ale... – Rudy znów się nachylił i skorzystał z ucha ciotki.

– E tam. Niedługo stąd wyjedzie. Natalia, powiedz Irenie, aby jak najszybciej mnie odwiedziła, dobrze?

– Ożeż kurde! Ciotka to kompletnie nieostrożna jest! Dałbym ciotce telefon, żeby sama zadzwoniła! Nie można być takim niefrasobliwym! – oburzył się.

– A daj ty już spokój!

Przysłuchiwałam się z zainteresowaniem dziwnej wymianie zdań.

– Mówię ciotce, niech bierze ten telefon i dzwoni. Sama powie, co i jak, i wszystko będzie jasne. – Wyjął z kieszeni komórkę. – Proszę – wcisnął jej w dłoń. – Na co się tak gapi?! – ryknął do mnie. – Niech już leci z powrotem na plebanię, bo tu dzwonić będzie!

Powoli wracałam z przystanku. Zapadał zmierzch i mgła zaczynała unosić się nad łąkami. Gdybym nie była zajęta analizowaniem tego, co się wokół mnie działo, z pewnością zachwyciłabym się wiejskimi widokami i swojskimi zapachami, ale nie teraz. Z każdym dniem miałam większy mętlik w głowie. Wszyscy się znali, ale zachowywali się, jakby byli dla siebie obcy. Odgrywali przede mną spektakl i myśleli, że zajęta kiepską fabułą, nie będę chciała dowiedzieć się, kim są aktorzy. Tacy rudzi? Kim byli? Ciotka pozwoliła im przejeżdżać przez swoje podwórko? A dokąd oni jeździli? Co tak naprawdę wydarzyło się na podwórku ciotki? Kto zabił koguta i potracił ryżego? Jedna i ta sama osoba czy ktoś inny? Za moimi plecami najwyraźniej odbywały się jakieś rozgrywki.

A Irena? Niby mieszkała u księdza, a też nie była bez skazy – w końcu udawała, że rudych z chrzcin nie pamięta. I pewnie doskonale wiedziała, dlaczego oni jeżdżą po lesie. Nie wspomnę o tym Krzywym Mańku. Następny podejrzany. W zasadzie podejrzani byli chyba wszyscy. Pomyślałam, że mój romans z Januszem wobec tego, co się działo w Strzelbach, był kwintesencją niewinności i prostoty. Ale czy na pewno?

Zesłam na pobocze i przysiadłam na brzegu rowu. Zapatrzyłam się na wiejski krajobraz. Kochałam Janusza, to było jasne jak słońce, ale coraz częściej przeszkadzał mi sposób, w jaki mnie traktował. Dobrze, niby troszczył się o moje bezpieczeństwo i chciał zabrać ze sobą do Wrocławia, ale ja potrzebowałam czegoś więcej – miłych słów i szczerego przytulenia. Nie byłam przecież szmacianą lalką, w którą bezkarnie można wbijać dowolną liczbę szpilek. Czy on mnie rzeczywiście kochał? A gdybym jednak zechciała odejść, czy naprawdę by mi na to pozwolił?

Wyjęłam komórkę i zaczęłam podrzucać w dłoni. Może przyjazd do Strzelb potrzebny mi był do tego, aby wreszcie zrobić coś ze swoim życiem? Tak, tylko co? Westchnęłam i obiecałam sobie jeszcze nad tym pomyśleć. Na razie jednak Janusz nadal był mi bliski. Postanowiłam do niego zadzwonić. Po kilku sygnałach usłyszałam głos mojego ukochanego:

– Tak? – mruknął niewyraźnie.

– To ja – szepnęłam. – Możesz mówić?

– Tak. Coś się stało?

– Nic. Chciałam ci tylko opowiedzieć, co się dziś wydarzyło. Chcesz posłuchać?

– Mów, ale szybko, bo zaraz wychodzę.

– Dokąd idziesz?

– Do Kryśki do szpitala. Nie pamiętasz, że ciągle tam leży?

– Tak, faktycznie – przytaknęłam – ale jakoś długo ją tam trzymają...

– Trzymają ile muszą. A teraz mów wreszcie, co masz do powiedzenia.

Wydawało mi się, że w słuchawce usłyszałam czyjś niewyraźny głos.

– Januszek – szepnęłam – ktoś z tobą jest? Twój syn?!

Pomyślałam o jego pierworodnym.

– Sam jestem, z kim mam być? A co do młodego, wiesz przecież, że mieszka w Niemczech i odwiedza nas tylko na Boże Narodzenie.

Faktycznie, zupełnie zapomniałam, że jego jedynak od dwóch lat nie mieszkał w Polsce, jednak nadal obstawałam przy swoim.

– Bo wydawało mi się, że słyszę czyjś głos.

– Może powinnaś pójść do laryngologa?

– Laryngologa? – Dotknęłam jednego ucha. – Ostatnio rzeczywiście trochę piszczy mi w uszach.

– No widzisz, jak zwykle mam rację. Więc co tam u ciebie?

– Wczoraj w nocy ktoś potrafił jednego z tych rudych. Tego, który mi groził.

– To chyba dobrze? Przestaną się panoszyć na cudzym podwórku. Żyje?

– Tak, ma złamaną nogę i kilka żeber.

– To mu się upiekło. Z miodem.

– Z jakim miodem? – zdębiałam.

– Co?

– Mówiłeś coś o miodzie.

Zapadła chwila ciszy.

– Janusz?

– Co?

– Co to był za miód?

– Oj, Nacia, nie do ciebie mówiłem.

– A do kogo?

– Do kogo co?

– O tym miodzie mówiłeś? Janusz – przełknęłam pierwsze łyżę – ja wiem, że ty kawę pijesz tylko z miodem... Ty nie jesteś tam sam! Ktoś ci robi kawę z miodem! I nie jestem to ja, bo ja jestem tu, i nie jest to twoja żona, bo ona jest w szpitalu. Kto z tobą jest?! – Zerwałam się na równe nogi.

– Uspokój się. Mam włączony telewizor. Teraz był program o kawach. Która jest najlepsza i tak dalej, więc dodałem i własne zdanie. Gdy się siedzi cały dzień samemu, można zacząć rozmawiać z telewizorem. Dziwisz mi się?

– Nie – odpowiedziałam nie do końca uspokojona.

– I co dalej z tym rudym? Z tego, co mówisz, pewnie z tego wyjdzie.

– Na to wygląda.

- A co poza tym słycać?
- Wiesz, to wszystko jest jakieś dziwne.
- Co dziwne?
- Wszystko.

– Kto lub co cię tam trzyma? Mówiłem ci, żebyś się spakowała i wracała do Wrocławia, a ty uparcie odmawiasz. A to ciotka, a to kogut, a to nie wiem co. Masz więc, co chciałaś. Muszę kończyć. Pa!

Nim się wyłączył, usłyszałam, jak mówi: „Więcej miodu”. Znów do telewizora? Wzruszyłam ramionami. Wstałam, komórkę włożyłam do kieszeni i rozmyślając o Januszku, ruszyłam przed siebie. Właśnie przed chwilą miałam kolejny przykład szorstkiego zachowania. Ba, nie tylko szorstkiego, ale również dziwnego. Twierdził, że rozmawiał sam ze sobą. Cóż, to się może zdarzyć każdemu i nie od razu musi wskazywać na chorobę psychiczną albo na... posiadanie kochanki? Kolejnej? Nie. To niemożliwe, aby on miał jeszcze kogoś oprócz mnie. I żony oczywiście. A jeżeli się myliłam? Nie, nie! Pomachałam nad głową ręką, jakby to miało pomóc w odegnaniu przykrego przypuszczenia.

Gdy dotarłam na plebanię, zastałam tylko księdza Jerzego. Siedział nad jakimiś papierami i widać było, że był bardzo zajęty.

– Proszę, zjedz coś, dziecko – powiedział. – Irenka musiała jechać do Lwówka, więc radź sobie sama. Bierz, co chcesz, nie krępuj się.

Oczywiście, że nie miałam zamiaru się krępować. Przeżycia oraz przykra zaduma nad postępowaniem Januszka sprawiły, że byłam głodna jak cała wataha wilków. Zrobiłam sobie furę kanapek i do tego półlitrowy kubek herbaty. Przejrzałam leżące na stoliku w korytarzyku gazety, wybrałam kilka i poszłam na górę. Jedząc, nasłuchiwałam, czy nie wraca Irena, ale im dłużej jej nie było, tym bardziej wciągała mnie lektura, więc zupełnie zapomniałam, że na nią czekam. Potem przejrzałam jeszcze kilka artykułów, których ksera miałam włożone między książki. Były bardzo ważne, ale niestety w języku niemieckim. Żółtym markerem podkreśliłam tekst, na który zamierzałam powołać się w dyskusji. Tak mnie to wciągnęło, że kąpać się poszłam dopiero około północy. Zanurzyłam się z rozkoszą w wodzie, do której dodałam aromatycznego płynu Ireny. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Z lubością zamknęłam oczy. Czegóż jeszcze mogło brakować mi do szczęścia? Janusza? Westchnęłam. Ach, życie...

Musiałam przysnąć i chyba spałam dość długo, bo gdy się ocknęłam, woda znacznie się wychłodziła. Nie byłam pewna, czy obudził mnie ogarniający chłód, czy głosy, które, jak mi się wydawało, otaczały mnie z każdej strony. Ciarki przebiegły mi po plecach. Nadstawiłam uszu – rozmowa niosła się gdzieś z dołu domu. Więc to nie były duchy, które czaiły się tuż za moimi plecami, tylko Irena musiała wrócić do domu. Ale

dlaczego tak dobrze słyszałam wszystko w łazience? Przecież drzwi były zamknięte, a od schodów dzielił je spory korytarzyk. Wyszłam z wody i nasłuchując, przycupnęłam na brzegu wanny. Bingo! Kratka wentylacyjna nad ubikacją! Okryłam się ręcznikiem, stanęłam na sedesie i wspierałam się na palce, aby móc przyłożyć ucho do otworu.

– To zamrozę, a z uda zrobię na obiad pieczeń – powiedział kobiecy głos, który zapewne należał do Ireny.

– Zapłaciłaś mu? – To był głos księdza Jerzego.

– Nie. Jutro przyjdzie po pieniądze.

– Tyle co zawsze?

– Tak.

Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się świst czajnika.

– Chce ksiądz kawy?

– Zrób, ale słabą. I nie chce się zgodzić?

– Nie chce. Ksiądz będzie musiał mu do rozumu przemówić, bo mi już argumentów zabrakło.

– Psia mać! – Po raz pierwszy usłyszałam przekleństwo z ust księdza.

– Upierał się, że krzywoprzysięstwo to grzech.

– On mówił o grzechu?! Kto jak kto, ale on?! – powiedział oburzony ksiądz i wyobraziłam sobie, jaką musiał mieć wściekłą minę.

– A tak. Tłumaczyłam mu, że dzięki niemu kanalia trafi za kratki, a niewinna osoba wyjdzie na wolność. A ten nie i nie. Wzięłam więc towar i poszłam. W końcu czasu na śmietniku nie znalazłam, żeby go trwonić na jałowe gadki. Jutro ksiądz musi z nim pogadać.

– Pogadam, pogadam. O której tu będzie?

– Jak zwykle kilka minut po północy.

– Dobrze. Jutro osobiście z nim porozmawiam i da Bóg, że przemówię do rozumu. – Rozległo się szurnięcie krzesłem. – Więc dobranoc. Wstawisz po mnie szklanę do zmywarki?

– A mam inne wyjście? Dobranoc.

Z dołu przez jakiś czas dochodziło jeszcze stukanie garnkami, a potem wszystko ucichło. Nie pozostało mi nic innego, tylko też iść spać. Długo jeszcze leżałam i myślałam o usłyszanej rozmowie. Paliła mnie ciekawość, kim był tajemniczy osobnik, który miał przyjść do księdza. Nim zasnęłam, postanowiłam, że nazajutrz ja również na niego zaczekam.

Piątek dłużył mi się niemiłosiernie. Aby zabić czas, włączyłam mojego starego przyjaciela laptopa i zabrałam się do pracy. Nie miałam jednak szczególnej weny. Skupiłam się więc tylko na przeczytaniu tego, co do tej pory napisałam, i naniesieniu kilku poprawek. W końcu stwierdziłam, że dobrze byłoby wybrać się do ciotki. Kto wie? Może powie coś, co mogłoby wyjaśnić chociaż część dziejących się wokół spraw? Bo w to, że ciotka coś wiedziała, nie wątpiłam. Postanowiłam, że zawiozę jej książkę z kolekcji, którą zabrałam ze sobą z Wrocławia. Przejrzałam wszystkie tytuły. Nie wiedziałam, co ciotka lubi czytać, zresztą nie było to aż tak istotne, bo do wyboru miałam same horrory. Wzięłam mój ulubiony *Worek kości* Stephena Kinga. Zanim weszłam do sali, na której leżała ciocia, dyskretnie zajrzałam do pokoju rudego rekonwalescenta. Tym razem brata przy nim nie było, a on sam czytał gazetę. Po cichu wycofałam się do ciotki. Leżała w łóżku i odmawiała różaniec.

– O, to ty! – zauważyła mnie, nim zdążyłam powiedzieć „Dzień dobry”.

– Przyjechałam zapytać, jak się ciocia miewa. I przy okazji przywiozłam cioci coś do czytania. – Z torby wyjęłam książkę. Wzięła ją do ręki i przeczytała tytuł:

– *Worek kości*? To jakaś nowa dieta?

– No wie ciocia co? – oburzyłam się. – To jest jeden z lepszych, moim zdaniem oczywiście, horrorów Stephena Kinga!

– Wolalabym romans – westchnęła. – Co tak na mnie patrzysz? Myślisz, że jak kobieta jest już stara i pomarszczona, to nie przystoi jej czytać o miłości?

– Ależ ciociu?! Nigdy bym tak nie pomyślała.

Z pogardą odrzuciła książkę na bok i wygodniej usadowiła się na łóżku.

– A wiesz co? Lekarz powiedział, że pewnie niedługo mnie wypuści, bo wyniki badań są rewelacyjne. Mówił też, że niejedna dwudziestolatka mogłaby mi pozazdrościć. Ha! – Wypięła dumnie pierś. – No co? Nie cieszysz się, że niedługo wyjdę?

Przed oczami stanął mi świętej pamięci Leon oraz rosołopodobna zupa, którą z niego zrobiłam. Szwagier obiecał kupić koguta, ale do tej pory nie dał znaku życia. Natomiast ja byłam tak zaaferowana codziennymi zdarzeniami, że zupełnie zapomniałam mu o tym przypomnieć. Jedynie raz czy dwa przebiegła mi przez głowę myśl, że mogłabym kupić (a może i ukraść, a co mi tam) podobnego ptaka od któregoś z sąsiadów. Szybko jednak odrzuciłam ten pomysł, bo kurak niczym pies lub gołąb mógłby notorycznie wracać na rodzime podwórko i cała mistyfikacja wyszłaby na jaw. To samo groziło przejęcie koguta z innej wsi. Nie znałam zwyczajów drobiu i nie byłam pewna, czy czasem taki delikwent przez pola i lasy do własnego domu by nie wrócił. Dlatego ufałam, że szwagier załatwi tę sprawę za mnie i przywiezie następcę Leona aż z Wrocławia. Ale albo o tym zapomniał, albo nie znalazł odpowiedniego kandydata.

– Nie... – jęknęłam.

– Czemu nie? Jak to nie? – ciotka się ożywiła.

– Och, muszę posprzątać dom przed cioci przyjazdem.

– Domem się nie przejmuj. Tylko dobrze pilnuj mojego Leonka.

– Pójdę już. – Wstałam.

– Tak szybko?

– Tak. Może wybiorę się jeszcze na spacer. – Moje myśli kręciły się już tylko wokół szybkiego wyjścia ciotki ze szpitala oraz tego, czy szwagier stanie na wysokości zadania.

– To idź. A domu nie waż się sprzątać. W końcu lekarz powiedział, że mam wyniki jak dwudziestolatka, więc sama sobie poradzę – rzuciła i sięgnęła po różaniec.

Do przyjazdu autobusu miałam jeszcze dwadzieścia minut, więc stanęłam w ustronnym miejscu i wykręciłam numer szwagra. Nie odbierał, więc zadzwoniłam do Alicji.

– Cześć – rzuciłam.

– O, cześć Natalia. Co u ciebie?

– Długo by opowiadać – westchnęłam. – Ale teraz nie mam czasu. Powiedz mi, czy Rafał kupił już tego koguta?

– Nie.

– Rany boskie! Nie ma koguta! Nie ma koguta! – zaczęłam lamentować, aż stojąca obok grupka młodzieży zaczęła przyglądać mi się z zainteresowaniem. – Ciotka na dniach wychodzi ze szpitala. Biedaczka tak się cieszy, że jest silna niczym młódka, a tu taki cios na nią czeka! Jak nic powali ją to na łopatki i już nigdy nikt jej nie wmówi, że jest niczym dwudziestolatka! Przejmie się, załamie, zwątpi, przestanie jeść, pić, korzystać z toalety, umrze, a ja będę musiała wyprawić jej pogrzeb! – Byłam niemal na granicy obłędu.

– Uspokój się. Rafał gadał na rynku z jakimś rolnikiem i jutro rano do odbioru ma być kogut ponoć całkiem podobny do tego waszego Leona. Wieczorem miałam do ciebie w tej sprawie zadzwonić.

– Naprawdę? – ucieszyłam się. – Kiedy mi go przywiezie?

– Przywiezie? – zdziwiła się Ala. – To jest niemożliwe, bo auto nam się zepsuło. Przyjedź po niego sama.

– Niby jak?

– Jak? Autobusem. Jednego dnia zdążysz obrócić w obie strony. Kupiliśmy ci nawet świetny kosz do przewożenia zwierząt.

– Rany boskie... – jęknęłam. – Mam przynajmniej nadzieję, że będzie w miarę spokojny i mi w podróży wstydu nie przyniesie.

– Tego to ja nie wiem. Ty się lepiej ciesz, że ci Rafał skombinował tego koguta, a nie szukaj dziury w całym. Możesz przyjechać dziś wieczorem, pogadamy sobie, zrobię dobrą kolację. Co ty na to?

– Dziś wieczorem nie mogę.

– Jak to nie możesz? Nie mów mi, że idziesz na balety, bo nie masz z kim. Ciotka też cię nie może zatrzymać, bo siedzi w szpitalu i nie wie ręka lewa, co robi prawa. Więc?

– Alucha – ściszyłam głos i rzuciłam konspiracyjne spojrzenie w każdą stronę świata – muszę tu zostać przynajmniej do północy, bo chcę kogoś zobaczyć.

– Kogo ty chcesz o północy oglądać? Te swoje duchy? – zaśmiała się.

– Przestań! Nie mogę ci teraz powiedzieć. Jutro wyjadę pierwszym autobusem – rzuciłam i pobiegłam na peron, gdyż kierowca najwyraźniej szykował się do odjazdu, bo włączył silnik.

W Strzelbach czekała na mnie niespodzianka. Było nią wezwanie na przesłuchanie. Krótco po moim wyjeździe do Lwówka na plebanię zawitała policja z nakazem stawienia się w komendzie w sprawie złożenia dodatkowych zeznań. Miałam się tam zjawić się za cztery dni, czyli we wtorek o dziewiątej rano.

– Pewnie chodzi im o śmierć Leona – stwierdziła Irena.

– A może będą chcieli wrócić jeszcze do wydarzeń na polanie. Kwestia pieniędzy nadal nie została wyjaśniona. Kowal upiera się, że tam były, a ja, że nie. Jeszcze wyjdę na złodziejkę i mnie za kratki wsadzą – zmartwiłam się.

– Nie wsadzą. Te pieniądze ukradł morderca. Zobaczysz, że niedługo go złapią.

– Taka jesteś pewna?

Irena tylko kiwnęła głową i tajemniczo się uśmiechnęła. Łudziłam się, że powie coś więcej, ale jak zwykle nabrała wody w usta. Wieczorem nie poszłam na spacer, o którym wspomniałam ciotce, tylko zostałam w kuchni i pomagałam Irenie przy gotowaniu. Zajęcie, o dziwo, tak mnie pochłonęło, że zupełnie przestałam się martwić, czy w końcu mnie zapuszkują, czy nie. Robiliśmy na jutrzejszy obiad strogonowa, a na deser piekłyśmy szarlotkę. Chociaż tak właściwie wszystko zrobiła Irena, a ja tylko podawałam jej składniki potraw lub przyprawy. Czasem umyłam też co większy garnek, który nie mieścił się w zmywarce. Gdy strogonow był już gotowy, a szarlotka piekła się w piekarniku, zasiadłyśmy do kolacji.

– Jutro rano jadę do Wrocławia.

Irena przestała żuć chleb i spojrzała na mnie chłodno.

– Niby po co?

– Szwagier kupił koguta wypisz wymaluj jak Leon. Muszę go tu przywieźć i zaadaptować do ciotczyńnego kurnika, bo ona lada chwila wyjdzie ze szpitala i drób musi być znów kompletny.

– Racja – przytaknęła. – Kiedy wracasz? – zapytała niby od niechcienia.

– Tego samego dnia.

– Rozsądnie, rozsądnie – pokiwała głową i nadal bacznie mi się przyglądała. – Planujesz tam coś jeszcze załatwić? Z kimś się spotkać?

Zdziwiło mnie to pytanie. Co mógł ją obchodzić mój wyjazd i to, co będę tam robić?

– Nie, nie planuję. Zresztą jeszcze nie wiem. Może pobiegam po sklepach.

– Z kogutem pod pachą?

– Bez przesady. Zostawię go u siostry – mruknęłam oburzona jej złośliwością. Dopłam herbatę i bez słowa pożegnania poszłam do siebie. Co w nią wstąpiło? Po chwili myślenia, które doprowadziło tylko do bólu głowy, poddałam się i włączyłam laptop. Postanowiłam, że do północy uczciwie popracuję, a potem zajmę się obserwowaniem podwórka i, o ile dopisze mi szczęście, podsłuchiowaniem w łazience.

To był Krzywy Maniek. Kilka minut po północy cicho wkroczył na księżowskie podwórze. Ksiądz Jerzy już na niego czekał, bo od razu otworzył mu drzwi i wpuścił do środka. Trzymałam mocno kciuki, aby poszli do kuchni, a nie do pokoju gościnnego. Opatrzność nade mną czuwała, bo moje przyłożone do kratki wentylacyjnej ucho usłyszało ciekawą rozmowę.

– To ile za to? – zapytał ksiądz Jerzy.

– Trzysta pięćdziesiąt.

– Tak dużo? Przecież miało być tyle ile ostatnio.

– Ostatnio też tyle było – odpowiedział Krzywy.

– Ależ skąd – wtrąciła Irena. – Poprzednim razem ksiądz płacił ci o sto mniej.

– Od tego mięcha sklerozy dostaliście. Albo tyle, co ostatnio, czyli trzysta pięćdziesiąt, albo księżulo sam po lasach lata i do zwierzyny sobie strzela.

– No dobrze, dobrze – odpowiedział ksiądz Jerzy.

– Pić mi nie dacie? – zagaił Maniek.

– Kawa, herbata? – zapytała Irena.

Maniek parsknął sarkastycznie.

– Przynieś, dziecko, z barku koniak – odezwał się ksiądz Jerzy.

– Może być i koniak – mruknął Maniek. – Tylko w szklanke mi nalej, a nie w byle naporstek! – krzyknął za Ireną. – To czego wy właściwie ode mnie chcecie?

– Po pierwsze dość już mamy dziwnych zdarzeń w naszych Strzelbach, a po drugie musimy z aresztu wyciągnąć niewinnego. To nasz chrześcijański obowiązek – ksiądz Jerzy uderzył w patetyczny ton.

– Chodzi wam pewnie o tego Igora?

– Tak. Wyciągnięcie go z aresztu położy kres wszystkim lokalnym nieszczęściom.

Zaległa chwila ciszy, podczas której Maniek powinien podrapać się po głowie lub przynajmniej z namaszczeniem pogłodzić brodę.

– Tak sądzicie?

– Tak sądzimy – chórem odpowiedzieli ksiądz i Irena, która właśnie wróciła z koniakiem.

– I co ja miałbym niby zrobić, hę? – zapytał Maniek.

– Pójdzie pan na komisariat i opowie wszystko, co feralnej nocy widzieli Zbyszek i Leszek.

Maniek zaśmiał się chrapliwie, po czym dało się słyszeć siorbnięcie, a zaraz potem kaszel.

– O kurwa, ale ostry ten trunek. Leć no, Irka, do tego barku po całą butelczynę, bo widzę, że długo przyjdzie mi tu zabawić.

– Idź, dziecko, to w interesie całej naszej parafii. To jak? – w głosie księdza brzmiało napięcie. – Zgodzi się pan?

– Nie ma mowy.

– Irenka, dziecko, przemów temu chrześcijaninowi do rozumu.

– Maniek, zgódź się, co ci zależy? To dla dobra nas wszystkich!

– Irka, ty mi tu nie wyjeżdżaj z ogółem! Ja swoje zdanie mam i nawet ty nie wpłyniesz na jego zmianę.

– Panie Marianie, tylko w ten sposób możemy uwolnić Bogu ducha winnego Igora, a mordercę wsadzić za kratki – odezwał się ksiądz.

– Niech któryś ryży sam idzie i opowie. Albo niech obaj idą. Na własne oczy widzieli, to ich tajemnica, więc niech niewinną duszyczkę ratują. Dlaczego chcecie mnie w to mieszać?

– Leszek i Zbyszek mieszkają w Bolesławcu. Musieliby się tłumaczyć, co robili w nocy w lesie oddalonym o ponad trzydzieści kilometrów od ich rodzinnego domu. Policja lepiej śpi, jak za dużo nie wie. Troszczmy się o ich sen.

– A ja? Jak ja bym miał im wytłumaczyć moją nocną wędrówkę? Przez nieuwagę sam mogę wpaść. – Krzywy Maniek chyba znów sobie chlupnął, bo ostro zakaszłał.

– Panie Mańku – ksiądz przemówił do niego spokojnym głosem jak do dziecka – niech pan nie ma takiego twardego serca i nam wszystkim pomoże. Powie pan, że się pan u znajomego w sąsiedniej wiosce zasiedział, na przykład w Dębowym Gaju, i dlatego tak późno do domu wracał. Ugadamy jakiegoś bogobojnego parafianina, który to potwierdzi, i wszystko będzie pasowało jak amen w pacierzu. No i jak?

– Czy ja wiem...

– Panie Mańku, tu nie ma się nad czym zastanawiać! Tu trzeba działać natychmiast! Jak nie zrobimy porządku, to niedługo i pan w nocy na łowy nie wyjdzie, bo od tego zwyrodnialca w łeb dostanie! A wie to kto, co takiemu jeszcze po głowie chodzi?

– To niemożliwe, aby mnie zaatakował. Zadźgał Waldka i uciekł. Ot, co zrobił.

– Tak? A potrącony Zbychu? A zamordowany kogut?

– Koguta też uśmiercił? A to sukinkot!

– Tak myślimy, że to on, bo kto inny? – odezwała się Irena.

– Wcześniej w Strzelbach nigdy nie było takiego nawału nieszczęść – powiedział ksiądz.

– Dramaty mi tu odstawiacie, aby porządnie przestraszyć. Za rękę go złapaliście czy jak? Poza tym policji nie lubię tak samo jak ona mnie. Już raz za kłusowanie wyrok miałem, więc teraz łba nie będę nadstawiać.

– Panie Mańku złoty... – Niemal widziałam łzy w oczach księdza. – Niech się pan zgodzi.

– Nie opłaca mi się to.

– Wynagrodzimy sownie – szybko powiedział ksiądz.– To jak? Wchodzi pan w ten interes?

– Muszę się zastanowić.

– Obiecuje pan, że się zastanowi?

– Obiecuję. Aby księżulo lepiej spał, mogę nawet dać słowo.

– Praktykującego chrześcijanina – podsunął ksiądz.

– Słowo dam, ale tylko chrześcijanina. Do miana praktykującego nie pretenduję.

Do samego rana rozmyślałam nad tym, co podsłuchałam. A więc kilka osób wiedziało, kim był morderca, a rudzielcy na własne oczy widzieli moment zbrodni. Możliwe, że potrącenie Zbyszka wcale nie było przypadkowe. Bezwzględny bandzior chciał się pozbyć jednego ze świadków, co byłoby przy okazji skutecznym sposobem zastraszenia drugiego. Zakładając oczywiście, że w ogóle wiedział, że był podglądany. A jaką rolę miał odegrać zabity Leon? To mi już do niczego nie pasowało, bo gdzie był motyw? W każdym razie jedno było pewne – morderca lada moment miał zostać zdemaskowany i to było najważniejsze. Zastanawiałam się, czy nie zagaić Ireny lub księdza na temat morderstwa i ewentualnych nowych tropów. Może rozwiązałyby się im języki i powiedzieliby coś więcej. Jednak porzuciłam tę myśl, bo taka rozmowa podjęta od razu po nocnym spotkaniu z Krzywym Mańkiem mogłaby wydać im się podejrzana.

Dobrze, że zaczęło świtać, bo od tego myślenia rozbolała mnie głowa. Mógł mi pomóc tylko kubek mocnej kawy. Ubrałam się i zeszłam do kuchni. Na suszarce do naczyń leżała umyta szklanka, pewnie ta, z której w nocy Marian pił koniak. Poza delikatnym zapachem alkoholu unoszącym się w powietrzu nie było tam żadnych śladów nocnego gościa. Zresztą kto wie, może gdybym nie wiedziała, że w nocy ktoś w kuchni pił alkohol, to niczego bym nie wyczuła. Zresztą nieważne. W tamtej chwili najważniejsze było napić się kawy. Gdy już wygodnie siedziałam i dmuchałam w gorący napój, do kuchni weszła Irena.

– O, nie śpisz już – zdziwiła się.

– Jadę do Wrocławia po nowego Leona – przypomniałam jej.

– Rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniałam. Czy ten kogut naprawdę musi być aż z Wrocławia? Nie wiadomo, czy taki miastowy się tu zaadaptuje.

– Też o tym myślałam, ale gdybyśmy sprowadziły jakiegoś z okolicy, nie wiadomo, czy nie uciekłby do swojego kurnika.

– Wymyślasz. Gdybyś kupiła z sąsiedniej wioski, na pewno by ci nie uciekł. Mogłaś mi o tym wcześniej powiedzieć, załatwiłabym ci koguta wypisz wymaluj jak Leon i do Wrocławia nie musiałyś jechać.

– Trzeba było o tym pomyśleć, gdy jadłaś z niego zupę – odgryzłam się.

Irena wzruszyła ramionami, wstawiła czajnik z wodą, położyła na stole chleb i wyjęła z lodówki masło, wędlinę oraz żółty ser.

– Zjedz coś. Nim dojedziesz, będziesz głodna.

– Zjem u siostry. Teraz się śpieszę.

– Dziś jest sobota, o tej porze do Lwówka nie ma żadnego autobusu. Jeśli się nie mylę, najbliższy będzie za półtorej godziny.

– Nic nie szkodzi. Wypuszczę jeszcze kury i najwyżej będę łapać stopa.

Dopiłam kawę, parząc sobie przy tym język oraz przetyk, i poszłam. Najpierw do gospodarstwa ciotki, gdzie wypuściłam drób i rzuciłam im trochę ziarna, a potem zaszyłam się w krzakach tuż za przystankiem, wyjęłam komórkę i wybrałam numer Janusza. Niestety nie odbierał. Do przyjazdu autobusu spróbowałam się jeszcze połączyć trzy razy, ale nic z tego nie wyszło. Przypomniałam sobie, jak to rzekomo rozmawiał sam ze sobą. Zacisnęłam zęby i wykręciłam jeszcze raz. I wtedy dopadło mnie irracjonalne przecucie, że mogło mu stać się coś złego. Przecież ostatnim razem, po wydarzeniach na polanie też nagle zniknął i nie odbierał telefonu, a na drugi dzień zadzwonił i okazało się, że jego żona leży w szpitalu. Tym razem Janusz także nie odbierał, dlatego znów zaczęłam się martwić. Na szczęście jechałam do Wrocławia, więc mogłam go odwiedzić i tym samym

rozwiąć wszelkie obawy. No, powiedzmy większość, bo tego, czy do siebie mówił, na pewno nigdy nie wyjaśnię.

Przez całą drogę wierciłam się i niespokojnie spoglądałam a to na zegarek, a to przez okno, jakby w jakikolwiek sposób mogło to przyspieszyć dotarcie do celu. Moje ruchy chyba były zbyt nerwowe, bo kierowca spojrział kilkakrotnie w lusterko, po czym poinformował mnie, że następny przystanek mamy za pół godziny, ale jak nie mogę wytrzymać, to może się zatrzymać choćby i w tej chwili, bo nie chce, abym mu autobus zapaskudziła.

– Nie, dziękuję. Ja po prostu nie mogę doczekać się przyjazdu do Wrocławia – wyjaśniłam.

– Aha. – Kiwnął niepewnie głową, ale widać było, że wcale mi nie wierzy. – Ale na najbliższym postoju sugeruję jednak skorzystać z toalety. Obydwoje poczujemy się pewniej – uśmiechnął się przepaszająco.

Dla świętego spokoju zrobiłam, jak mi radził, i podczas dalszej podróży już mnie tak nie obserwował.

Na dworcu dopisało mi szczęście, bo autobus jadący na osiedle Janusza odchodził za kilka minut. Zadzwoniłam jeszcze do Aluchy, że może się mnie spodziewać za jakąś godzinę. Ostrzegłam, że jestem głodna jak wilk i ma szykować górę kanapek albo przynajmniej zrobić jajecznicę z dwunastu jaj.

Podczas jazdy pięć razy dzwoniłam do Janusza, ale sytuacja nie uległa zmianie. Nadal nie odbierał. Znów zaczęłam się nerwowo wiercić, wydawało mi się, że kierowca jedzie jak ostatni ciamajda, niepotrzebnie zwalnia i zbyt długo stoi na przystankach. Postanowiłam więc wysiąść wcześniej i pobiec do Janusza na skrót, przez chaszczce i niedokończoną

budowę marketu. Dystans pokonałam w rekordowym tempie, w końcu chodziło o życie mojego ukochanego. Janusz mieszkał na dziesiątym piętrze starego wieżowca. Pech chciał, że tego dnia winda była zepsuta. Wysypałam z butów piasek, wzięłam kilka głębszych oddechów i zaczęłam piąć się po schodach. Niestety, z każdym piętrem szło mi gorzej, w końcu zdyszana, przemoczona własnym potem dotarłam pod drzwi mieszkania. Zadzwoiłam. Cisza. Zadzwoiłam jeszcze raz. Dalej nic. Serce mało co nie wyskoczyło mi z piersi i to nie z powodu nieprzewidzianego maratonu, ale z niepokoju o los Januszka. Zadzwoiłam jeszcze kilka razy – nadal nic. Cisza. Nie pozostało mi nic innego, tylko użyć pięści. Zwinęłam obie dłonie i rozpoczęłam łomot, który poniósł się głuchym echem po długim korytarzu. Po chwili za plecami usłyszałam chrzęst zamka i otworzyły się drzwi.

– Co pani tak wali? – Wysoka, zasuszona staruszka patrzyła na mnie złowrogo.

– Nie wie pani, gdzie jest profesor?

– Ten profesor? – Nie dała mi skończyć i wskazała palcem na drzwi, w które tak rozpaczliwie waliłam. – Pani też na zaliczenie? To on nawet w soboty zalicza? – Zamiast odpowiedzieć na pytanie, sama mnie nimi zarzuciła.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że przecież Janusz mówił, że w domu nigdy nie przeprowadza egzaminów. Taką miał zasadę. Nie chciał, aby posądzono go, że za domowymi zaliczeniami może kryć się coś więcej. Zresztą ponoć jego Krycha też tego nie tolerowała. Teraz jednak chciałam tylko ustalić, gdzie był i czy tam, gdzie się znajdował, był cały i zdrowy.

– To wie pani, gdzie jest profesor, czy nie?! – Nie kryłam zdenerwowania.

– Musi to być wyjątkowo pilne zaliczenie, skoro tak się pani denerwuje – prychnęła. – Nie wiem, gdzie jest! Nie interesuję się życiem sąsiadów!

W tym momencie otworzyły się kolejne drzwi.

– Co to za awantura? – Tym razem w drzwiach stanął mężczyzna. Też był w wieku emerytalnym, jednak w przeciwieństwie do suchej staruchy wyglądał na inteligentnego i opanowanego.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, gdzie jest profesor. – Powoli miałam tego wszystkiego dość. Przebiegłam tyle rowów! Rozkopanych, zachwaszczonych, nawet zabłoconych! Wbiegłam na dziesiąte piętro i u samych drzwi natrafiłam na beton. Staruchę, która najwyraźniej interesowała się życiem sąsiadów i najwyraźniej wiedziała, gdzie jest Januszek, lecz tylko z sobie wiadomych powodów nie chciała mi tego zdradzić. Moją nadzieją stał się dystyngowany emeryt.

– Może pan wie? – zwróciłam się do niego.

– Krysiakowa – nieznoszącym sprzeciwu tonem zwrócił się do staruchy – pani na pewno wie, gdzie on wyjechał.

– Wyjechał? – zdziwiłam się.

– Wyjechał, a i owszem – odparła Krysiakowa – ale nie czuję się zobowiązana, aby o tym obcym opowiadać.

– To niech mi pani powie. Na ucho – rzucił propozycję starszy pan i mrugnął do mnie porozumiewawczo. – A ja powtórzę tej oto, przestraszonej i najwyraźniej nieszczęśliwej pannie, bo zaraz nam się tu rozplacze albo, co gorsza, znów zacznie łomotać do drzwi, a tego ponownie znosić nie mam zamiaru.

– I dlatego właśnie nie powiem – Krysiakowa dumnie uniosła głowę. – Żeby plotek nie roznosić.

– Pani Krysiakowa, gadaj pani zaraz, bo sos mi się przypali.

– Nie ma mowy.

– Dobrze więc. Od tej pory niech pani nie liczy, że przyjdę wymienić żarówkę, odetkam zapchany zlew, zmienię uszczelkę w ciekącym kranie, a o pożyczeniu cukru lub soli to niech pani nawet nie marzy!

– To jest szantaż!

– Nie, to jest dbanie o ciszę i spokój. Słucham więc!

– Profesor wyjechał stąd tak kilka tygodni temu. Zabrał ze sobą trzy walizki, więc wyglądało na to, że jedzie gdzieś daleko. Miałam to szczęście, że z tymi walizkami spotkałam go przy windzie, więc zagaiłam, że pewnie za granicę się wybiera. Odpowiedział, że w kraju zostaje i wcale tak daleko nie jedzie. Polskę trochę pozwiedza i na otwarcie roku akademickiego na pewno wróci. Poprosił mnie nawet, abym raz po raz zerknęła na mieszkanko, czy się ktoś podejrzany nie kręci. Jak poprosił, to i zerknęłam. Przychodziły tu młode lale na zaliczenia, ale takie zawsze przychodziły, poza tym wystarczyło im powiedzieć, że profesora nie ma, i sobie szły. Tylko ta jedna się awanturuje. Nie dość, że do pięt tamtych nie dorasta, starawa jakaś jest, to jeszcze łomocze do drzwi, że mało ich nie wyważy. – Spojrzała na mnie z niechęcią. Mało tego, że narobiłam tyle rabanu, to jeszcze mogła przeze mnie stracić wieczną i nieocenioną pomoc nobliwego pana sąsiada.

– Jak to wyjechał kilka tygodni temu? To niemożliwe.

Janusz, owszem, był przez jakiś czas w Starych Strzelbach, ale ostatnio miał przecież mieszkać we Wrocławiu, bo Krycha wylądowała w szpitalu! Przynajmniej tak twierdził.

– To niemożliwe – powtórzyłam głośniej. – On musiał tu być, przynajmniej w ostatnim czasie, bo ma żonę w szpitalu.

– Żonę? – przeciągle zdziwiła się Krysiakowa.

– Żonę? – równie mocno zdziwił się nobliwy pan.

– Tak, żonę. O co wam chodzi? – ze zdenerwowania zwróciłam się do nich na ty, ale w ferworze dyskusji przeszło to niezauważone.

– Ja tam już nie pamiętam, jak ta jego żona wyglądała. Jak jej było? – zapytał starszy pan.

– Krycha. To znaczy Krysia – podsunęłam.

– O, właśnie tak. Krystyna. – Starucha plasnęła w dłonie. – Elegancka była. Zostawiła go dla innego. Zresztą nie dziwię się jej, bo jak długo można znosić notoryczne zdrady? Tak zwane zaliczenia. Hi, hi...

– Pani Krysiakowa, oni będą już z pięć lat po rozwodzie, nie?

– Pięć lat i sześć miesięcy. Dzieciaka też ze sobą zabrała, żeby na wyskoki ojca nie patrzył i czasem na przyszłość z nich przykładu nie czerpał.

Ze zdumienia wytrzeszczyłam oczy. Czy na pewno mówiliśmy o tym samym człowieku?

– Niemożliwe! Janusz zawsze bardzo dbał o rodzinę!

– Tak pani powiedział?

– Oczywiście! Nieustannie mi powtarzał, że rodzina to świętość i nie można jej podeptać.

– Biedakowi chyba się w głowie pomieszało. – Nobliwy spojrzął na Krysiakową.

– Gadał swoje i robił swoje – machnęła ręką. – Niech no panusia nam teraz powie, dlaczego go tak rozpaczliwie szuka? Zaliczyć go chce? Hę? – zachichotała lubieżnie.

Spąsowiałam.

– Wstydzilaby się pani! Taka stara, a taka... taka... – szukałam odpowiedniego słowa. – Rozpustna! Żeby takie rzeczy insynuować?!

– Kobieto! Ja już rozpustna nie jestem. Nie te lata. Zobaczysz, kochanieńka, jak będziesz w moim wieku, to ci tylko takie insynuacje wraz z fantazjami pozostaną. – Znowu zachichotała.

– To już pani wszystko wie o profesorze – powiedział dystyngowany, skłonił się uniżenie i zatrzasnął za sobą drzwi.

Starucha świdrowała mnie jeszcze swymi małymi oczkami, czekając pewnie, aż jej odpowiem, ale stwierdziłam, że najlepiej będzie nie wdawać się z nią w jakiegokolwiek dyskusję. Odwróciłam się i nie mówiąc nawet „Do widzenia”, poszłam do windy, licząc, że już działa. Całą energię straciłam na poszukiwanie Janusza i nie dość, że go nie znalazłam, to jeszcze dowiedziałam się samych okropności. W drodze do siostry pomstowałam na ukochanego i zastanawiałam się nad przeprowadzeniem z nim poważnej rozmowy.

– A ty co masz taką kwaśną minę? – W progu stała Alucha i wycierała ręce w fartuch. W mieszkaniu pachniało ciastem i chyba zupą. Panowała cisza. – Moja banda poszła na basen. Nie mogli się ciebie doczekać i rozrabiali, jakby w nich diabeł wstąpił, więc ich wygoniłam. No wejdź wreszcie do środka, mam dla ciebie tę obiecaną furę kanapek.

Nie odzywając się, weszłam do kuchni, mojego ulubionego miejsca, i usiadłam przy stole. Byłam w podłym nastroju.

– Natalia, co z tobą? – Siostra postawiła przede mną kanapki, na które nawet nie spojrzałam.

– Nic. Jestem zmęczona. Macie tego koguta?

– Tak. Na balkonie.

– Nie wyfrunie stamtąd? – zapytałam odruchowo, nadal myśląc o Januszu.

– Nie. Siedzi w klatce. Trzymamy go tam, bo po pierwsze na dworze jest ciepło, a po drugie wydaje mi się, że nieco śmierdzi. Chcesz go zobaczyć?

– Jak to śmierdzi? – Do tego wszystkiego brakowało mi tylko problemów z kogutem. – Przecież miał być taki jak Leon. A tamten nie śmierdział.

– Wąchałaś go, że jesteś tego pewna?

– Nie.

– Przecież każda kura czy kogut śmierdzi.

– Niech ci będzie. Daj mi coś do picia.

– To nie chcesz go zobaczyć?

– I co z tego, że go zobaczę? Czy to coś zmieni? Wezmę go, nawet jak będzie podobny do... do... – zamilkłam na chwilę, nie mogąc znaleźć odpowiedniego porównania. – Czy mam inne wyjście?! Dasz mi pić czy mam iść do marketu?! – Naskoczyłam na biedną siostrę, bo zawsze prościej i bezkarniej jest wyżyć się na kimś bliskim.

Wyjęła z szafki mineralną, naląła do szklanki, a butelkę postawiła na stole. Duszkciem wypiałam wodę, po czym dolałam nową porcję i wypiałam równie łapczywie jak poprzednią.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nic – burknęłam. – A co ma się dziać? Gorąco jest, a wiesz jak w spiekotę podróżuje się autobusem. Wykończona jestem i tyle. A do tego wszystkiego mam wezwanie na przesłuchanie.

– W jakiej sprawie?

– Nie mam pojęcia. Albo w sprawie koguta, albo tego, co zaszło na polanie. Jeden pies.

– I tak się tym przejmujesz?

– W zasadzie to nie, ale już mam dość tego chodzenia na policję. – Łypnęłam na Alę okropnym wzrokiem, aby nie miała wątpliwości, że to przez nią. I przez szwagra.

– Dzięki temu trochę się rozerwiesz – starała się mnie rozweselić, ale żart był kiepski.

Nie odezwałam się. Nie tego dnia.

– Jeśli nie jesz kanapek, to może chcesz sernika? – zagaiła.

– Nie.

– Od kiedy ty nie jesz sernika?

– Czy powiedziałam, że w ogóle nie jem? Po prostu dziś nie mam ochoty.

– Chyba sobie nie pogadamy. – Alucha się naburmuszyła.

Ostatnią rzeczą, której mogłam teraz pragnąć, była rozmowa z siostrą. Moje myśli krążyły wokół sprawy z kochankiem. Już się o niego nie niepokoiłam. Ja dyszałam żądzą zemsty! Marzyłam, aby go dopaść i ostrymi pazurami podrapać te wypiełgnowane policzki! Nie było to jednak możliwe, bo ja nigdy nie miałam szponiastych paznokci, gdyż kochaś mi na to nie pozwalał. Cwaniak! Ale te jego lalunie od zaliczeń pewnie sobie niczego nie żałowały. Ani tipsów, ani litrów kolorowych lakierów, ani wysokich obcasów!

– Natalia, co się stało? – Ala usiadła obok mnie i chciała chwycić za rękę, ale ją odsunęłam. Przypomniało mi się, jak kilka tygodni temu moja siostra męczyła się i motała, a ja chciałam wydusić z niej, co ją gryzło. A gryzła ją wtedy chęć wywalenia mnie na wieś.

– Kurwa mać! Zmęczona jestem – wycedziłam przez zęby.

– Kurwa? Mać? Od kiedy to przeklinasz? Gadaj, co się stało, ale to już!

Nie chciałam z nią o tym rozmawiać, aby nie usłyszeć: „A nie mówiłam?”. Najpierw sama musiałam wszystko wyjaśnić lub wykrzyknąć do źródła moich problemów, które kochałam bezkrytycznie od tylu lat.

– Dawaj tego koguta. Wracam na wieś.

Alicja wzruszyła ramionami i poszła na balkon. Przyniosła sporą klatkę, która, jeśli mnie oczy nie myliły, była klatką do przewożenia kotów, ale kto powiedział, że nie mogły w niej podróżować i koguty?

– Ile ci za niego płacę?

– Nic.

– Masz rację. W końcu ten wyjazd do Strzelb był waszym pomysłem i jeszcze tego by brakowało, abym płaciła za nie mój drób.

Byłam już w progu, gdy siostra, chcąc mnie jeszcze zatrzymać, zagaiła:

– Nie poczekaś na dzieciaki? Zaraz wrócą. One tak za tobą tęsknią.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim wyrzuciliście mnie do Strzelb.
Trzasnęłam drzwiami i tyle mnie widziała.

W autobusie z przewiezieniem koguta oczywiście był problem. Kierowca narzekał, że generalnie w ogóle nie zezwala na przewożenie zwierząt, a już zwłaszcza takich śmierdzących. Nie wiem, czym karmiła go Ala, bo kogut miał najnormalniejsze w świecie rozwolnienie. Dopiero gdy dyskretnie podsunęłam kierowcy dwadzieścia złotych, łaskawie pozwolił mi usiąść na ostatnim siedzeniu, z dala od reszty pasażerów.

Nowy Leon, z rozdziawionym dziobem, dyszał przyczajony w kącie klatki i łypał przerażonymi oczkami. Klatkę wcisnęłam między siedzenia, upewniłam się, czy była stabilna, i zabrałam się do przypuszczania ataku na Janusza. Oczywiście nie odbierał. Oczyma wyobraźni widziałam go, jak zalicza te swoje lalunie, pije z nimi szampana, śmieje się ze mnie i brzydtko obmawia. Od wyciskania numeru zdrętwiał mi palec. Przytuliłam się do szyby i zacisnęłam powieki. Szczypało mnie pod nimi jak diabli. W sumie nic dziwnego, bo byłam niewyspana. Zaczęłam już zapadać w płytki sen, gdy zadzwonił telefon. To był on. Zdrajca.

– Wiem wszystko! – rzuciłam w słuchawkę i się rozłączyłam.

Po chwili znów rozległ się sygnał. Odebrałam i krzyknęłam:

– Nie gadam z tobą!

– Poczekaj, nie rozłączaj się!

– Masz rację, nie rozłączę się, tylko powiem ci, co o tobie wiem: kurwiarz jesteś, matacz i menda! – wrzeszczałam do słuchawki, aż siedzący z przodu pasażerowie zaczęli zerkać w moją stronę. Miałam to jednak gdzieś i dalej bluzgałam: – Dowiedziałam się o tobie wszystkiego, ty podły kłamco! Po pierwsze jesteś pięć lat po rozwodzie, po drugie w swoim

mieszkaniu notorycznie zaliczasz studentki, to znaczy studentkom, zresztą nieważne, ale zawsze mi wmawiałeś, że pod własnym dachem nigdy tego nie zrobisz! Po trzecie to od dłuższego czasu nie ma cię w domu, ja nie mogę cię nigdzie złapać, nie wiem gdzie jesteś, z kim i co robisz! Chora żona! Wyrostek! – prychnęłam do słuchawki. Kilkoro pasażerów, nie zważając na wydobywający się z klatki zapach, przesiadło się bliżej mnie. Pewnie chcieli lepiej słyszeć.

– Uspokój się – powiedział Janusz opanowanym głosem.

Nie spodziewałam się tego. Oczekiwałam zaskoczenia, przeprosin albo krzyków, a tu nic z tego. Spokój i opanowanie. Zdębiałam i zaniechałam ponownego rozłączenia się.

– Skąd ty to wiesz? – zapytał.

– Byłam u ciebie we Wrocławiu. Rozmawiałam z twoją chudą sąsiadką i takim dystyngowanym panem. Ja ciebie szukałam jak wariatka, a oni mi takich strasznych rzeczy naopowiadali, że... że najchętniej bym cię zabiła!

– Zrób tak! – syknęła czarna grubaska, która na początku podróży siedziała na miejscu tuż obok kierowcy, a teraz znalazła się naprzeciw mnie.

– Niech tego nie robi – odpowiedział jej chłopak w czapce z daszkiem. – Mendę zabije, a za człowieka będzie siedzieć. Ze dwadzieścia pięć dostanie jak w mordę.

– Jak powie, że działała przed okresem, to może się skończyć tylko na zawiasach – ze znanstwem odezwała się gruba.

Janusz milczał przez chwilę, po czym westchnął i zapytał:

– Gdzie ja mieszkam?

– Słucham?

– Podaj mi mój adres! – zażądał.

Chyba z tego zaskoczenia w głowie mu się pomieszało.

– Wrocław...

– Oczywiście, a jak dalej?

– Osiedle Młodych, blok F, mieszkania sto dziesięć.

– Świetnie. A w windzie wcisnęłaś na pewno dziesiątkę? Na dobrym piętrze wysiadłaś?

– Niczego nie wciskałam! Biegłam do ciebie po schodach, bo nie działała cholerna winda!

– I jesteś pewna, że dobiegłaś na dziesiąte piętro? Jak dzwoniłaś do drzwi, to spojrzęłaś na numerek na drzwiach?

Zaskoczył mnie. Byłam taka zmęczona, że co do tego nie mogłam być pewna.

– Właściwie to nie wiem...

– Nie wiesz? Więc ja ci powiem. Trafiałaś na inne piętro. A wiesz na które? Na dziewiąte.

– A skąd ty niby to wiesz? – rzuciłam zadziornie.

Janusz westchnął.

– Piętro pode mną też mieszka profesor. Nazywa się Kluska. Nieraz miałem z tym problemy, bo listonosz listy do złych skrzynek wrzucał. Z tego, co wiem, właśnie ten Kluska został porzucony przez żonę i pasjami zalicza w domu studentki. A co do chudej sąsiadki, zdaje się, że mieszka tam taka. Kilka razy widziałem ją w osiedlowym sklepiku. Nacia, pomyłeczka ci się zdarzyła. Oj, pomyłeczka.

Zamurowało mnie. Żywcem. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Dopiero co byłam bliska śmierci z rozpaczy lub morderstwa w afekcie, a tu nagle zostałam zmuszona zweryfikować punkt widzenia.

– Ale zaraz, Janusz, oni mówili, że jego żona ma na imię Krystyna! Jak to wytłumaczysz?! – znów się nakręciłam.

– Nacia, cielątko – Janusz nadal był spokojny, ba, powiedziałabym nawet, że był bardziej spokojny niż wcześniej – to również jest straszliwy zbieg okoliczności! Ja mam Krystynę i tamten ma, a w zasadzie miał. W latach pięćdziesiątych niemal co druga dziewczynka otrzymywała na imię Krystyna.

– Naprawdę?

– Oczywiście, cielątko.

„Cielątko” to była taka pieszczotliwa forma głuptasa. Ponieważ Janusz nigdy, przenigdy nie klął ani nie używał wobec mnie inwektyw, a zdarzyło się, że zrobiłam lub powiedziałam coś wyjątkowo głupiego (tak jak w tamtej chwili) właśnie tak się do mnie zwracał: „cielątko”.

– Chyba ją zbałamucił – powiedziała brunetka do młodego i machnąwszy lekceważąco ręką, wróciła na siedzenie obok kierowcy.

Młody skinął jej głową i założył na uszy słuchawki.

– To znaczy, że to była pomyłka? I ty byłeś dziś rano w domu, podczas gdy ja awanturowałam się piętro niżej? – wyszeptałam przerażona tym, że przez pomyłkę tak paskudnie potraktowałam siostrę.

– Nie, nie było mnie w domu – odpowiedział.

– Ach, byłeś u żony w szpitalu – podsunęłam ze zrozumieniem. – Dalsze komplikacje z wyrostkiem – wyjaśniłam sama sobie.

– Nie, nie byłem u niej.

– Na zakupach? – rzuciłam.

– Nie. Chciałem zrobić ci niespodziankę. Jechałem do ciebie, cielątko. Do tych twoich Strzelb, podczas gdy ty mnie szpiegowałeś we Wrocławiu! – zaczął się na mnie drzeć jak dawniej. Wszystko wróciło do normy.

– Jesteś tam? W Strzelbach? – zapytałam z niedowierzaniem.

– A tak!

– Ale dlaczego nie zadzwoniłeś? I dlaczego nie odbierałeś telefonu? – zupełnie zapomniałam go o to zapytać.

– Bo się rozładował.

– Ach... przepraszam...

– Przepraszam! Przepraszam! W tyłek sobie wsadź swoje przeprosiny! Najpierw na mnie krzyczysz, oskarżasz o bzdury, a teraz przepraszasz!

– Janusz... nie złość się.

Nie powiem, ucieszyłam się, że mój świat rozsypał się tylko na chwilę i w cudowny sposób przybrał dawną formę. Jednak nie potrafiłam tak po prostu i definitywnie usunąć z pamięci owej dziwnej pomyłki, która zdaniem Janusza miała miejsce. Umieściłam ją obok jego szorstkości, niemiłego traktowania i incydentu z gadaniem ze sobą na temat kawy. Tymczasem Janusz wykrzykiwał do słuchawki:

– Nie złość się?! Ja, cielaczku, jestem wściekły! Parkuję w lesie, komary mnie prawie zjadły i niedługo muszę wracać do domu!

– Nie zdążymy już się zobaczyć? – zapytałam żalosnym głosem.

– Gdzie teraz jesteś?

– W autobusie. Za piętnaście minut będziemy we Lwówku.

– Będziemy? A z kim ty tam jedziesz?

– Z kogutem – westchnęłam i pomyślałam, że zaraz zrobi z tego problem. Nie myliłam się.

– Rany boskie, ja z nią nie wytrzymam. Z jakim znowu kogutem?

– Przecież mówiłam ci, że Leon został zabity. Ciotka niedługo wychodzi ze szpitala i nie może się dowiedzieć, że jej pupilowi stało się coś złego.

– I ty koguta wieziesz aż z Wrocławia? Z miasta na wieś? Zdrowa ty jesteś?

Wyjaśniłam mu krótko, dlaczego tak się stało.

– I znów będziesz uziemiona, przy starej wariatce, jej nowym kogucie i nie wiadomo przy czym jeszcze. Czy ty kiedykolwiek zamierzasz wrócić do domu?

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Ciotka sama wspomniała, że już niedługo ją wypuszczą i będę mogła wracać.

– Aha – odpowiedział Janusz przeciągle.

– Nie cieszysz się?

– Tak, oczywiście – odparł zdawkowo. – Posłuchaj, skoro jesteś tak blisko Lwówka, to ja tam zaraz podjadę. Odbiorę cię z dworca i podrzucę do Strzelb.

– Świetnie, bo ten kogut tak śmierdzi, że... – powiedziałam, ale nie usłyszał już tego, bo się rozłączył.

Janusz jak zapowiedział, tak zrobił. Czekał na mnie we Lwówku, trochę zły, trochę naburmuszony, czyli taki jak zawsze. Oczywiście nie pozwolił mi wstawić klatki z Leonem do auta, tylko bez słowa otworzył bagażnik i cierpliwie przeczekał, aż wyczerpią mi się argumenty za tym, by Leon jechał na tylnym siedzeniu. Nic z tego. Leon, ku swemu przerażeniu, został zatrzaśnięty w ciemnym i dusznym bagażniku, a ja przez całą drogę zastanawiałam się, czy to przeżyje. Janusz prowadził w milczeniu. Oczywiście, mimo panującego upału, miał nieodzowne rękawiczki. Ale za to jakie! Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie były to jego stare, które nosił od lat, mocno znoszone cielęce i czarne, ale nowe z jasnej irchy.

– O, masz nowe rękawiczki – zauważyłam. – Dlaczego zmieniłeś? Przecież sam mówiłeś, że takich dobrych jak tamte włoskie już nigdzie nie dostaniesz. A tu nagle ircha, i to jasna?

– Tylko krowa zdania nie zmienia – mruknął. – Poprzednie nie nadawały się już do noszenia. Któregoś dnia po prostu rozsypały mi się w rękach.

– Dawno ci mówiłam, żebyś je zmienił. Kto to widział, aby profesor nosił takie starocie?

Nie odezwał się. Patrzyłam na jego pooraną zmarszczkami twarz, profil z za długim nosem i siwe, starannie przystrzyżone włosy. Rzeczywiście był niemiłosiernie pogryziony przez komary, a poza tym, co mnie zdziwiło, ładnie opalony.

– Gdzie się tak opaliłeś?

– Na słońcu. Przecież wiesz, że nie uznaję wynalazków typu solarium czy krem, jak mu tam, brązujący.

– Oj, nie o to mi chodzi. Opalałeś się na balkonie czy może przed blokiem? – To ostatnie oczywiście było żartem, bo wiedziałam, jak bardzo zżymał się na sąsiadów opalających się na leżakach tuż przy wejściu do klatki.

– Oszalałaś? Krysia chora, więc ja muszę zajmować się działką. Wiesz, szczypiorek, marchew i takie tam.

– Aha – kiwnęłam głową.

– Gdzie cię podwieźć? – zapytał, po czym sam sobie odpowiedział. – Najlepiej tam, gdzie mnie nikt nie zauważy. Pod dom ciotki?

– Tak, muszę zostawić w kurniku nowego Leona.

– Słuchaj – Janusz zmarszczył czoło – przez najbliższe dwa tygodnie, może dłużej, nie będziemy mogli się kontaktować.

– Dlaczego? – Uniosłam się na siedzeniu, a w głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka, mimo to zapytałam: – Aha, Krysia wychodzi ze szpitala, tak?

– Nie, jadę na taką małą, ale bardzo intensywną konferencję. Wiesz, od rana do wieczora wykłady, dyskusje...

Konferencję?!

– A wieczory? Wtedy chyba będziesz miał wolne?

– Ależ skąd. – Nie patrzył na mnie, tylko marszczył i marszczył to swoje czoło. – Na kolacjach też będziemy toczyć ściśle naukowe dyskusje. Nie ma mowy o żadnych telefonach. Zresztą nawet jak zadzwonisz, i tak nie odbiorę, więc się nie trudź.

Przygryzłam wargi i zastanawiałam się, czy wieczorami, gdy już wróci do pokoju, też będzie toczył dyskusje, ale już sam ze sobą.

– A kto będzie odwiedzać twoją Krychę? To znaczy Krysię? – poprawiłam się szybko.

– Jej matka. Dziś wieczorem przyjedzie z Torunia. Muszę ją odebrać z dworca.

– Matka? Myślałam, że twoja teściowa zmarła dawno temu?

– To źle myślałaś. Nie jest to kobieta, za którą przepadam, więc o niej nie mówię. Zresztą trudno, żebym na randkach z kochanką rozwodził się na temat teściowej. No chyba, że tego chcesz...

– Nie chcę. Przestań.

Zamilkłam i odwróciłam głowę. Konferencja. Wcale mi się to nie podobało.

– Chyba nie jest to taka mała konferencja, skoro wyjeżdżasz aż na dwa tygodnie. Albo i dłużej – zauważyłam sarkastycznie.

– Nie życzę sobie, abyś demonstrowała mi tu humory! – Rzucił na mnie przelotne spojrzenie i nasze oczy wreszcie się spotkały. Moje, mimo wszystko, nadal ciepło szczere oraz jego, zimne i uważne. Ciarki przeszły mi po plecach.

– Jedziemy aż w Bieszczady. Wszystko ci teraz pasuje?

Powoli skinęłam głową.

– Ale dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam? – nie dawałam za wygraną. – Przecież też mogłam napisać referat i razem byśmy pojechali – powiedziałam z jawną pretensją.

– Otóż to. Celowo ci nie powiedziałem, bo nie chciałem z tobą jechać.

Westchnęłam z rezygnacją. No tak. Jak zwykle ta jego daleko posunięta ostrożność.

– Nie masz się o co boczyć, Nacia. Mała rozłąka dobrze robi każdemu związkowi. Jak wrócę, bardziej mnie docenisz.

– Czy ja ciebie kiedykolwiek nie doceniałam?

– He, he, he – zaśmiał się gardłowo. – A ten wyjazd do Strzelb? Wyjechałaś bez jednego słowa i dawałaś się obskakiwać, a to temu zamordowanemu wieśniakowi, a to temu, który siedzi teraz za kratkami. Przyznaj się, pasuje ci takie życie.

– Janusz! – Byłam oburzona. – Co ty wygadujesz?! Waldek sam się do mnie przyczepił, a z Igorem swatali mnie ciotka, siostra i szwagier. Ja tego nie chciałam.

– Fiu, fiu – zagwizdał pod nosem. – A ja teraz, to znaczy – spojrzał na zegarek – za jakieś szesnaście godzin jadę w Bieszczady, a ty tu sobie siedz. Ale uważaj, jeśli koło ciebie znów zacznie się ktoś kręcić, dowiem się o wszystkim, a wtedy – przejechał dłonią po szyi – ciach i po adoratorze!

Spojrzałam na niego z przerażeniem.

– Zwariowałaś?

– Ale ty jesteś sztywna. Żartowałam przecież.

– Bardzo śmieszne. A co gdy już wkrótce ciotka pozwoli mi wracać do domu?

– To wrócisz. Autobusem, pociągiem czy nawet stopem. Jak wolisz.

– W takim razie możliwe, że zobaczymy się dopiero we Wrocławiu?

– Nie inaczej.

– I w sumie nie wiadomo kiedy.

– Nie wiadomo.

Janusz zajechał na ciotczyne podwórko i zaparkował za domem wśród bzów.

– Daj buzi i uciekaj – Jedną ręką złapał mnie za kolano, a drugą przytrzymał za głowę. Jego pocałunek miał słony smak. Ręka w skórzanej rękawiczce powędrowała ku majtkom.

– Zdejmij te cholerne rękawiczki – powiedziałam.

Nie musiałam mu tego dwa razy powtarzać. Janusz zdjął nie tylko rękawiczki. Kochaliśmy się znów pod krzakami bzu, tylko tym razem w jego aucie. Był szybki i gwałtowny, a ja oddawałam mu się z niechęcią i bez przekonania. Po wszystkim bez słowa wciągnął spodnie i poprawił w lusterku zmierzwione włosy.

– Zadzwonisz? – zapytałam, gdy doprowadziłam się do porządku.

– Nie wiem. Bierz z bagażnika tego swojego koguta i znikaj. Do zobaczenia. – Zapuścił silnik.

Posłusznie wysiadłam i wydobyłam z bagażnika Leona. Nie sprawiał już wrażenia przerażonego, tylko wściekłego.

– Do zobaczenia... – pomachałam. W odpowiedzi zatrąbił krótko i tyle go widziałam.

Postałam jeszcze przez chwilę na podwórku, zastanawiając się nad przebiegiem naszego spotkania. No tak, z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam mu powiedzieć, że czeka mnie jeszcze jedno przesłuchanie i że podsłuchałam rozmowę Krzywego Mańka z księdzem Jerzym. Zresztą, nie byłam taka pewna, czy Janusza w ogóle by interesowała obława na domniemanego mordercę. Tak bardzo był przejęty uczestnictwem w konferencji.

Poszłam do kurnika i wypuściłam Leona. Dyszał wściekle i od razu rzucił się do korytka z wodą. Kury, widząc intruza, w dodatku takiego nerwowego, rozpierzchły się na wszystkie strony. Postanowiłam odpocząć nieco u księdza, wykąpać się, coś zjeść, a potem wrócić i sprawdzić, jak sprawuje się nowicjusz.

– Późno wróciłaś – zauważyła Irena.

Jak zwykle tkwiła na posterunku, czyli w kuchni. Coś gotowała i zapewne znów piekła, bo pachniało słodkościami. Zdziwiło mnie to, bo zaledwie wczoraj piekłyśmy szarlotkę i nie został po niej ani ślad.

– Tak wyszło. W końcu sobota, te autobusy jeżdżą jak chcą. To znaczy jeżdżą zgodnie z rozkładem, tylko rzadziej niż normalnie, a częściej niż w niedzielę. – Aby nie mówić prawdy i nie musieć kłamać, zaczęłam pleść trzy po trzy.

Irena spojrzała na mnie uważnie.

– A gdzie nowy Leon?

– W kurniku. Jak odpocznę, pójdę zajrzeć, czy się zaadaptował. Zresztą i tak musiałabym zamknąć kurnik.

– W lodówce masz obiad. Podgrzać ci?

– Nie, dzięki. Sama to zrobię. Najpierw pójdę się wykapać.

Począpałam na górę. Byłam wykończona. Tyle zdarzeń jednego dnia to zdecydowanie za dużo jak na moją biedną głowę. Położyłam się na chwilę. Dobrze, że pobyt w Strzelbach dobiegał końca. Wreszcie wszystko się unormuje. Skończę pisać doktorat i, jeśli zacznę pracę na uczelni, będę mogła wyprowadzić się od siostry. Musiałam też podjąć decyzję co do dalszego kształtu mojego związku z Januszem. Wiedziałam, że ślub nie wchodził w rachubę, bo on go nie chciał. A ja, czy nadal chciałam z nim być? Czy na pewno tego oczekiwałam od ukochanego? Takiego bycia razem na pół gwizdka? Bardzo bolał mnie też fakt, że na konferencję zdecydował się jechać beze mnie. Czy ja w Strzelbach siedziałam dla

własnej przyjemności? Nie mogłam odmówić szwagrowej prośbie choćby z tego względu, że miałam wobec niego dług. W końcu przez cały czas mieszkałam w jego i Aluchy mieszkaniu! Nie mogłam, ot tak, powiedzieć: „Wypchajcie się. Ja od was biorę wszystko, a wy ode mnie nic nie dostaniecie”.

Skoro ciotka Rafała potrzebowała pomocy – przynajmniej tak twierdziła – a ja byłam jedyną osobą, która mogła ją wspomóc, naturalnie, że nie mogłam odmówić. Przez wzgląd na szeroko rozumiany całokształt!

Żeby przerwać te ponure rozmyślenia, wzięłam z półki pierwszy lepszy horror – wybór padł na *Sklepiak z marzeniami* – i poszłam do łazienki. Napuściłam wodę do wanny i oddałam się lekturze.

Po obiedzie, który zarazem był moją kolacją, poszłam do kurnika. Irena bardzo chciała zobaczyć nowego koguta, ale ksiądz Jerzy poprosił ją o pomoc przy sprzątnięciu kościoła, więc musiała zostać. Trochę się bałam przebywać sama na ciotczynym podwórzu po zmroku, jednak nie miałam wyjścia.

Szybko przemierzyłam drogę i wkroczyłam na podwórze. Obrzuciłam je czujnym spojrzeniem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Było jeszcze zupełnie jasno, więc kury chodziły sobie to tu, to tam, dziobiąc ziarno i skubiąc trawę. Nigdzie jednak nie widziałam nowego Leona.

Weszłam do kurnika. Tam też go nie było. Cholera z takim kogutem! Jak nic gdzieś polazł! Albo... ciarki przebiegły mi po grzbiecie... ktoś go powiesił?! Szybko odpędziłam tę myśl i wyszłam na zewnątrz. Rozejrzałam się wokół. Gdzie go szukać? Zastanowiłam się, co bym zrobiła na jego miejscu. Hm, gdyby nie podobało mi się w kurniku, to może wskoczyłabym na jeden z rosnących w pobliżu krzaków? Przeszukałam więc wszystkie. Nic. A co, jeśli miastowy kogut dał się podejść lisowi? W takim razie moje poszukiwania nie miałyby sensu, no chyba że chciałabym znaleźć jego dziób, pazury czy wyrwane pióra. Szybko wyrzuciłam z głowy i ten pomysł. Nie mogłam przecież stracić nadziei, że kogut żył.

Popychana tą myślą wyszłam na ulicę. Jeśli nie podobało mu się w nowym miejscu, mógł na przykład podreptać do kurnika sąsiadów. A co, jeśli swe ruchliwe kogucie stópki skierował do lasu? Zawróciłam. Jeśli Leon grzał się w jednym z sąsiednich kurników, był bezpieczny

i w związku z tym nic nie mogło mu się stać, gdybym popytała o niego we wsi nawet jutro. Gorzej, jeśli postanowił zwiedzić las.

Podwinęłam nogawki dżinsów i ruszyłam na pole. Nie uszłam połowy drogi, kiedy w oddali, tuż na skraju lasu, zauważyłam poruszający się punkt. Mały i jasny. Z pewnością było to jakieś zwierzę. Kot, pies albo i nawet sam Leon. Przyśpieszyłam kroku. Im byłam bliżej, tym kształt stawał się coraz bardziej podobny do poszukiwanego. Jak gdyby nigdy nic, dziobał sobie coś w trawie, od czasu do czasu cicho, po koguciemu, podśpiewując. Żeby go nie spłoszyć, zwolniłam kroku. Mimo to zauważył mnie. Pomny karkołomnej podróży w bagażniku, ruszył przed siebie. Im bardziej przyśpieszałam, tym bardziej przyśpieszał i on.

– Cholerny drób – mruknęłam pod nosem. – Przecież on idzie prosto na bagna!

Całe szczęście, że było jeszcze widno. Po ciemku na pewno nie zapuściłabym się za nim w tę okolicę, ale i tak nieco zwolniłam kroku. Im bardziej on dreptał w zakazanym kierunku, tym bardziej ja zwalniałam. Mimo wszystko nie mogłam go stracić! Był tak podobny do prawdziwego Leona, a ciotka przecież miała lada dzień wyjść ze szpitala.

– Leon! – krzyknęłam za nim w nadziei, że się zatrzyma. Jednak on tylko przyśpieszył. Ale ze mnie idiotka. Czego mogłam się spodziewać po głupim kogucie? Że niczym pies zamerda ogonkiem i radośnie do mnie podbiegnie? Kogut uparcie, bez przerwy, darł przed siebie.

Przystanęłam. Gra nie była warta świeczki. Pomijając kwestię duchów, istniało jeszcze jedno zagrożenie – takie, że się utopię. Zwierzak był lekki i jemu w żadnym razie na bagnach to nie groziło. Gorzej ze mną. Mimo wszystko życie było mi jeszcze miłe.

Postanowiłam wracać. Najwyżej ciotka wyjdzie ze szpitala, zobaczy, że nie ma jej pupila, dostanie zawału i wreszcie wszystko się skończy.

Pogodzona z tą myślą zawróciłam w kierunku domu. Nagle usłyszałam warkot furgonetki. Ten dźwięk silnika mógł należeć tylko do jednego auta. Obejrzałam się za siebie. Szybko schowałam się w krzakach i przykucnęłam.

Za bagnem była polana, na niej kilka drzew, a wśród nich, jeśli mnie oczy nie myliły, coś na kształt małej chatki. Furgonetka podjechała do niej i z auta wysiadł rudy Leszek. Wszedł na pakę, zdjął z niej jakieś pudło i wniósł do chatki. Zrobił tak jeszcze kilkakrotnie, po czym wsiadł do samochodu i odjechał drogą, którą przybył.

Nie wiedziałam, co robić. Nowy Leon beztrósco baraszkował obok szopy, podczas gdy ja biłam się z myślami, podejść bliżej czy nie? Od kucania rozboleły mnie nogi, więc padłam na kolana. Co robić, co robić? – myślałam gorączkowo. Targały mną wątpliwości: a to miałam ochotę powędrować w kierunku domu, a to w kierunku dziobiącego koguta. Ciemno jeszcze nie było, a z moczarów nic się nie wynurzało ani mnie tam nie wołało, więc wydawało mi się, że spokojnie mogę podążyć w kierunku szopy. Na kolanach oczywiście, aby czasem mnie ktoś nie zobaczył. Obojętnie kto – czy to żywy Leszek, czy martwy Herr wraz z jego Heleną. Dodatkowo za ruszeniem w tamtym kierunku przemawiał fakt, że dopiero co widziałam tam rudzielca, który stwarzał wrażenie, jakby był stałym bywalcem podmokłych terenów. Skoro więc on nie bał się bagien, to ja też nie powinnam. Mimo to duszę i tak miałam na ramieniu. W końcu podjęłam ostateczną decyzję – idę! Odczekałam jeszcze chwilę, aż umilkł głos silnika, i na klęczkach ruszyłam w kierunku domku. Bez trudu odnalazłam prowadzącą tam drogę. Szopa była malutka i zbudowana z byle jak zbitych desek. Liczyłam, że podchodząc bliżej, dowiem się, jakie paczki schował tam rudzielec, ale zupełnie nie przyszło mi do głowy, że mógł zamknąć drzwi na kłódkę. Potężną, wielką kłódkę, której cena z pewnością

przewyższała wartość szopy. Oczywiście w żadnej ze ścian nie było ani jednego okna, więc odpadała możliwość podglądnięcia. Licząc na łut szczęścia, obeszałam szopę w poszukiwaniu ewentualnych dziur, do których mogłabym przyłożyć oko. Nic. W pobliżu dreptał Leon i coś dziobał. Ktoś, prawdopodobnie jeden z rudzielców, porzucił na polanie pudełko z resztkami wafelków. Leżało zmięte w pobliskich krzakach, pewnie zawleczone tam przez leśne zwierzęta. Kogut, niczym najlepszy pies, wytropił rarytasy i ze smakiem posilał się okruchami, nie zwracając uwagi na otoczenie. Niewiele się namyślając, capnęłam go, wsadziłam pod pachę i ruszyłam w drogę powrotną. Już nie na klęczkach, tylko biegiem, jak na porządnie wystraszonego człowieka przystało.

Zatrzymałam się dopiero na podwórku ciotki. Szybko zagoniłam wszystkie kury do kurnika, wrzuciłam tam Leona i zamknęłam drzwi na cztery spusty. Nie oglądając się za siebie, ruszyłam w drogę powrotną. Pędząc w kierunku plebanii, rozmyślałam, co takiego mogli trzymać rudzi w budzie na bagnach? Z wszelkich przesłanek, jakie do tej pory się pojawiły, wynikało, że ciotka i Irena musiały cokolwiek, a może i nawet wszystko na ten temat wiedzieć. Szkoda tylko, że tak uparcie strzegły tej tajemnicy. Zastanawiałam się, czy opowiedzieć Irenie o tym, co widziałam. Tylko po co? Na pewno jak zwykle zareaguje nerwowo i każe mi trzymać język za zębami. Z drugiej strony, co mi szkodziło spróbować? W końcu to nie ja kombinowałam.

A Irena? O niej właściwie też nic nie wiedziałam. W zasadzie bliższe informacje na temat jej rodzinnych koligacji nie były mi potrzebne, ale od jakiegoś czasu nurtowało mnie pytanie: dlaczego taka kobieta jest sama. Atrakcyjna, pracowita, urodzona gospodyni domowa. Gotuje, piecze, piecze i gotuje, i tak w kółko. Piękna Beata wprawdzie też była samotna, ale nie brałam jej pod uwagę, bo nie miałam o niej dobrego zdania. Po

pierwsze i najważniejsze z powodu tego, że namieszała w głowie biednemu Igorowi, po drugie, że miała romans z żonatym sąsiadem, a po trzecie, że robiła sobie gołe zdjęcia z dwoma facetami. Obrzydliwe! Beata, Irena... Nagle poraziła mnie myśl, która, nieświadoma do tej pory, krążyła po mojej głowie – po co Irena tyle gotuje, skoro na plebanii mieszkają tylko trzy osoby? To było dziwne. Gdyby ksiądz Jerzy hodował świnie, to mogłabym przyjąć, że karmi je resztkami, ale nie trzymał ani świń, ani kur, ani nawet psa. Czyli pojawił się kolejny znak zapytania.

Byłam już w połowie drogi do plebanii i mijałam dom Beaty od tyłu, gdzie rósł młody sad. Odruchowo spojrzałam w tamtą stronę. Między niskimi drzewami nieśpiesznie przechadzały się dwie osoby. Trzymały się za ręce, co jakiś czas przystawały i namiętnie się całowały. To była Beata i Tzvetan. Odwróciłam głowę i przyspieszyłam kroku. Nie chciałam, aby mnie zauważyli. Biedny Igor, nie dość, że siedział za nie swoje morderstwo, to jeszcze został zdradzony przez swoją żonę i przyjaciela.

Na plebanii od razu poszłam do kuchni. Zastałam tam oczywiście Irenę. Tym razem wyjątkowo niczego nie pitrasiała, tylko piła kawę i czytała książkę.

– Już się o ciebie martwiłam – zamknęła ją. – Jak nowy Leon?

Akurat – pomyślałam – ciekawe, jakie będzie twoje zmartwienie, gdy ci powiem o rudych.

– Dobrze, że się martwiłaś, bo o mało nie utonęłam na tych waszych bagnach – powiedziałam, bacznie obserwując jej reakcję. Tak jak się spodziewałam, zdenerwowała się.

– Na bagnach? Czy ty oszalałaś?! Po co tam chodziłaś?! Czy ty wiesz, jakie to niebezpieczne?

– He, he, he, żartowałam! Nie widzisz, że ubranie mam czyste?

Z Ireny powietrze uszło jak z przekłutego balonika.

– Nie denerwuj mnie. I czasem niech ci nie przyjdzie do głowy tam chodzić.

– Nic z tego. Właśnie, że tam byłam, i jak widzisz, wróciłam cała oraz zupełnie zdrowa.

– Nie drocz się ze mną! – Irena, nie wiedząc, czy znów nie żartuję, stała się czujna.

– Nie droczę się. Nowy Leon wybrał się tam na spacer, a ja za nim poszłam.

– A nie mówiłam, żeby wziąć tutejszego koguta? Tubylec przynajmniej uciekłby ci na wieś! Daleko za nim szłaś?

– Tak daleko, że wszystko zobaczyłam. Wszystko, co przed mną ukrywacie. Ty i rudzielce.

Irenie krew odpłynęła z twarzy. Drżącą ręką chwyciła filiżankę i napiła się kawy.

– Tak? – zapytała przeciągle.

– Tak, tak. – Pokiwałam głową, licząc, że wreszcie z czymś się zdradzi, powie o jedno słowo za dużo, a najlepiej o dwa.

– A co niby tam ukrywamy? To znaczy ci rudzielce, bo ja za siebie ręczę, że niczego nie ukrywam.

Moja inwencja twórcza zupełnie się wyczerpała. Irena niczego nie powiedziała, tylko się zdenerwowała. Ale to akurat nie było dla mnie żadną nowością. Ja potrzebowałam wyjaśnień!

– To ich zapytaj! Dobranoc! – rzuciłam i poszłam do siebie.

Jeszcze do późna w nocy stałam na ubikacji z uchem przytkniętym do kratki wentylacyjnej, licząc, że w kuchni wywiąże się na ten temat jakaś dyskusja. Tym razem miałam pecha. Albo Irena niczego księdzu nie powiedziała, albo zrobiła to w pokoju.

Dni, które pozostały do wtorku, kiedy to miałam stawić się w komendzie, minęły mi bardzo pracowicie. Niemal nie wychodziłam z pokoju i ciężko pracowałam nad doktoratem. Dawałam z siebie wszystko, ale jak na złość nie szło mi tak, jak tego oczekiwałam. Z trudem przychodziło mi sklecenie choćby najprostszego zdania. Myślałam, sapałam, pisałam, po czym najczęściej zmuszona byłam wcisnąć DELETE. W pracy uparta byłam jednak niczym osioł, co zaowocowało pięcioma stronami pięknie opisanych wyników. W końcu nadszedł wtorek – dzień, w którym po raz trzeci oczekiwano mnie w komendzie.

Panowała tam duchota i nawet pootwierane okna nie czyniły oczekiwanego przeciągu. Znikąd ulgi. Za zawalonym papierami biurkiem (wyglądało na to, że od mojej poprzedniej wizyty niczego nie sprzątno) siedział sierżant Mroczek.

– O, witam panią. – Wstał i potracił brzuchem stertę papierów. Stos niebezpiecznie zachybotał, ale się nie rozsypał. – Proszę usiąść. – Kopnął jakiś karton i podsunął mi krzesło.

Klapnęłam z ulgą.

– I jak tam? Jest pani wypoczęta? Bo musimy sobie trochę porozmawiać. Poważnie porozmawiać – podkreślił.

– Jestem bardzo wypoczęta – powiedziałam, mocno akcentując ostatnie słowo.

– To świetnie, świetnie. Napije się pani czegoś? Wody, coli?

– Proszę wodę.

– Z bąbelkami czy bez?

– Bez.

– Smakową czy nie?

Nie żebym czuła antypatię do sierżanta Mrocza, ale było zbyt gorąco, aby bezsensownie przedłużać duszenie się w pomieszczeniu. Musiałam więc mu przerwać, aby wreszcie przejść do sprawy.

– Zwykłą. – Wolałam smakową, ale bałam się, że zarzuci mnie szerokim wyborem smaków i będzie to trwało kolejne upalne minuty.

– To dobrze, bo nie mamy niczego do wyboru. Tylko truskawkową, za którą, powiem pani, zbytnio nie przepadam.

Duszką wypiałam szklankę czystej bez bąbelków i odstawiłam ją na brzeg biurka, gdzie jeszcze była odrobina wolnego miejsca. Aby zachęcić sierżanta do zadawania pytań, rzuciłam w jego kierunku spojrzenie zwane pytającym. Pił kawę z półlitrowego kubka i przyglądał mi się badawczo.

– Chciałem z panią porozmawiać o kilku sprawach. Ale zaznaczam, że nie o kogucie, wudu czy innych tego typu rzeczach. Ostrzegam też, że jeśli tylko wspomni pani coś na ten temat, zostanie pani wyproszona. Albo aresztowana. Jeszcze sam nie wiem, co pani zrobię – przetarł dłonią spoconą skroń.

Nie odezwałam się, ale za to łypnęłam na niego wzrokiem, tym razem z serii obrażonych.

– Pan Kowal upiera się – ciągnął – że feralnej nocy, gdy był na polanie, widział, jak jego zięć wyjmuje z dziupli plik banknotów. Podczas poprzednich przesłuchań nic na ten temat pani nie wspominała.

Było tak, jak się tego spodziewałam. Zapytał mnie o te cholerne pieniądze.

– Nie wspominałam, bo niczego tam nie widziałam – przerwałam mu, a włosy zjeżyły mi się na głowie. Tylko patrzeć, jak wkroczy tu uzbrojona

po zęby brygada antyterrorystyczna i aresztuje mnie w ciągu jednej sekundy!

– Niczego pani nie widziała? – Siorbnął z kubka.

– Sowę widziałam... – przypomniało mi się nagle.

– Mówiłem pani przecież, że ma nie paść ani jedno słowo o wudu!

– Ale ja przecież nie powiedziałam wudu, tylko sowa.

– Dobra, dobra! Już zdążyłem zapoznać się z pani pokrętnym tokiem rozumowania! Zacznie pani od sowy, a skończy na wudu. Tak jak było z tym wieszaniem koguta!

– Panie sierżancie, ale sowy naprawdę nie mają nic wspólnego z wudu.

– Co za baba! Wyraźnie mówiłem, że ma pani nawet nie pisać o wudu, a znów pani o nim mówi!

Otworzyłam usta, aby bronić swoich racji, że sowa uważana jest raczej za symbol śmierci, a wudu to zupełnie inna bajka, ale Mroczek zasłonił uszy rękami, zamknął oczy i wrzasnął:

– Cicho! Cicho!

– Już nic nie mówię. Zresztą to pan zaczął.

Mroczek nadal tkwił w pozycji jak wyżej. Podeszłam więc do niego, złapałam go za jedną z dłoni, odciągnęłam od ucha i wrzasnęłam:

– Już nic nie mówię!

Podskoczył i otworzył oczy.

– W takim razie wracamy do przesłuchania. Czyli nigdzie na tej polanie nie znalazła pani żadnych pieniędzy, tak?

– Dokładnie. Nie było tam ani banknotu, ani złotówki, ani nawet grosika!

– No, no! To pani musiała tę polanę dokładnie przeszukać, skoro ręczy, że nawet grosza tam nie było.

– To była taka metafora – mruknęłam. – Nie miałam czasu na przeczesywanie trawy. Zresztą nie wiem, po co miałabym to robić. Musiałam po was zadzwonić, bo Kowal i Waldek dogorywali. Bałam się.

Popatrzył na mnie kpiąco.

– No co?! – rzuciłam zaczepnie. – Przecież nie ukradłam tych pieniędzy!

– Tak, tak. Oczywiście. Niech się pani nie denerwuje. O nic panią nie oskarżamy.

Uff, widmo brygady antyterrorystycznej rozwiało się jak dym. Zapadła chwila ciszy. Sierżant Mroczek znów siorbnął z kubka i rzucił:

– Nie nudzi się pani w Strzelbach?

– Skądże. W całym dotychczasowym życiu nie miałam tylu atrakcji, co tu w ciągu kilku tygodni. – Ucieszyłam się, że zmienił temat.

– Tak, tak. Oczywiście. – Założył ręce na brzuchu i bacznie mi się przyglądał.

– I? – zagaiłam, bo naprawdę nie uśmiechało mi się przesiadywanie w komendzie. Po raz trzeci zresztą. Ile razy jeszcze chcieli mnie tam wzywać?

– A bez mężczyzny pani się tu nie nudzi?

– Słucham?

– Bez chłopaka, bo chyba ma pani kogoś? Taka atrakcyjna dziewczyna. – W jego głosie wyczułam fałsz.

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie!

Sierżant Mroczek podrapał się po brzuchu.

– Nie chciałem być obcesowy.

– Ale był pan. Niech pan wreszcie przejdzie do rzeczy, bo szkoda mi dnia na bezproduktywne wysiadywanie tutaj.

- Dla pani może i bezproduktywne.
- Dlatego niech pan wreszcie pyta, o co ma pytać.
- Czy zna pani niejakich Bąków?

Wytrzeszczyłam oczy.

- Zna pani, czy nie? – powoli pytanie.

Zaistniało realne ryzyko, że rozmowa o Bąkach mogła zejść na niebezpieczne tory. Przecież to u nich mieszkał Januszek. Ten Mroczek najwyraźniej miał jakieś informacje, a z moich ust chciał usłyszeć ich potwierdzenie. O, niedoczekanie!

– Bąków? – uniosłam wysoko brwi. – Chyba nie niejakich, tylko jakieś. I nie bąków, tylko bąki. Prawidłowo powinien pan zapytać, czy znam jakieś bąki. Tak, znam. Jednego. Jest nim *Bombus terrestris*, co po polsku znaczy trzmiel ziemny. Jest gruby i dość głośny. Lata sobie to tu, to tam, a jak przysiadzie, to zapyli. Na studiach się o nim uczyłam, ale niech pan nie pyta o szczegóły, bo niczego więcej nie pamiętam.

Tym razem to sierżant Mroczek wytrzeszczył oczy.

- *Bombus* co?

- *Terrestris*. Trzmiel ziemny – dodałam uprzejmie.

– Ach, nie – ocknął się z szoku. – To zapytam inaczej. Czy była pani w Kopytkowie i rozmawiała pani z Bąkami? – Zapytał tak konkretnie, że nie miałam wyjścia i musiałam niczym ochłap rzucić mu część prawdy. Tylko wtedy mogła pojawić się szansa, że się tym zadowoli i wreszcie odczepi.

- Ach, tak...

- Tak, tak.

- Kiedyś tam byłam.

- Kiedy?

– Jakoś na początku przyjazdu do Strzelb.

– I co? Przyjechała pani do Strzelb, porozglądała się po okolicy i stwierdziła, że pójdzie sobie na przechadzkę do sąsiedniej wsi?

– Mniej więcej.

– Czy miała pani konkretny cel, aby się tam wybrać?

– Nie. To była zwykła przechadzka. Taka zupełnie bezcelowa. – Poczułam, że moją twarz zalała purpura. Za nic w świecie nie mogłam się przyznać, że załatwiałam tam pokój dla Janusza. Zresztą wydawało się, że Mroczek wie wystarczająco dużo. Na pewno od tych Bąków albo od tych, jak im tam – Maślanów. Tylko jak do nich dotarł? Niech to szlag, Janusz będzie wściekły – zasepiłam się. O ile się o tym dowie – dodałam w myślach.

– Niech pani sobie przypomni. Rozmawiała tam z kimś pani? Na przykład z tymi *terrestris* coś tam – mrugnął do mnie, ale mi wcale do śmiechu nie było.

– Tak, rozmawiałam. Ze starszym mężczyzną i kobietą. Kowalowie ich znają.

– I tylko z nimi pani rozmawiała?

– Niezupełnie. Jeszcze z takim młodym chłopakiem. Może to był Bąk.

– O czym?

Byłam na sto, dwieście, tysiąc i milion procent pewna, że Mroczek wiedział, o czym z nimi rozmawiałam. Wiedział też na pewno o mieszkującym tam Januszu. Tylko że chciał wszystko usłyszeć ode mnie. Liczył, że powiem coś, co będzie jedną z cegiełek, których mu brakowało do rozwiązania morderczej łamigłówki. Janusz może i nie był dla mnie najśłodszy, ale nie mogłam pozwolić, aby został w to zamieszany.

– Dobrze, wszystko powiem – obiecałam mu, postanawiając, że tego nie zrobię.

Mroczek odetchnął z ulgą.

– Dobra dziewczynka. I nawet ładna – dodał w przypiływie dobrego humoru.

– Poszłam tam, do tego Kopytkowa, bo chciałam wynająć pokój.

– Komu?

– Znajomemu.

– Jak zwał, tak zwał – mruknął sierżant.

– W zasadzie chciałam wynająć w Dębowym Gaju, ale pomyliłam drogi. Tak trafiłam do tych Bąków.

– Kiedy ten znajomy poprosił panią o wynajęcie?

– Jeszcze przed moim wyjazdem z Wrocławia.

Tak, skłamałam. Mroczek nie musiał wiedzieć, że mój przyjazd do Strzelb był tak spontaniczny, że nawet nie zdążyłam pozbierać myśli, a co dopiero poinformować kochanka. Przyznanie się, że Janusz do mnie dzwonił, oznaczałoby, że mamy bardzo bliski kontakt oraz że mam jego numer telefonu. I kto wie, czy by go nie chciał?

– Dowiedział się, że jadę na głuchą wieś, i chciał, abym poszukała mu jakiegoś odludnego miejsca, bo musiał podratować zdrowie.

– Aha. I jak mu pani potem dała znać, że ma dla niego pokój?

Rety! Jak?!

– On do mnie zadzwonił i mu powiedziałam.

– To pewnie ma pani jego numer telefonu? Musimy się z nim skontaktować i dla dobra śledztwa proszę go nam podać – chwycił długopis. – Janusz Kłóska... telefon... – powoli gryzmołił na kartce.

Skąd Mroczek wie, jak on się nazywa? – przemknęło mi przez głowę. – Przecież tego na pewno mu nie mówiłam.

– Jaki jest ten numer? Czekam.

- Nie wiem. Nie mam go. – Policzki paliły mnie żywym ogniem.
- Dość tej zabawy – podniósł głos. – Przecież do siebie dzwoniście!
- To on do mnie zadzwonił, a jego numer jest zastrzeżony, więc się nie wyświetlił. Ja do niego nie dzwoniłam!

Sierżant Mroczek z rezygnacją opuścił długopis.

– To tyle będzie na dziś – rzucił chłodno i obrażony zabrał się do przekładania papierków.

W drodze powrotnej zastanawiałam się, dlaczego sierżantowi tak bardzo zależało na zdobyciu telefonu Janusza? Ani razu nie wspomniał o adresie czy e-mailu. Świerzyło mnie, aby o wszystkim z kimś porozmawiać, ale ani Alucha, ani szwagier nie odbierali, a Irenę postanowiłam sobie odpuścić.

Leon, po jednorazowym wypadzie na bagna, więcej tam nie chodził. No chyba że robił to pod moją nieobecność. Najważniejsze, że gdy pojawiałam się na podwórku, był w zasięgu mojego wzroku. Martwiło mnie też jego rozwolnienie, bo prawdziwy Leon z pewnością takich przygód nigdy nie miał. Byłam o tym przekonana, bo ciotka na bank, w atmosferze dramatu, byłaby mi o tym opowiedziała. Po kilka godzin chodziłam więc za nowym Leonem i obserwowałam jego wydaliny. Na szczęście wszystko wydawało się już w jak najlepszym porządku. Z pewnością inne pożywienie, a także stabilizacja pozytywnie wpłynęły na nowego władcę kurnika i wszystko wskazywało na to, że ciotka nie zdemaskuje mistyfikacji.

W czwartek wybrałam się do Kowalów. Kowal wyglądał już prawie normalnie. Nie miał bandaży ani żadnych zadrapań. Jak to określił:

– Na mnie rany goją się jak na psie.

Przechadzał się z wózkiem (czerwonym, a jakże) po podwórku i cicho nucąc pod nosem, kolebał nim delikatnie.

– Dzień dobry – powiedziałam cicho i zajrzałam do wózka. Mały Hirek spał, cicho posapując. Przybrał na wadze i wyglądał niczym słoneczko. Żeby nie powiedzieć dynia, ale natychmiast odpędziłam od siebie złośliwe myśli.

– Jakiż on śliczny – zaćwierkałam, a Hieronim spojrział spod oka, bo chyba wyczuł w moim głosie nutkę fałszu.

– Nie inaczej – burknął. – Chce go powozić czy do Mileny na kawę wejdzie?

– Wejdzie na kawę – odpowiedziałam i skierowałam się ku drzwiom.

Milena była w kuchni. „Była” to mało powiedziane. Ona tam tyrała niczym wyrobница. To, co w kuchni robiła Irena i co do tej pory wydawało mi się ciężką pracą, było niczym w porównaniu z tym, co wyprawiała Milena. Robiła przetwory. Ogromne ilości. Takie, jakby ich rodzina składała się z całej albo i dwóch drużyn piłkarskich, a nie trzech osób dorosłych oraz niemowlęcia. No chyba że rodzina Kowalów oczekiwała, że mały Hirek jeszcze przed zimą zacznie sięgać po ogórki w occie, sałatkę z zielonych pomidorów oraz dzemy z agrestu czy czerwonych porzeczek.

– O cholera – wyrwało mi się zamiast odpowiedniego w takiej sytuacji powitania.

Milena podskoczyła.

– Ale mnie przestraszyłaś. Wejź – zrobiła zapraszający gest, ale zaraz zreflektowała się, że nie ma za bardzo gdzie wejść. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, że wybrałam się do niej z próżną myślą, aby sobie posiedzieć, podczas gdy ona pracowała w pocie czoła.

– Nie chcę ci przeszkadzać – zaczęłam się wycofywać.

– Ależ nie, siadaj. Gdyby była mama, miałabym dla ciebie więcej czasu. Ale pojechała do Lwówka w odwiedziny do twojej cioci – tłumaczyła się. – Zostań, proszę.

Szybko zestawiała na podłogę zajmujący krzesło gar.

– Napijesz się czegoś?

Czy miałam inne wyjście? Napiłam się. Co więcej, zakasałam rękawy i wzięłam się z nią do pracy. Nie powiem, abym robiła to ze szczególnym entuzjazmem, ale dzięki temu posiadałam pewność: nigdy w życiu żadnych przetworów! Zaletą tej sytuacji było jednak to, że podczas gdy pieczołowicie myłam w zlewie ogórki, przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Czy możesz mi coś powiedzieć? – Przerwałam mycie i uważnie spojrzałam na Milenę, krzątającą się przy robieniu zalewy.

– To zależy, czy będę znać odpowiedź – uśmiechnęła się blado. – Ale za to, co dla mnie robisz, nawet gdybym nie znała, to jestem w stanie wykopać ją choćby spod ziemi.

– Co takiego dzieje się na bagnach?

– Na bagnach? Złe oko straszy tam od wieków – rzuciła.

Od wieków? A ciotka mówiła, że od czasów drugiej wojny światowej – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Może Milena ze zmęczenia pomyliła się i tyle.

– Nie miałam na myśli strachów, tylko rudzielców.

To był celny strzał. Bingo! Milena zbladła i oparła się o blat.

– Co... ale skąd...?

– Milena, obiecałaś!

– Nie mam pojęcia, o co pytasz. – Chwyciła za butelkę z octem i chlupnęła na oko do odmierzonej wody. Ciekawe, czy zrobiła tak pod wpływem szoku, czy na podstawie wieloletniej praktyki w kuchni.

– Milena. Gadaj mi tu zaraz. Nie kręć! – celowo podniosłam głos, aby wiedziała, że łatwo nie odpuszczę. Wyczułam, że była łatwiejszym przeciwnikiem niż Irena.

Milena nerwowo oblizwała wargi.

– Długo tu jeszcze będziesz?

– U ciebie? Tak z godzinkę. – Zdziwiłam się, że mnie o to pyta.

– Nie, nie. W Strzelbach. Kiedy wyjeżdżasz?

– Ach. Myślę, że jest to kwestia kilku dni. Tak mi obiecała ciotka. Musi tylko wyjść wreszcie z tego szpitala.

– No, tak... Ale obiecasz, że nikomu nie powiesz?

– Nie powiem.

– A teraz najważniejsze: obiecasz, że jeżeli nieszczęśliwie zdarzy ci się jednak komuś powiedzieć, nie zdradzisz, że wiesz to ode mnie?

– Obiecuję.

Pokiwała głową, jakby chciała samą siebie przekonać co do słuszności podjętej decyzji.

– To ci powiem. W końcu co mi tam, i tak niedługo wyjeżdżasz – nadal przekonywała samą siebie.

– Mów, mów – zachęcałam ją, zerkając na krążącego po podwórku Kowala. Jego powrót do domu mógłby zawiązać dopiero co rozwiązujący się język Mileny.

– Bo oni, to znaczy Leszek i Zbyszek, mają na tych bagnach – ściszyła głos do świszczącego szeptu – dziuplę!

– Tak, wiem.

– Jak wiesz, to po co pytasz?

– Milena. Mówię tylko, że wiem o ich budzie na bagnach. Ty nazwałaś ją dziuplą, a ja budą. Można by i szopą. Takie tam kilka desek na krzyż zbitych. I to jest ta straszna tajemnica? – Popukałam się palcem w czoło. – Ale co oni tam trzymają, nie wiesz czasem?

– Wiem, ale nie powiem.

– Obiecałaś – pogroziłam jej tym samym palcem, którym przed chwilą pukałam się w czoło.

– Tak, ale obiecałam też mojemu świętej pamięci Waldkowi, że nikomu nie powiem. Skąd miałam wiedzieć, że tobie może chodzić o tajemnice mojego męża? Jego pamięć jest ponad wszystko – zakończyła z patosem i zabrała się do pracy.

Po niezbyt owocnej wizycie u Kowalów wróciłam na plebanię. Było wczesne popołudnie i do wieczora nie miałam czym się zająć. Postanowiłam, że pójdę do kościoła. W końcu dzieliło mnie od niego tylko parę kroków, a że przez ostatnie kilka niedziel nie chodziłam na msze, pomyślałam więc, że dobrze by było pojawić się tam chociażby w dzień powszedni. W środku było chłodno, cicho i spokojnie. Cudownie. Usiadłam z boku za jednym z filarów. Nie zastanawiając się długo, zdjęłam sandały i położyłam się na ławce. Była twarda, ale nie na tyle, by zrezygnować z leżenia. Poprawiłam się trochę i przymknęłam oczy.

Nie wiem, ile upłynęło czasu, być może nawet trochę przysnęłam, gdy usłyszałam kroki. Otworzyłam oczy i wysoko na chórze zobaczyłam jakiś cień. W pierwszym odruchu chciałam wstać i wyjść, ale nagle ktoś uchylił drzwi i wszedł do środka, kierując się od razu na górę. Po krokach usłyszałam, że ten ktoś kuleje. Krzywy Maniek? Zgarbiona wyczłapałam ze swej kryjówki, podeszłam bliżej i schowałam się za konfesjonałem.

– Dobra, zgadzam się. – To był głos Mańka.

– Za ile? – Drugi głos należał do księdza Jerzego. Nie słyszałam, kiedy wszedł. Być może wtedy, gdy drzemałam.

– Trzy patyki.

– Tylko tyle? Toż to więcej za dziczyznę pan bierze.

– Trzy patyki to znaczy trzy tysiące, a nie stówki. Płatne z góry.

– Trzy tysiące? – w głosie księdza Jerzego zabrzmiała groza. – Skąd ja tyle pieniędzy wezmę?!

– Nie wiem. Niech ksiądz pamięta, że primo: też się narażam, a secundo: chcę się ożenić, a to kosztuje.

– To może zrobimy tak: zapłacę połowę tej kwoty, a resztę potraktuje pan jako zapłatę za ślub, którego wam udziele?

– Drogo sobie ksiądz liczy!

– Pan też nie jest tani.

Maniek przez chwilę milczał, po czym odpowiedział:

– Niech będzie, ale w tej kwocie zawarta będzie też opłata za ewentualne chrzciny.

– A co? Irenka jest w ciąży?

Irenka?! Z przejęcia krew przestała mi krążyć w żyłach. To Irenka ma być szczęśliwą wybranką Mańka? Lub na odwrót, to taki Maniek, kulawy, szwendający się po lasach, ma być jej wybrankiem?!

– To nie księdza sprawa.

– To jest czy nie? Bo tyra od świtu do nocy. Musiałbym ograniczyć jej pracę! – Ksiądz najwyraźniej był bardzo przejęty.

– No nie jest. A przynajmniej tak było do wczoraj – odburknął Maniek.

– Aha. W takim razie w tym tysiącu pięciuset cena chrzcina zawarta będzie do roku po ślubie.

– Jak to?

– Tak, że jak do roku po waszym ślubie pojawi się na świecie dzieciątko, to chrzest będzie u mnie miało za darmo.

Maniek zaklął.

– Panie Marianie! Niech się pan opanuje! Kto to widział, żeby kląć w kościele?!

– No, dobrze. Niech księdzu będzie.

Usłyszałam cichy szelest. Liczenie pieniędzy?

- Zgadza się?
- Zgadza.
- Kiedy pan pójdzie na policję?
- Płatne z góry, to robota od razu. Już tam jadę.

Rozstali się bez pożegnania. Oczekałam jeszcze jakiś czas i cicho wysunęłam się z kościoła. Skulona przemknęłam pod jego murami w kierunku drogi i wyprostowałam się dopiero przy krzakach za domem.

Rano, gdy tylko się obudziłam, poszłam otworzyć kurnik. Wolałam to zrobić przed śniadaniem. Mogłam sobie potem przy jedzeniu czytać, ile dusza zapragnie, i nie martwić się, że drób tłoczy się w zamknięciu i czeka niecierpliwie, aż ktoś go wypuści i sygnie ziarna. Gdy dopełniłam obowiązków, usmażyłam górę jajecznicy i z książką w ręce rozsiadłam się w kuchni. Ksiądz Jerzy pił kawę i na skrawku papieru znów robił jakieś rachunki, a Irena realizowała się w korytarzu i myła okna. Nagle z podwórka doszedł nas odgłos zajeżdżającego auta, a po chwili głos Ireny:

– Co za niespodzianka! Dzień dobry!

– A dobry, dobry!

Ciotka?! Z reklamówką w ręce, radosnym krokiem wkroczyła do kuchni.

– Jestem!

– Ciocia już ze szpitala? – Poderwałam się z miejsca. – Czym ciocia przyjechała?

– Karetką.

– Ale czemu mnie ciocia nie uprzedziła, że będzie dziś wychodzić? Przyjechałabym i wróciłybyśmy taksówką. – Wyrzuty sumienia pogryzły mnie dotkliwie. W końcu to ja byłam osobą odpowiedzialną za jej zdrowie i życie. Przynajmniej według oficjalnych założeń.

– Daj spokój – machnęła ręką. – I jak? – Usiadła na krześle podsuniętym przez księdza. – Wszystko w porządku? – Popatrzyła to na mnie, to na niego. – Jak mój Leonek?

Irena, która weszła za ciotką, rzuciła mi ironiczne spojrzenie.

– On? On ma się zupełnie dobrze.

– Pewnie za mną tęsknił, biedactwo – ciotka westchnęła ciężko. – Ale już niedługo go wyściskam.

Oby tylko nie wróciło mu to cholerne rozwolnienie – pomyślałam.

– Napije się pani czegoś? Może zje śniadanie? – zapytała ją Irena.

– Poproszę tylko o kawę czarną jak smoła.

Irena nastawiła czajnik.

– A u was? – ciocia zwróciła się teraz do księdza. – Wszystko dobrze?

– Oczywiście – rzucił na mnie szybkie spojrzenie, a potem zerknął na Irenę.

– Natalia, czy nie musisz iść się spakować? Widzę, że już zjadłaś – powiedziała.

– Irenka, dziecko, no przecież widzę, że nie zjadła. Ma jeszcze pół talerza. Niech tu sobie spokojnie skończy, a my z panią Kazimierą i jej kawką przejdziemy do salonu – odezwał się ksiądz i zaczął podnosić z miejsca, a ciotka w ślad za nim.

– Nie, nie! Siedźcie tutaj! Nie chce mi się już jeść! – Spojrzeli na mnie zdziwieni. – To z tej radości, że wracam do domu. To jest do cioci domu, oczywiście. Pędzę na górę się pakować. – I po trzy schody poleciałam do łazienki, modląc się w duchu, aby jednak nie poszli do pokoju. Wlazłam na ubikację i przytknęłam ucho do kratki. Szczęście mi sprzyjało.

– W jakim kierunku idą sprawy? – usłyszałam rzeczowy ton ciotki.

– Marian wczoraj pojechał na komendę – powiedziała Irena.

– To ślicznie! – Ciotka aż klasnęła w dłonie. – A wiecie, że Zbycha też dzisiaj wypuścili?

– Aha – powiedziała Irena. – Będą musieli z Lechem bardziej uważać. Przynajmniej do czasu, aż ona stąd nie wyjedzie.

Ona? Czyli ja?!

– Też im to mówiłam – zgodziła się ciotka. – A opowiedzcie, jak naszemu Mańkowi poszły te zeznania.

– Nic jeszcze nie wiemy. Pewnie wieczorem do nas wpadnie – powiedział ksiądz.

– Dajcie jutro znać, jakie przyniósł nowiny. Na mnie już czas.

Po tych słowach zeskoczyłam z ubikacji, spuściłam wodę i pędem ruszyłam do pokoju. Jedną część moich rzeczy byle jak wrzuciłam do torby, drugą do walizy, zatrzasnęłam ją i wszystko zaciągnęłam na korytarz. W samą porę, bo ksiądz właśnie szedł po schodach, aby mi oznajmić, że ciocia chce już wracać do domu.

Ciotka z powodu powrotu do domu była przeszczęśliwa. Przez całą drogę z zachwytem i łzami w oczach rozglądała się po okolicy. Mnie do takiego radosnego nastroju było daleko. Ciągnęłam za sobą walizki i dodatkowo na ramieniu niosłam jej reklamówkę. Nie wiem, co w niej miała, ale była ciężka niemal tak bardzo jak moje bagaże. Poza tym zastanawiałam się, czy Leon był na podwórzu, czy może urządził sobie kolejną wycieczkę w nieznane. Co prawda ostatnio był greczny, ale w życiu zazwyczaj bywało tak, że w dniu premiery wszystko się waliło.

– Szybciej, co się tak ociągasz? – ponaglała mnie ciotka i udawała, że nie widzi potu na moim czole. – Jeszcze tydzień i wrócisz do domu. Czuję się zupełnie dobrze, z Igorkiem nic nie wyszło, to po co masz tu dłużej siedzieć?

– Tydzień?

– Tak, tydzień albo maksymalnie dwa. Muszę się upewnić, że mój stan jest stabilny.

Mina mi trochę zrzędła, ale nawet te dwa tygodnie nie były straszne, bo wreszcie określały granicę, za którą będę już tylko ja i moje dawne życie. A może nowe życie? Tę kwestię musiałam jeszcze przemyśleć.

Ciotka przyśpieszyła kroku, zostawiając mnie w tyle wraz z rozbudzonymi nadziejami. Na podwórze wczołgałam się w momencie, gdy akurat tuliła do chudej piersi przerażonego Leona.

– Mój kochany kogutek! – trajkotała. – Brzydka pani zostawiła kogutka samego, ale już wróciła!

Leon, z powodu miłosnego uścisku, pozbawiony był dopływu świeżego powietrza i gdy tylko ciotka na chwilę zwolniła uścisk, dziobnął ja raz i drugi. Zaskoczona puściła kuraka, a ten wykorzystał moment i uciekł w kierunku bagna.

– A to co?! – wykrzyknęła. – On jeszcze nigdy mnie nie dziobnął!

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – rzuciłam od niechcienia i otworzyłam drzwi domu.

– To niemożliwe! – z niedowierzaniem kręciła głową. – Co się stało? I do tego uciekł gdzieś na łąki.

– Nie na łąki, tylko na bagna. Mam za nim iść?

– Na bagna? On? – Ciotka ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

– Tak. Raz już mu się to zdarzyło. Pewnie z tęsknoty za ciocią. Nie wiedział, gdzie cioci szukać.

– Co ty za bzdury opowiadasz?! Teraz przecież już tu jestem i znów uciekł!

– Może pójdę po niego, co?

– Ani mi się waż! Nie na bagna! Sama go poszukam. A ty, jak go szukałaś za pierwszym razem, to daleko się zapuściłaś? – łypnęła na mnie sprytnie.

– Tak. Daleko. – Zaczepnie spojrzałam jej w oczy. Miałam dość tych wszystkich tajemnic i kłamstw. Po tym, co tu przeszłam, zaspokojenie mojej ciekawości należało mi się jak psu buda.

– I? – drażyła ciotka.

– I nic. Nie utopiłam się, jak widać, i bagiennych strachów też nie spotkałam.

– To dobrze, dobrze – wymamrotała, ale widać było, że nie to chciała usłyszeć. – I nic więcej tam nie widziałaś?

– Tak. Widziałam.

– Co?

– To ciocia nie wie, co się na bagnach dzieje? – Prowadzenie tej rozmowy zaczęło sprawiać mi ogromną frajdę.

– Niby co się ma dziać? Mówiłam ci, że tam straszy! Po co tam się pchałaś?! Mało to nagadałam się o Niemcu, Helenie i oku?! – Zasapała się i umilkła na chwilę. – To niby kogo tam widziałaś?

– Kogoś innego.

– Kogo?!

– Jak ciocia sądzi?

– A wiesz ty co?! – Zdenerwowała się już tą zabawą w kotka i myszkę. – Idź do domu i nastaw wodę na herbatę, a ja pójdę za Leonkiem.

– Niech ciocia poczeka. Widziałam tam szopę i rudzielca. Wnosił jakieś pakunki.

Ciotka lekko pobladła.

– Aha... – powiedziała. – A nie było wtedy ciemno, co? Może ci się przywidziało?

– Nie było ciemno i nie przywidziało mi się. Na pewno nie.

– Jak ci się nie przywidziało, możliwe, że jakąś budkę tam mają...

– Ciocia dobrze wie, że mają, i co więcej, wie, co tam trzymają. Niech mi ciocia powie, co cioci zależy? I tak niedługo stąd wyjadę i tajemnicę zabiorę ze sobą. To prawie tak jak do grobu. – Zmieniłam ton z napastliwego na skamlący.

– Nie musisz tego wiedzieć. Idź już zrób tę herbatę. – Zignorowała moją przemowę i poszła w kierunku bagien.

Nazajutrz Leon znowu dostał rozwolnienia. Ciotka nie wiedziała, co o tym myśleć. Najpierw ją dziobnął, potem uciekł na bagna, a teraz chorował na coś, na co nigdy wcześniej nie zapadał. Zdenerwowana włożyła go w foliową torbę, oczywiście dziób zostawiła mu na wolnym powietrzu, ale z dala od swojego ciała, i wsadziła pod pachę.

– Idę z nim do Kowala, niech podwiezie nas do weterynarza.

– Daleko go macie?

– W Kopytkowie. Wrócimy najdalej za dwie godziny. – I trzasnęła drzwiami.

Poszłam do pokoju ciotki i włączyłam telewizor. Tydzień albo maksymalnie dwa... Uśmiechałam się do siebie szczęśliwa, że koniec tego feralnego pobytu był na wyciągnięcie ręki. Zaczęło mi być niewygodnie na krześle. Spojrzałam na łóżko ciotki. Niemal słyszałam, jak starannie ułożona wielka pierzyna woła mnie, abym się na nią rzuciła. Nie dałam się więc długo prosić i zanurzyłam się w puchowej kołdrze.

Spałam bardzo długo, bo jak się obudziłam, było już ciemno. Usiadłam i w pierwszej chwili musiałam się zastanowić, gdzie jestem i skąd się tu wzięłam. Gdy informacje w mózgu odnalazły swoje właściwe miejsce, zauważyłam, że z korytarza sączy się światło. Wstałam.

W kuchni siedziała ciotka. Łokcie miała oparte o stół, a twarz ukryła w dłoniach.

– Ciociu, co się stało? – Moją pierwszą myślą było, że ten cholerny Leon musiał się odwodnić.

– Wszystko się skończyło. – Spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczyma. Miałam rację – odwodnił się bydlak – pomyślałam.

– Tak mi przykro...

– Co ty tam wiesz?! – ciotka nagle ożyła. – To wszystko przez ciebie!

– Ja naprawdę nie chciałam...

– Och! – ciotka zacisnęła dłonie w małe, chude piąstki. – Ciebie tu sami diabli nadali! Gdyby nie twój przyjazd, wszystko toczyłoby się jak dawniej, starym torem!

– Ciociu, ale ja wszystko dla cioci dobra...

– Dla mojego dobra?! – uniosła się, a wtedy zauważyłam, że na jej kolanach siedział Leon. Cały i zdrowy! Tylko łypał z przerażeniem, bo była już najwyższa pora, aby iść spać do kurnika.

– To jemu nic nie jest? – zdziwiłam się.

– Nie. Jemu nie!

– To co się stało?

– Policja zrobiła obławę! Aresztowali Leszka, Zbyszka i Krzywego Mańka! A teraz idź do siebie i się spakuj! Niech ja cię tu więcej nie oglądam! Jutro dam ci na bilet do tego twojego Wrocławia i fora ze dwora!

To był smutny powrót. Nie dość, że byłam przepełniona gorzkimi myślami, to jeszcze autobus szarżował każdy zakręt, przez co wnętrze miałam niemal na wierzchu. Przypomniało mi się, jak wiozłam świętej pamięci Waldka po laktatory. Teraz ponosiłam za to karę. Aby zminimalizować rzucanie, przeniosłam się na siedzenie obok kierowcy. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Piękny dzień na podróż, co? – rzucił i zrobił głośniej radio, z którego zaczęło ryczeć *Ona tańczy dla mnie*.

– Tak, ale nie na taką szaloną. Czy może pan zwolnić, bo mi niedobrze?

– Bez szans. Już i tak mam piętnaście minut spóźnienia. Niech się lepiej pani mocno trzyma. – Docisnął pedał gazu.

Kara, kara – dudniło mi pod czaszką. I do tego ciotka była na mnie tak wściekła, że nie pozwoliła z nikim się pożegnać. Zresztą i tak bym nie zdążyła, bo już skoro świt zaciągnęła mnie na przystanek.

– Stoimy na złym przystanku – zauważyłam cicho.

– Jak to złym?

– To nie ta strona ulicy.

– Ta, ta! Nie pojedziesz, jak zawsze, do Lwówka i stamtąd autobusem do Wrocławia, tylko aby było szybciej, wsadzę cię do najbliższego autobusu do Jeleniej, a stamtąd masz pekapa do Wrocławia!

– Pekapa?

– PKP! Pociąg!

Jak zapowiedziała, tak też zrobiła. Osobiście zatrzymała autobus, wsadziła mnie do środka, zataszczyła walizki, kupiła bilet, a w rękę

wcisnęła zwitek banknotów na pociąg.

– Energiczną ma pani babunię – z podziwem rzucił kierowca.

– Babunię! – prychnęła ciotka. – Obca dla niej jestem! Tylko pomoc chciałam, a tu taka zapłata! A tfu! – splunęła i zatrzasnęła za mną drzwi. Taki był oto koniec mojego pobytu w Starych Strzelbach. Miejscu, do którego tak bardzo nie chciałam przyjeżdżać i z którego niemal każdego dnia chciałam uciec. Ale nawet w najgorszym koszmarze sennym nie mogłam się spodziewać, że wyjadę stamtąd z samopoczuciem zbitego psa.

Ona tańczy dla mnie dawno się skończyło i zaczęło wyć *My, Słowianie*. Wyjęłam z kieszeni chusteczkę higieniczną, podałam ją i z małych strzępków uformowałam dwie kulki, które wcisnęłam do uszu. Idealnie stłumiły ryki radia i dzięki temu podróż przebiegła odrobinę znośniej, gdyż kierowca nadal pędził jak szalony.

W Jeleniej, aby dotrzeć na dworzec PKP, musiałam przejść spory kawał. Ładna pogoda nie współgrała z moim ponurym nastrojem, ale współgrały dźwięki miasta. Były przytłumione, dalekie i jakby ponure. Szłam nieśpiesznie, a walizki podskakiwały na krzywym chodniku. Zupełnie o nie nie dbałam. Nie było nikogo, kto by mnie pocieszył. Januszek był gdzieś hen, daleko w Bieszczadach i pewnie pocił się nad kolejną prelekcją. Prelekcją! – prychnęłam złośliwie. A do tego zabronił mi do siebie dzwonić! Ciężko mi też było z innego powodu. Nadal nie miałam pojęcia, za co wyleciałam ze Strzelb, a poza tym miałam jeszcze wiele pytań, na które nie znałam odpowiedzi, a które pozostały w Strzelbach. Wreszcie ujrzałam w oddali dworzec PKP. Chciałam przejść na drugą stronę ulicy, gdy nagle u moich stóp gwałtownie zahamowało czarne, duże auto. Chyba bmw.

– Uważaj, jak leziesz! Głucha jesteś! Nie słyszysz klaksonu?! – wrzeszczał pasażer, łysiejący pięćdziesięciokilkulatek. Nagle twarz mu

pojaśniała – Ty! To ona! Mamy ją! – zwrócił się do kierowcy.

– Ale mieliśmy farta! – powiedział tamten i ruszyli z piskiem opon. Powiodłam za nimi wzrokiem – pojechali w kierunku dworca.

– Złaź z jezdni, głuchoto! – krzyknął do mnie kierowca następnego auta. – Nie słyszysz, jak na ciebie trąbię?! Aparat słuchowy sobie załóż! – wrzeszczał.

Rzeczywiście, wydawało mi się, że ktoś trąbił, ale myślałam, że gdzieś w oddali, a nie na mnie i do tego tuż za moimi plecami. Szybko zesłam ze środka jezdni. Głuchota! –mruczałam pod nosem – Też wymyślił! Zaraz, głuchota? Przecież ja w uszach nadal miałam te naprędcy zrobione zatyczki! Szybko je wydłubałam i od razu zaczęłam wszystko wyraźniej słyszeć. W jednej chwili głośne, natarczywe dźwięki miasta przestały współgrać z moim podłym nastrojem.

Do samego dworca zastanawiałam się nad tym, kim byli ci dwaj osobnicy z bmw. Skąd mnie znali? Przez całą drogę oczy miałam dookoła głowy, ale już nigdzie ich nie zobaczyłam. Musiałam mieć się na baczności. Przecież skoro jeden wrzasnął, że mnie mają, to pewnie mnie szukali, a jak szukali, to po coś. Tylko po co? Zgwałcić? Zamordować? A może zgwałcić i zamordować?! O nie, tyle bym nie zniosła!

Przed wejściem na dworzec przystanąłam na schodkach i jeszcze raz zlustrowałam teren. Była to kolejna wakacyjna niedziela, więc kręciło się tu dużo ludzi. Ci młodszy, pewnie uczniowie lub studenci, chodzili z plecakami lub torbami, a starsi, bardziej nobliwi, ciągnęli za sobą walizki. Żadna z osób, które napotkałam, nie była ani trochę podobna do któregoś z typków z czarnego bmw.

Właśnie, bmw! Przeniosłam wzrok na parking. Wydawało mi się, że nigdzie go nie ma, ale jednak chcąc mieć stuprocentową pewność, podeszłam bliżej, aby przejrzeć drugi rząd aut. Niestety. Jeśli mnie szukali,

to na pewno gdzieś tam byli, a auto zaparkowali w takim miejscu, aby nikomu nie rzucało się w oczy.

Zawróciłam, bo w końcu musiałam iść na ten dworzec i kupić bilet. Postanowiłam, że gdy tylko go kupię, poszukam tłumu, gdzie bezpiecznie poczekam na przyjazd pociągu. Tłum wydawał mi się najbezpieczniejszy. Kombinowałam, że gdy nadjedzie pociąg, wsiądę do przedziału, w którym będą inni ludzie. Najlepiej same staruszki, bo z takimi bezpiecznie. Zaraz, nie. Staruszki są przecież bezbronne! W razie napaści wcale mnie nie obronią. Postanowiłam więc, że wybiorę przedział z towarzystwem osób mieszanych: jedna, ewentualnie dwie staruszki, dwóch studentów, najlepiej dość roślących, dwóch mężczyzn w średnim wieku, ale o dobrym zdrowiu, mogłaby być jakaś kobieta, a ostatnie, ósme miejsce byłoby dla mnie.

Rozmyślając, szłam parkingiem i nagle przystanęłam. Dlaczego? Co mnie zatrzymało? Aha, już wiedziałam! Znajomy widok. Srebrna honda civic! Auto Janusza? Tutaj? Obeszłam je dookoła. Na pewno było jego. Nie znałam dokładnie numeru rejestracyjnego, ale wgniecenie z lewej części maski było jedyne i niepowtarzalne. Dotknęłam go. Wiedziałam, skąd się tam wzięło. Kochaliśmy się kiedyś na masce auta i Janusz powiedział mi, że to wgłębienie powstało od mojego ciężkiego tyłka.

Ale dlaczego Janusz zostawił auto na parkingu w Jeleniej Górze? Przecież miał jechać w Bieszczady. To w końcu pojechał tam czy nie? Już chwyciłam za telefon i byłam gotowa zerwać obietnicę o niedzwonieniu, gdy wpadła mi do głowy myśl oczywista. Jasne. Pojechał pociągiem! Tylko dlaczego nie zostawił auta przed blokiem we Wrocławiu? Byłam pewna, że ta kwestia będzie mnie męczyć do pierwszego telefonu lub spotkania. Umieściłam ją obok pozostałych wątpliwości dotyczących kochanka. Rzuciłam jeszcze ostatnie spojrzenie na jego auto i ciągnąc walizki, różnym krokiem wkroczyłam na dworzec.

Sprawdziłam odjazdy pociągów do Wrocławia. Najbliższy był dopiero za dwie godziny. Pech! Byłam więc zmuszona ukrywać się w tłumie przez tak długi czas. Kupiłam bilet i schowałam go głęboko do torebki. Na dworcu nie było zbyt wielu turystów, więc poszłam na peron szukać upragnionego tłumu. Mój pociąg miał odjeżdżać z peronu trzeciego i na szczęście zauważyłam tam grupkę młodych osób, pewnie studentów. Przysiadłam obok nich na ławce i czujnym wzrokiem omiatałam okolicę, spodziewając się rychłego ujrzania dwóch typków.

Nagle wydało mi się, że jeden z nich pojawił się w drzwiach holu, ale w tym momencie na peron zajeżdżał pociąg i zasłonił mi widok. „Kołobrzeg – Przemyśl” – mignęła mi przed oczami tabliczka. Szlag by to! – pomyślałam i zerwałam się na równe nogi, bo zrobił się hałas, ruch, ludzie zaczęli pchać się w kierunku pociągu, a inni wprost przeciwnie, usiłowali z niego wysiąść i jak najszybciej opuścić peron. Musiałam być ostrożna, bo nie wiedziałam, czego i z której strony się spodziewać. Przed oczami zobaczyłam Waldka leżącego na polanie w kałuży krwi. W takim pędzącym tłumie można było łatwo dźgnąć kogoś nożem i zniknąć przez nikogo niezauważonym. A miało być tak bezpiecznie – pomyślałam.

Wreszcie zrobiło się luźniej i spokojniej. Większość pasażerów opuściła pociąg, a reszta zajęła miejsca. Z powrotem przycupnęłam na ławce. Typka nigdzie nie widziałam. Spojrzałam przelotnie na stojący przede mną wagon: korytarzykiem do wyjścia, które znajdowało się dokładnie naprzeciw mnie, zmierzała bardzo znajoma mi postać... postać ukochana... Janusz!

– Januszek! – Zerwałam się na równe nogi. Może i nie był najśłodszy, ale w tej chwili, gdy obawiałam się ataku ze strony dwóch typków, stanowił moje jedyne wybawienie.

– Januszek! – ponowiłam okrzyk i zrobiłam krok w kierunku wyjścia z pociągu. W tym momencie Janusz mnie zobaczył i zrobił krok w tył.

– Janusz! To ja! – pomachałam do niego ręką.

Zbladł i nerwowo spojrzął za siebie.

– Idź wreszcie! – Idąca za nim osoba nie spodziewała się gwałtownego przystąpienia ani tym bardziej kroku w tył, więc wylądowała mu na plecach. Janusz zachwiał się i wyleciał z pociągu, a za nim ona. Plastikowa blondyna. Taka, z jakich Janusz zawsze szydził, śmiał się i pokazywał mi jako przykład antykobiety. Godzinami potrafił rozprawiać, jak on nienawidzi tych czerwonych, długich paznokci i spalonych farbą blond włosów. Jak kompletnie nie podniecają go, odtrącają i zniechęcają buty w krzykliwych kolorach, o tak wysokich obcasach, że chodzenie w nich wyglądało jak kroczenie na szczudłach. Och, jak bardzo nienawidził tych kobiet! Opowiadał też, że oblewał każdą studentkę, która choć trochę przypominała taką antykobietę. Pała do indeksu bez prawa poprawki! Tymczasem plastikowa lala podniosła się z ziemi i spojrzała na zdarte kolana.

– Popierdoliło cię, matole?! – krzyknęła do mojego Januszka.

– Zamknij się, Wiolka – wycedził przez zaciśnięte zęby i rzucił na mnie szybkie spojrzenie. Zauważyłam, że pięści też zacisnął.

– Ja mam się, kurwa, zamknąć?! Dwa tygodnie opalania poszły w pizdu! Musisz mi dać na solarium, żeby mi się wszystko wyrównało!

– Zamknij się wreszcie! – wrzasnął, ale Wiolka nie dawała za wygraną.

– Jak ty, kurwa, śmiesz tak do mnie gadać?! Na drugi raz sam sobie jedź nad ten pierdolony Bałtyk! Woda zimna, wiatr piździ, a ty mnie tylko w wyrze trzymasz jak jakąś dmuchną lalę! A ja jestem czło-wie-kiem – wysylabizowała – i też mam swoje potrzeby! To skandal, żeby być nad morzem i dupę na solarium opalać! Wal się, stary idioto! Więcej nigdzie z tobą nie pojedę!

Złapała za torbę, zarzuciła spalonymi od farby włosami i na niebotycznych obcasach poczłapała w kierunku wyjścia. Raz i drugi obejrzała się na Janusza, ale on został ze mną. W osłupieniu powiodłam wzrokiem za blondyną, po czym spojrzałam na pobladłego kochanka. To był pociąg relacji Kołobrzeg – Przemyśl – pomyślałam. Ten cholerny pociąg przyjechał z Kołobrzegu, a nie z Przemyśla! Janusz nie był w żadnych Bieszczadach!

– Kto to był? – zapytałam cicho. – Wyjazd na konferencję w Bieszczady... to miał być, kurwa... – Przestałam nad sobą panować. – Wyjazd w Bieszczady, a nie nad morze z pierwszym lepszym kurwiszonem! – rozdarłam się na cały peron. A co! Janusz podszedł bliżej. Pięści nadal miał zaciśnięte.

– Czy ty zawsze musisz wszystko zepsuć?!

– Ja? Zepsuć?! Tobie się chyba w głowie pomieszało! To ty mnie zdradzałeś przez dwa tygodnie z jakąś plastikową blondyną, a ja w tym czasie byłam na zapyziałej wsi, gdzie grasuje morderca! A co, gdyby mi coś zrobił?

– Nic by ci nie zrobił!

– A skąd ty to niby wiesz?!

– Wiem więcej, niż ci się wydaje!

Łzy toczyły mi się po policzkach.

– Ty cholero – wyszeptałam, przełykając łzy – ty nie tylko mnie zdradziłeś, ale i swoją chorą żonę, w dodatku drugi raz. Nie wstyd ci?!

– A co mnie ona obchodzi?

– Jak to co? A te twoje przemowy o małżeństwie?!

– Gdyby ona małżeństwo traktowała tak samo poważnie jak ja, to nadal by ze mną była – machnął mi przed nosem pięścią, na szczęście w porę zrobiłam krok w tył.

– Janusz? To znaczy, że twoi sąsiedzi mówili prawdę?! Ty jednak jesteś po rozwodzie?!

Wzruszył ramionami.

– Janusz, z nami... – chciałam powiedzieć „koniec”, ale nie zdążyłam. Obok Janusza wyrosło dwóch typków z bmw.

– Pan pozwoli z nami.

– Kim wy jesteście i gdzie mam niby iść?!

– Jesteśmy z policji. Musi pan się stawić w komisariacie na przesłuchaniu w sprawie morderstwa. Tydzień temu wezwanie zostało wysłane panu listem poleconym na adres zamieszkania, ale nikt go nie odebrał.

– Ale teraz już pana mamy – odezwał się drugi i uśmiechnął od ucha do ucha.

– Ty! – Janusz wyciągnął w moim kierunku wskazujący palec. – Ty ich tu sprowadziłaś!

– Janusz! Nieprawda! Oni sami za mną przyszli!

– Bzdura! Gdy tylko mnie uwiodłaś, czułem, że będę mieć przez ciebie problemy!

– Janusz, to nieprawda!

– Proszę zostawić tę panią i iść z nami.

– Niczego na mnie nie macie, wiecie?! A ty chodź na chwilę na bok – zwrócił się do mnie i zrobił kilka kroków dalej, tak aby policjanci nie mogli słyszeć tego, co chciał powiedzieć. – Słuchaj – oczy nabiegły mu krwią, a ślina zebrała się w kącikach ust – nie wiem, co z tego wyniknie...

– Z tego przesłuchania? A co ma wyniknąć? Mnie też przesłuchiwali i nic mi się nie stało.

– Nie przerywaj! Jak mnie zatrzymają, spróbuj tylko się z kimś puścić, a znajdę cię na końcu świata!

Przypomniał mi się jego euforyczny okrzyk: „Nikommu cię nie oddam!”. I pomyśleć, że to trefne proroctwo zawsze stawiałam na równi z najcenniejszymi skarbami świata.

– Janusz, ale to ma być tylko przesłuchanie! Byłeś w Kopytkowie i pewnie chcą cię przesłuchać na okoliczność morderstwa! Oni wszystkich przesłuchiwali!

– A skąd mieli mój wrocławski adres, co?! Dałaś im?! I powiem więcej – z nimi też miałaś romans, a potem dałaś im mój adres!

– Nie dałam im twojego adresu, przysięgam. Ani nie miałam żadnego romansu! – popukałam się w czoło. Spojrzałam na policjantów. Czujnie na nas patrzyli, by w razie czego rzucić się w pościg. Już wiedziałam za kim, nie za mną, tylko za Januszem. To o niego im chodziło. Nie mogli go ściągnąć na przesłuchanie, więc śledzili mnie, bo myśleli, że ich do niego zaprowadzę. I ta dziwna ostatnia rozmowa z Mroczkiem. Chciał ode mnie telefon do Janusza, bo ten nie odebrał poleconego wzywającego go na komendę. Wszystko jasne.

– Nie wierzę ci. – Janusz był uparty jak zawsze, jak wszędzie. Jego intensywnie niebieskie, jasne oczy stały się ciemnogrnatowe i ciskały gromy. – Jak byłaś głupia, tak i jesteś teraz – z satysfakcją wycedził przez zęby.

Jak to głupia?! Ja głupia?! To była kolejna obelga, jaką usłyszałam z ust mojego wieloletniego kochanka. Zbliżył twarz do mojej i wyszeptał mi do ucha:

– Zaraz z nimi pójde i znikne z twoich oczu. Tego chciałaś, tak?! Pozbyć się mnie, tak?! Uciekłaś przed mną na tę wieś i dałaś się obmacywać spoconemu wiochmenowi. Wszystko pamiętam! Ciągle mam

to przed oczami! Jak miętosił cię przy ulicy i jak z gołą dupą wyskoczył z twojego auta! – Znow zamachnął się na mnie pięścią i znow udało mi się w porę odskoczyć. – No, ale jego też załatwiłem...

– Też?

– Tak, też! Pierwszy był Grześ. Byłaś w niego wpatrzona jak w obrazek i świat dla ciebie nie istniał. Więc zrobiłem tak, że zaistniał – zaśmiał się upiornie, a ja osłupiałam.

– Dość tego. – Policjant szybko podszedł do niego i chwycił za łokieć, a ja stałam niczym słup soli.

– Nacia! Jak ty sobie dasz beze mnie radę, co? Już dawno miałem ci to powiedzieć! Ty nie żadne cielątko jesteś, tylko zwykła głupia baba! – Janusz ponownie zachichotał i dał się odprowadzić policjantom.

Oddalali się w kierunku wyjścia, a mi dudniło w uszach „głupia baba”. I to była prawda.

Janusz oczywiście wylądował za kratkami. I to przez te swoje nieśmiertelne, stare rękawice! To w nich zamordował Waldka, dzięki czemu wprawdzie nie zostawił na nożu swoich odcisków, ale pech chciał, że gdy schował rękawiczki do bagażnika, odpadł z nich skrawek materiału. Taka tycia, zbroczona krwią drobinka, którą odnalazła policja. Ironia losu. Najpierw on, aby zrzucić winę na Igora, podrzucił mu do auta nóż, a potem kluczowy dowód w sprawie policja odnalazła właśnie w jego samochodzie.

I znalazła nie tylko to. Również dwa grube gwoździe, takie jak ten, którym przedziurawił oponę w furgonetce rudych. W zasadzie od gwoździ mógłby się jakoś wykręcić, ale podczas jednego z przesłuchań, ze stresu pewnie, dostał takiego szału, że wyśpiewał wszystko. Dodatkowo pochwalił się, że potrafił rudego Zbycha oraz śmiertelnie przejechał mojego Grzeška. Tak, tak! To wtedy powstało to wgłębienie na masce, o którym mówił, że tyłkiem je wygniotłam. Co za... Aż brakuje słów! W każdym razie, lata temu, gdy sobie mnie upatrzył, zrobił tak, aby świat dla mnie zaistniał, i zmiotł rywala z powierzchni ziemi niczym muchę. A potem co? Potem zaczął mnie osaczać. A ja się temu poddałam. Pomyślałby ktoś – profesor, mój mistrz! A tfu! Na pytanie, dlaczego chciał rozjechać rudego, ponoć nabrał wody w usta. Ale ja domyślałam się prawdy. W przypadku Waldka i Grzegorza kierowała nim zazdrość i chęć zgładzenia rywali, ale w przypadku rudego chciał mnie przed nim obronić. I pomyśleć, że Janusz zawsze tak się wypierał zazdrości! Po głębszych przemyśleniach stwierdziłam, że jego pomysł z fryzjerką od siedmiu boleści także był tego wynikiem. Aby zminimalizować moje szanse na poderwanie kogokolwiek, postanowił mnie oszpecić. Podstawił babsko udające, że zna się na

farbowaniu, i pewnie jej jeszcze zapłacił, aby zrobiła mi na głowie najgorszy z możliwych kolorów. Niestety, wyszło jej to idealnie!

Przypomniała mi się też jeszcze jedna sytuacja – gdy przed chrzcinami Hirka pojechałyśmy z Alą do Jeleniej. Wtedy o mało nie przejechał mnie samochód. To była honda civic. I to musiał być Janusz! Wcale, tak jak mówił, nie wrócił do Wrocławia, tylko mieszkał gdzieś w pobliżu i mnie śledził. Całkiem możliwe, że w międzyczasie zabawiał się z cypatyimi blondynami. O tym świadczyła rozmowa telefoniczna, podczas której rzekomo rozmawiał z telewizorem o kawie z miodem. Natomiast nagła rezygnacja z okularów na rzecz soczewek i zgolenie wąsów były celową, po dokonanym morderstwie, zmianą wizerunku. Dobra pamięć często bywa przekleństwem.

Co do sprawy powieszenia Leona, za nic nie chciał się do tego przyznać. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Według mnie śmierć koguta była mu na rękę, bo dzięki niej mogłam spokojnie spakować walizki i wracać do domu. Do bezpiecznego Wrocławia, gdzie nikt mnie nie podrywał i nie chciał wydać za mąż. Tylko dlaczego Janusz, niemal z dumą, przyznał się do przejechania Grzegorza, a za nic w świecie nie chciał do powieszenia koguta? A może zrobił to swoje wudu pod wpływem złych mocy, a te potem zresetowały mu pamięć?

Jeśli chodzi o karę, jaką dostał, nie była ona taka, jakiej wszyscy oczekiwaliśmy. A oczekiwaliśmy dożywocia. Janusza poddano badaniom i, niestety, uznano go za chorego psychicznie, więc nie trafił za kratki, tylko na leczenie. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że przez tyle lat byłam tak ślepa i głucha. Jak to możliwe, że dałam się wodzić za nos osobnikowi, który był chory? Mogłam to wytłumaczyć tylko tym, że pojawił się w chwili, gdy byłam bardzo pokaleczona przez los i potrzebowałam kogoś, kto mógłby stanowić dla mnie mocne oparcie. A starszy i doświadczony

profesor, promotor nadawał się do tego idealnie. I mimo że początkowo biłam się w piersi i twierdziłam, że kochałam go pomimo jego wad, w końcu dały mi się one tak we znaki, że prędzej czy później musiałabym się pozbyć Januszka wraz z jego felerami.

Tak czy inaczej dobrze, że wydarzyło się to, co się wydarzyło, bo po pierwsze: Janusz został zdemaskowany i odizolowany od społeczeństwa, dzięki czemu nic więcej złego nikomu nie mógł zrobić. A po drugie: zerwanie naszego związku nastąpiło automatycznie i naturalnie, dzięki czemu nie czekało mnie kroczenie po karkołomnej ścieżce, jaką było przeprowadzanie poważnej rozmowy na temat wątpliwej przyszłości naszego związku. Nie obyło się jednak bez łez. Moich oczywiście. Wylałam ich sporo, oplakując chwile, które przeżyliśmy razem, oraz moje zszargane uczucie.

Patrząc na wszystko z perspektywy, nie mogłam jednak z nim się nie zgodzić, że *summa summarum* okazałam się głupią babą.

Tak... Janusz... Strzelby... ciotka... No właśnie, ciotka. Przez dwa kolejne lata zasypywałam ją kartkami i listami, a ona nic. W pierwszym roku ograniczyłam się do życzeń na imieniny, urodziny oraz święta. Bez odpowiedzi. Potem rozszerzyłam swą aktywność o wszelkie inne możliwe okazje – Dzień Matki, Ojca, Babci, Dziadka i wiele, wiele innych. Nadal nic. Nie to, żebym chciała przez to na zawsze zapisać się w jej pamięci. Zależało mi na nawiązaniu kontaktu, bo było jeszcze wiele pytań, na które chciałam uzyskać odpowiedzi. A wyjaśnienia należały mi się bez dwóch zdań! Tak często analizowałam każde podejrzanе zdarzenie z pobytu w Strzelbach, że miałam wrażenie, że mój mózg stał się jakimś cholernym twardym dyskiem, na którym dane zostały wyryte niczym w kamieniu – na wieki wieków amen. Rafał kategorycznie odmówił mi pośrednictwa w kontakcie z ciotką, twierdząc, że nie chce wracać do tamtych wydarzeń.

Liczyłam, że mój przyjazd na pierwsze urodziny do małego Hirka rozwieje wszelkie spekulacje. Ale i tym razem się przeliczyłam. Kowalowie powiedzieli, że ciotka ma się dobrze i niby dlaczego miałyby wyjeżdżać aż do Stanów, tym bardziej że nikogo tam nie ma. Gdy jednak chciałam wybrać się do niej w odwiedziny, stanowczo mi to odradzili.

– Niech Natałka siedzi na tyłku i lepiej cioci nie denerwuje – Kowal polał mi wino. – Dziś sobie z nami poświętuje urodzinki Hireczka, a jutro, radzę od serducha, zapakować się z rana w autobus i wracać do tego swojego Wrocławia. A na plebanię też czasem nie radzę się wybierać.

Próbowałam uzyskać od nich odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, ale nabrali wody w usta.

– Jak ciotka się do pani nie odzywa, to czemu my mamy coś mówić?

Do Mileny już w ogóle bałam się odezwać, bo patrzyła na mnie krzywo przez całe dwa dni mojego pobytu.

– To za to, że pani kochaś dziobnął jej Waldusia – na boku szepnęła mi Kowalowa. – Ale my z Kowalem radzi temu jesteśmy, że kanalię ubił – pocieszyła mnie. Nic mi było po tych słowach otuchy, skoro nadal targała mną żądza wyjaśnienia niejasności!

Wieczorem przyjechał Igor. Nie mógł wcześniej, bo ponoć coś mu wypadło. Zresztą urodziny były nad wyraz skromne, bo nikogo innego z gości prócz nas – chrzestnych – nie było. Zagaiłam nawet o to Kowalową, ale udała, że nie słyszy. Nabrałam więc podejrzeń, że urodziny w stylu, jaki lubią – bardzo hucznym i wystawnym – albo już zrobili, albo zrobią dopiero jak my z Igorem sobie pojedziemy.

Igor wyglądał mizernie i był przygaszony. Bez większego zaangażowania mieszał widelcem w sałatce jarzynowej.

– Urósł nam chrześniak, co? – zagałam, patrząc, jak Milena wynosi śpiącego Hireczka, który nie wiadomo kiedy zasnął wśród zabawek.

– Aha – mruknął.

– Późno już – powiedziała Kowalowa i wstała od stołu. – Wy sobie jeszcze posiedźcie i pogadajcie, w końcu jutro wyjeżdżacie. Wstawaj, stary, idziemy spać – zwróciła się do Kowala. – Pani Natalio, pani pościelę na dole, w tym małym pokoiku obok kuchni, a tobie, Igor, wiesz gdzie. W twoim dawnym pokoju. Dobranoc!

– ...noc – mruknął Kowal i wyszedł za żoną.

– Ale się porobiło – westchnęłam. – Nigdy bym nie przypuszczała, że mój romans spowoduje, że wyklnie mnie cała wieś.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał, ale minę miał taką, jakby odpowiedź miał gdzieś.

– Ciotka się do mnie nie odzywa. Kowal powiedział, żebym nie wybierała się ani do niej, ani na plebanię. A może ty mi powiesz, za co aresztowali rudyh? Bo Mańka pewnie za kłusownictwo, co?

– Tak, Mańka tak. A rudyh za kradzieże, nie wiedziałaś?

– A niby skąd? Nikt niczego nie chce mi powiedzieć.

– Gdyby nie ten twój morderczy profesor, wszystko byłoby tu jak dawniej – relacjonował beznamiętnym głosem. – Przyjechał, zaciukał Waldka, więc policja zmuszona była dokładniej powęszyć, no i wywęszyła.

– Co wywęszyła? – Z przejęcia uszy i policzki zapłonęły mi niczym pochodnie.

– To, że rudzi okradali sklepy niemal w całym województwie, a swoje dziuple mieli na bagnach...

– Dziupła! – plasnęłam się dłonią w czoło. – Ale ze mnie idiotka! Przecież właśnie to powiedziała mi Milena! Nie skojarzyłam tylko wówczas, że miała na myśli miejsce ukrywania łupów z kradzieży! Wzięłam to dosłownie. Dziupła czy szopa, dla mnie znaczyło to samo. Rzeczywiście głupia baba ze mnie!

– ...i w Kopytkowie w stodole Maślanów – dokończył.

Przypomniał mi się pierwszy dzień w Kopytkowie, gdy rudzi nosili coś do lub ze stodoły Maślanów. Pewnie były to łupy z kradzieży.

– Ale numer! I to wszystko dzięki Januszowi? Dzięki niemu policja ich wyszpiegowała?! – Byłam niemal dumna ze swego zabójczego kochanka.

– Niezupełnie. Ponoć już wcześniej mieli ich na oku, ale morderstwo tylko przyspieszyło ich aresztowanie. Gliniarze wzięli się wreszcie do uczciwej roboty, ot co.

Entuzjazm, który przed chwilą odczułam, ulotnił się tak szybko, jak się pojawił.

– Przy okazji zrobili też porządek z Mańkiem. Sam do nich poszedł, bo chciał coś zeznawać, ale mu nie poszło tak, jak planował. Policja zrobiła u niego w domu rewizję. A że akurat dzień wcześniej upolował dwa dziki, trzy sarny i nie zdołał upłynnić towaru, to go capnęli.

– A te pieniądze z polany? To, że zabrał je Janusz, wiedziałam, ale skąd one się tam wzięły?

Tak, tak! Ten psychopata zaraz po zamordowaniu Waldka beztrąsko hulał po Polsce za ukradzioną z polany gotówkę, a ja święcie wierzyłam, że odwiedzał w szpitalu swoją Kryskę.

– Wiem tyle co ty – Igor wzruszył ramionami. – Waldek w swojej dziupli musiał mieć schowek. Ciotka Stasia i wuj Hieronim pewnie wiedzą więcej, ale i tak nic ci nie powiedzą.

– Szkoda – westchnęłam.

– Aha... – burknął i nalał sobie resztę wina.

– Dzięki tobie rozjaśniło mi się co nieco w głowie, ale nadal czuję pewien niedosyt – ugryzłam suchy kawałek chleba.

– W zasadzie mnie to wszystko nic nie obchodzi. A tu, do Strzelb, przyjeżdżać będę tylko na urodziny małego. Zresztą sam nie wiem... może poprzestanę na wysyłaniu prezentów pocztą. – Jednym haustem opróżnił kieliszek i sięgnął po napoczętą butelkę wódki. Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Co się stało?

– Beata wychodzi za mąż... – mruknął i mocno zacisnął powieki, jakby chciał w ten sposób przywołać jej obraz – za Tzvetana!

– O, kurczę! – stęknęłam, bo na nic więcej nie było mnie stać. Podczas gdy on z nadal zamkniętymi oczami przywoływał postać swojej miłości, mi przypomniał się jego pokój pełen bohomazów, którego była bohaterką. Ależ on musiał ją kochać!

– Cholera! – dodałam od serca, nalałam sobie pół szklanki wódki i wypiałam duszkiem. A niech widzi, że też przeżywam! – Co za pasztet! Wiesz, Igor – nachyliłam się do niego, a on lekko odsunął, bo pewnie śmierdziało mi z ust – kiedyś o was myślałam. Że ten wasz związek był taki dziwny... – Igor spojrzał na mnie uważnie, a ja kontynuowałam: – Ukrywaliście się nie wiadomo po co. Doszłam wtedy do wniosku, że Beata nie chciała się z tobą afiszować, bo czekała na lepszego kandydata. No i wcale się nie myliłam – dolałam sobie wódki. – Usidliła, nie gniewaj się, większego przystojniaka i na dodatek twojego przyjaciela!

– No właśnie! – ukrył w dłoniach twarz. – To już kolejny raz! – Poderwał się, chwycił za butelkę i łyknął prosto z gwinta.

– Jak to? Kolejny raz? Chcesz powiedzieć, że Beata po raz kolejny poderwała twojego kumpla?! No, bez przesady! To, że była, a w zasadzie jest łajdaczką, to wiem, ale żeby aż taką?! A i ty głupi byłeś, że tu kolegów zapraszałeś! Trzeba było dmuchać na zimne i znajomych trzymać na dystans. Jak się ma tak piękną dziewczynę, to...

– Co ty ciągle pieprzysz o tej Beacie?!

– Słucham?

– Bredzisz o niej jakieś farmazony, podczas gdy ja dramat przeżywam! Nie daj Boże, aby nasz chrześniak w ciebie się wdał, bo za mądry to on nie będzie! – Igor zaskoczył mnie swoją gwałtownością i całkiem niespotykaną u niego męską postawą.

– Uważaj, co mówisz, bo przybędzie ci jeszcze jeden wróg! – wyrwałam mu z ręki butelkę. Po tym jak Janusz nazwał mnie głupią babą, uwrażliwiłam się na jakiegokolwiek uwagi na temat stanu bądź zasad funkcjonowania mojego umysłu.

– Nie gniewaj się, ale pleciesz jak potłuczona, a mi do śmiechu nie jest.

– A czy mi jest? – Chciałam się napić wódki, ale butelka okazała się pusta. Rozejrzałam się po stole. Zostały jeszcze dwa piwa.

– Bo ja go naprawdę kochałam, a nawet nadal Kocham...

– Nie wątpię, że ją kochałeś i nawet nadal Kochasz... co?! – Spojrzałam na niego z uwagą. – To kogo ty kochałeś?!

– Tzvetana... – Otworzył piwo, a ja szybko chwyciłam za drugie. Należało mi się za taką informację.

– Igor, jasna cholera! – Musiałam sobie w głowie wszystko poukładać, ale z racji wypitego alkoholu niezbyt mi to wychodziło. – To po co

malowałeś te obrazy? Żeby wszyscy myśleli, że się kochasz w Beacie i żebyś w spokoju mógł kochać się z Tzvetanem?!

– Nie. Obrazy z Beatą zawsze świetnie się sprzedawały. Płaciłem jej za pozowanie.

– Wiesz – zamilkłam na chwilę, zastanawiając się, czy mu to powiedzieć, ale stwierdziłam, że wobec tego, co się wydarzyło, spokojnie mogę mówić – widziałam was kiedyś w lesie. Beatę, ciebie i Tzvetana w lesie przy jezioru. Beata była goła, a i ty szykowałeś się do rozbierania. Powiedz mi, pornografią też się zajmowaliście?

– Ależ skąd! Czasem razem chodziliśmy popływać. Ani ja, ani Tzvetan nigdy się do naga nie rozbieraliśmy, to znaczy nie przy niej. Ona owszem tak, bo ponoć lubiła popływać, tak jak ją Pan Bóg stworzył. Mnie jej nagie wdzięki były obojętne, rozumiesz, nie podniecały mnie. Dla mnie zawsze była piękną istotą, ale dla Tzvetana widać nie tylko.

– Igor! Dlaczego nie powiedziałeś policji, że jesteś gejem?! W ten sposób wytrąciłbyś im z rąk kluczowy motyw twojego rzekomego morderstwa!

– Nie chciałem, aby to wyszło na jaw, i nie chciałem narażać Tzvetana na szyderstwa.

– Gadasz bez sensu! Przecież mogli cię skazać za tego Waldka! Tylko przypadkiem wyszło, że to Janusz go zamordował! – gorączkowałam się nad piwem.

– E tam... – machnął ręką.

– Igor, ale powiedz, jak to możliwe, że nikt nie wiedział o tym, że jesteś gejem?

– Wiedzieli.

– Kto?

– Na przykład rudzielcy.

– Oni?! – Przypomniało mi się, jak kiedyś wyszli z lasu i do nas machali, a Igor wtedy nadzwyczaj nerwowo zareagował. Albo ten incydent na chrzcinach, gdy to złapali go i upili. – Skąd wiedzieli?

– Kiedyś, kilka lat temu, przyjechałem tu z Ryśkiem. Też malowaliśmy po lasach. I czasem wiesz, kochaliśmy się na mchu, było tak romantycznie... Raz napatoczyli się oni, rudzielcy. I od tej pory zawsze się ze mnie śmiali.

– A co się stało z tym Ryśkiem?

– Zdradził mnie. Też z kobietą. Nigdy nie miałem szczęścia do mężczyzn o jasno sprecyzowanej orientacji seksualnej.

Zrobiło mi się go żal.

– Nikt więcej we wsi nie wiedział? Pytam tak, bo przecież ciotka chciała nas swatać. A co z Kowalami?

– Beata wiedziała, ale wierzyłem jej, że zachowa to dla siebie, bo w końcu sama miała romans z Waldkiem. Kowalowie nie wiedzieli, a czy twoja ciotka, to nie wiem.

– Pewnie nie, bo inaczej nie chciałyby mnie za ciebie wydać.

– W każdym razie teraz wiedzą już wszyscy. I to dlatego ciotka z wujem nie zrobili hucznych urodzin, bo się nas wstydzą. Mnie za to, że jestem gejem, a ciebie za to, że przyciągnęłaś tu za sobą mordercę.

– Fatalnie, fatalnie... – pokręciłam głową. – To kiedy ten ślub?

– We wrześniu.

– Zaprosili cię? – natychmiast ugryzłam się w język. Spojrzał na mnie z wyrzutem. – Przepraszam.

– Chodźmy już spać – podniósł się i zachwiał. – Jutro musimy wracać do domów. Nie chcą nas tutaj – czknął i wytoczył się z pokoju.

Po pierwszych urodzinach małego Hirka, tak jak wspomniałam wcześniej, zaczęłam zasypywać ciotkę życzeniami z okazji wszelkich możliwych świąt. Z wyjątkiem Święta Zmarłych oczywiście! Odzew nadszedł w najmniej spodziewanym momencie, bo napisała do mnie po długim czasie gdzieś po Nowym Roku, gdy właśnie postanowiłam, że wymażę z pamięci wszystkie wspomnienia z pobytu w Strzelbach oraz że prędzej rękę sobie odetnę, niż jeszcze raz coś do niej napiszę.

Przysłała małą, pogiętą kartkę przedstawiającą lwówecki ratusz, a na odwrocie napisała: „Dziękuję za życzenia świąteczne. Jak masz ochotę, to wpadnij do mnie w któryś weekend. Ciocia Kazia”.

Oczywiście, że miałam ochotę! Noworoczne postanowienie puściłam w niepamięć i szybko spakowałam małą torbę. W końcu to miał być tylko weekend.

LIND&CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2022

Projekt okładki: Studio Karandasz

Grafik na okładce:

anuwat, NikhomTreeVector, PrettyVectors / Adobe Stock

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2022

tel: 691962519

ISBN 978-83-67494-20-5

woblink

woblink.com